

LINDA OLSSON

Sonata

dla Miriam

Sonat till Miriam

Z angielskiego przełożył

Janusz Margański

Świat Książki



Maksowi, Feliksowi i Andr emu

*Ale słowa muszą się znaleźć,
Bo poza słowami nie ma prawie nic.*

SZYMON LAKS,
z uwertury do *Melodii z innego świata*

I

LEKCJA CISZY

*Gdy motyl
zbyt gwałtownie
czasem złożył skrzydła -
wołano: proszę o spokój!*

*Zaledwie piórko
spłoszonego ptaka
traciło o promień wołano:
proszę o ciszę!*

*Tak nauczono
bezszelestnie chodzić
słonia po bębnie
człowieka po ziemi*

*Wstawały drzewa
bez szumu nad polem
tak jak powstają
włosy z przerażenia*

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

1

Jestem w Krakowie, gdzie rozpoczęło się moje życie. Stoję na niewielkim balkoniku i, gotowy do porannego spaceru, patrzę na Wisłę.

Wiosna, przyjemny słoneczny dzień, delikatne rozsiane światło Starego Świata. Jest łagodne, a może po prostu życzliwie spowija wspomnienia - moje i mieszkańców tego miasta - przejrzystym woalem. Jest dobra widoczność - leciutka mgiełka wchłania rzekę i rozpościerający się za nią pejzaż. W takie dni, gdy pogoda pozwala, zazwyczaj spaceruję po Plantach, czasami przystaję i siadam na chwilę na ławce. Rankiem bywam tam często jedynym gościem, obserwuję strumień ludzi zmierzających do pracy i zatłoczone tramwaje po drugiej stronie ulicy. Po południu ławki są zajęte: pochyleni starzy ludzie o laskach, zaczytani studenci, całujące się pary, matki z wózkami, ludzie wyprowadzający psy. Ale żadnych amatorów joggingu i skateboardingu. Park i przebywający w nim ludzie emanują jakimś dostojnym spokojem.

Jestem tutaj, w mieście, w którym się urodziłem. W Krakowie. Czuję spokój. Chyba potrafisz to zrozumieć, Cecyljo. Znalazłaś miejsce, w którym czujesz spokój, prawda? Otacza mnie tu życie. Dźwięki. Znikło już wrażenie obcości. Chociaż przyjaciół tu niewielu, mam poczucie przynależności. Tak, chyba spokoju.

Po tych wszystkich latach w końcu zdecydowałem się oddzielić pracę od życia prywatnego i wynająłem studio na starym mieście, nad jednym ze sklepów muzycznych. Dzielę je z grupą młodszych muzyków, ale oni mają własną przestrzeń i dogadujemy się. Cieszy mnie myśl, że mam w pobliżu młodych ludzi. To ciekawe, jak cichy stał się proces tworzenia muzyki. Żaden dźwięk nie wymyka się z ich studia, chyba że w piątki, gdy przed wyjazdem przyjmują przyjaciół i popijają. Nasza muzyka jest uwięziona w czeluściach komputerów, w naszych studiach i naszych głowach.

Dzisiaj przyszedłem chyba trochę za wcześnie - w parku jest jeszcze ciszej niż zwykle. Nie sypiam dobrze, a gdy się budzę, wstaję, czasami bardzo wcześnie. Zegarka już nie noszę - nic mnie nie zmusza do punktualności. Staram się żyć w zgodzie ze swoim ciałem, pozwalając mu wyznaczać rytm. Mijając kościół, z zaskoczeniem stwierdzam, że jest dopiero po siódmej. Inne światło niż oczekiwałem, więc idę trochę dłużej niż zwykle po wschodniej stronie, potem zatrzymuję się i siadam na ławce, by czekać, aż słońce wzejdzie nad drzewami. Widzę, jak promienie przebijają się przez świeże listowie i malują na ziemi migotliwe wzory.

Opuszczam wzrok na żwir pod stopami. Niewiele jest śmieci w tym mieście. Może dlatego, że jeszcze nie jest na tyle zamożne, by pozwolić sobie na wyrzucanie. Ale na ziemi, tuż przy nosku mojego buta, leży spinka do włosów. Schylam się i podnoszę mały metalowy przedmiot. Kładę go na dłoni i zaciskam na nim palce.

Przypomina mi się inna spinka.

Wdziera się fala wspomnień zabiegających o moją uwagę. Dziwne, nawiedzają mnie refleksy wspomnień. Nie samo zdarzenie, tylko jego wspomnienie po upływie roku. Może ten zagmatwany proces pozwala jakoś zrozumieć to, co niezrozumiałe. Nie wiem. Ale mnie wypełniały własne myśli wywołane przez tamtą inną spinkę. To i zapamiętane brzmienie głosu mojej córki. Naszej córki.

Pamiętam też milczenie. Selektywne milczenie przed i całkowite milczenie, jakie zapadło potem. Milczenie narzucono mi od samego początku i żyłem z nim, aż stało się moim własnym milczeniem.

Dźwięk nie zawsze jest przeciwieństwem ciszy. Dźwięk niekiedy unosi się nad otchłanią milczenia, tuszując je. Być może tak właśnie było z moją muzyką. Tworzyłem ją, żeby ukryć milczenie.

Kiedy zacząłem nasłuchiwać dźwięków? Słyszeć nieuchwytnie głosy, których nieobecność tkwiła w centrum mojego istnienia jak ślepa plamka w oku?

Z muzyki, którą teraz próbuję pisać, mogę wyjąć jeden indywidualny dźwięk, i może on pochodzić skądkolwiek. Ale miejsce, które mu wyznaczyłem, wynika z tego, co nastąpiło wcześniej, i zapowiada to, co nastąpi potem. Bez tego całość nie byłaby taka, jaka jest. Podobnie jak barwy na malarskiej palecie, dźwięki są na swój sposób absolutne, ale gdy zostają umieszczone w konkretnym utworze, ich indywidualność współbrzmi z całością. Dobiera się je ze względu na ich walory - czerwień, żółć, błękit - ale z myślą o tym, jaki efekt mogą wywołać razem. Trzeba znać części, żeby stworzyć całość. Myślę, że stosuje się to do muzyki, sztuki oraz samego życia. Kiedy się słucha ukończonej kompozycji albo gdy zamierza się przeżyć życie, poszczególne składniki łączą się, tworząc całość, którą tak łatwo uznaje się za coś oczywistego. Ale jej cudowność zaczynamy rozumieć dopiero po uświadomieniu sobie części. Potrzebowałem prawie całego życia, żeby zacząć poszukiwać dźwięków tworzących muzykę mojego istnienia. A wymagało to poświęcenia tak ogromnego, że zburzyło wszystko, co nadawało sens mojemu życiu. Ale w całkowitej ciszy, jaka potem nastąpiła, w końcu usłyszałem pierwszy pojedynczy ton, a potem z wolna nadpływały kolejne.

Dźwiękiem inicjującym tę muzykę był dzień, w którym postanowiłem wybrać się na spacer po Auckland Domain, choć wówczas tego jeszcze nie rozumiałem. Gdy zaparkowałem

rower na parkingu pod muzeum i przystanąłem, by zaczerpnąć jaskrawego letniego słońca zalewającego pozbawiony cienia krajobraz, nie zdawałem sobie sprawy, jak strasznego znaczenia w końcu nabierze ten dzień.

Nie, to nie całkiem tak. Chcę zachować precyzję. Wszystko zaczęło się tego samego dnia rano, wcześniej. Zaczęło się od głosu mojej córki.

Pamięć jest zawodna. Noszę w sobie wspomnienia tak już zatarte, że chyba nawet nie umiem powiedzieć, czy są wierne. Jestem pewien, że sam nadawałem im kształt, manipulując nimi. Obsesyjnie rozpamiętując niektóre z nich. Dochodzą do tego wspomnienia, które przechowali dla mnie inni i przekazali po tak długim czasie. Nie miałem jak ocenić ich wierności, musiałem zaakceptować je jako dane i próbować połączyć z własnymi. W sumie wyposażają mnie w swego rodzaju przeszłość. Zlepek kawałków: niektóre stworzyłem sam, inne dostałem, na jeszcze inne natknąłem się przypadkiem. Do niektórych dziur nigdy nie uda się znaleźć brakujących kawałków. W tym momencie wyłania się ogólny wzór, ale interpretacja wciąż pozostaje nieuchwytna.

No i jestem w mieście, które było milczącym tłem mojego życia. Jestem w Krakowie. W przeciwieństwie do pana Liebermanna, z którym w każdy czwartek grywałem w szachy, nie liczę na spotkanie kogokolwiek. To nie dlatego tu mieszkam. Nie, może nawet przeciwnie. A jeśli tak... cóż, więc może nie zostanę tu na zawsze. Na razie jednak jest to dobre miejsce. Pracuję. Myślę. Oddaję się wspomnieniom. Wspominam tych, których kocham, i w tym sensie oni także tu są.

Wyjdź, tato. Rozewnij się. Jest sobota!

Czy gdybym uważniej słuchał, usłyszałbym więcej? Usłyszałbym to w powracającej świeżości końcowych taktów grającej w tle muzyki? Dostrzegając to w świetle obmywającym twarz mojej córki? We wdzięcznym geście jej ręki? Wyczuł w gorzkich smakach kawy?

Czy mogłem wiedzieć, że ta scena w swojej codziennej trywialności będzie rozbrzmiewać rozedrganym crescendo wspomnień podtrzymujących teraz moje życie?

2

Tam właśnie chce podążyć mój umysł, a ja mu pozwalam. Ta ławka w parku na antypodach. Zamykam w dłoni niewielką spinkę do włosów i momentalnie ląduję z powrotem na tarasie mojego domu na Waiheke Island w Nowej Zelandii. W rok po tamtej sobocie.

Wyszedłem na taras, jak każdego ranka, odkąd go zbudowaliśmy. Ale w minionym

roku zniewalająco piękny widok na morze stracił swój urok. Po prostu go nie zauważałem. Poza sobą nie dostrzegałem już niczego. I teraz po prostu wyszedłem na taras odruchowo, niczego nie oczekując i dlatego niczego nie odczuwając.

Wyjawszy to, że tego akurat poranka mój wzrok spoczął na małym przedmiocie, który utkwiał między deskami podłogi. Schyliłem się, żeby go podnieść, i zauważyłem, że wąska spinka jest zardzewiała. Od jak dawna tam jest? Trzymałem ją w palcach, a ból, który przez ubiegły rok zdążył osłabnąć, powrócił z taką siłą, że nabrałem powietrza, jakbym zanurkował w zimnej wodzie. Wraz z nim powróciło wszystko, ale przede wszystkim te słowa:

Wyjdź, tato. Rozerwij się. Jest sobota!

Dawniej otaczały mnie dowody jej istnienia. Świeże ślady przez nią pozostawione. Okruchy, skarpetki, książki, papiery, pióra, spinki. Czasem je ignorowałem, a czasem mnie drażniły. Ale na pewno nie rozumiałem, jak cenne staną się dla mnie. Potem, gdy już wiedziałem, że są bezcenne, że należy je pieczołowicie przechować, zostało ich tak niewiele. I stopniowo zacząłem je po kolei zbierać, aż wybierałem wszystkie. Ta zardzewiała spinka należała zapewne do ostatnich. Co dalej?

Podniosłem wzrok i przecesałem spojrzeniem rozpościerające się przede mną morze. Poranek był nietypowo chłodny jak na środek lata, spokojny i cichy, z wiszącą w powietrzu ulewą. Dziwnie bezbarwny, nijaki. Opatrzony był co prawda datą, 10 lutego, ale jeszcze nie miał osobowości, charakteru. Przypuszczam, że jak każdy nowy dzień, miał potencjał. Morze było już upstrzone radosnymi żaglówkami, przecinającymi rozległą przestrzeń za moim tarasem. Słysząc też było dźwięki. Nieodłącznych niewidzialnych cykad. Poniżej szelest pierzastych paproci. Monotonny odgłos morza w dole za moim domem. Wysoko nad głową krzyki mew. Ale odległe, podobnie jak sam dzień, bezosobowe, zbyt powszednie, żeby przyciągnąć moją uwagę. Przyjmowałem je, ale nie wywoływały żadnych uczuć, nie wytwarzały energii.

Wsadziłem spinkę do kieszeni i wszedłem do środka, żeby przygotować kawę. Przestałem starannie parzyć kawę, podobnie jak zarzuciłem najbardziej drobiazgowo codzienne czynności. Napelniłem czajnik, zagotowałem wodę i zalałem nią trzy łyżeczki rozpuszczalnej kawy w kubku, z którym potem wróciłem na taras. Jedyne ocalałe na tarasie krzesło zaskrzypiało, gdy usiadłem. Poczulem się tak, jakby nasza relacja przerodziła się w rodzaj gry o to, kto kogo przetrzyma. Kto pierwszy pęknie.

Obracałem kubek w dłoniach. Pozbawiona zapachu kawa; po prostu parząca ciecz bez smaku. Postawiłem ją na tarasie obok krzesła i wyjąłem z kieszeni spinkę.

Zapachy, dźwięki i smaki ponoć mogą wywoływać wspomnienia. Ale nigdy przedtem

nie uświadamiałem sobie ogromnej siły dotyku. Spojrzałem na leżącą na dłoni spinkę i wspomnienia napłynęły z nieomal nieznośną siłą. Nieomal. Skąd. Albo coś można znieść, albo nie. Nie ma żadnego nieomal. A te wspomnienia z pewnością dało się znieść. Witałem je z otwartymi ramionami. W ich przejmującej intensywności odnalazłem piekący ból powracających falą chwil. Zapachy, muzykę.

Teraz zupełnie jakbym przypominał sobie smutek, a nie odczuwał go. Pamiętam swoje cierpienie w chwili, gdy tamtego dnia na tarasie ogarnęły mnie wspomnienia. Teraz przeżywam tylko wspomnienia swoich uczuć, a nie same uczucia. Tamtego dnia uczucia były wciąż żywe, rzeczywiste cierpienie. Teraz spoglądając wstecz, widzę każdy szczegół, ale mnie tam nie ma, tam w środku. Moje własne cierpienie na zawsze obumarło. Noszę je w sobie, ale nie jest już żywe.

Mimo to podążam za tym człowiekiem, którym kiedyś byłem, i nagle czuję smak innej kawy. Kawy, którą pijałem, gdy rozkoszowałem się takimi rzeczami. Widzę Mimi, jak stoi w drzwiach i podciąga tornister na plecy. W tle słychać *Come In!* Vladimira Martynowa. W powietrzu unosi się lekki zapach morza i lakieru do paznokci, którego Mimi użyła, zanim zaczęła się przygotowywać do wyjścia. Trzymam w rękach kubek, powoli wystukuję na nim palcem rytm muzyki.

Wyjdź, tato. Rozerwij się. Jest sobota!

A ona uśmiecha się. Posyła mi całusa, odwraca się i wychodzi. Moja Miriam. Mimi, moja córka. Nasza piękna córka. Potem zamyka za sobą drzwi i wszystko milknie.

Na tym tarasie tego samego dnia rok później zastanawiałem się, czy w tamtym momencie mogłem zmienić bieg życia. Na chwilę przedtem, gdy Mimi się odwróciła. Zastanawiałem się, czy mogłem ją wtedy powstrzymać, zatrzymać. Powiedzmy, że na przykład upuściłem kubek z kawą. Drobnym wypadkiem, lekkim poparzeniem, gorąca kawa oblała mi nogę - czy to zatrzymałoby ją na tyle, by zmienić przyszłość? A gdybym zaczął działać wtedy, a nie parę godzin później? Gdybym powiedział: „Chwileczkę! Zaczekaj na mnie. Pójdę z tobą!”. W tamtej chwili pewnie mogłem zmienić bieg zdarzeń. Kiedyś zadreślałem się takimi myślami. Ale już tego nie robię. Patrzę na siebie takiego, jakim byłem wtedy, i współczuję temu facetowi. Patrzę, jak się zadreśla, i przez chwilę czuję ulgę, że tam nie jestem. Oznacza to pewnie, że udało mi się pogodzić z tym, z czym pogodzić się nie sposób.

Tak naprawdę tamtego dnia, gdy moja córka stała przede mną, odwzajemniłem przesłanego całusa lekkim ruchem dłoni, a ona była już za drzwiami, zostawiwszy za sobą te słowa:

Wyjdź, tato. Rozerwij się. Jest sobota!

Niczym muzyka utrzymywały się w zakamarkach głowy, poza moją kontrolą i w dowolnej chwili powracały. Zapewne jednak zarejestrowały się, bo kilka godzin później rzeczywiście zrobiłem to, co podpowiedziała Mimi. Z uczuciem lekkiego podniecenia wskoczyłem na rower, zjechałem na podjazd i wsiadłem na południowy prom do Auckland. Tymczasem bez mojego udziału rozpoczynał się inny dramat. Dramat, który ogarnie wszystko i pozostawi mnie z powoli osiadającymi popiołami mojej egzystencji.

3

Wiedliśmy z Mimi proste życie.

Ale prostoty się nie docenia. Coś wystudiowanego, skomplikowanego można sobie świadomie stworzyć, ale prostoty nie sposób sfabrykować. Jest po prostu dana i podobnie jak niewinność, znika w chwili, gdy sobie ją uświadomimy. Żyłem w błogiej nieświadomości swojego szczęścia.

Teraz, z perspektywy, widzę siebie, jak jadę na rowerze krętymi drogami pośród łagodnych wzgórz. Pamiętam, jak się czułem tamtego dnia: lekko podekscytowany. Pełen życia. I tak arogancko pewny swojego prawa do szczęścia.

Myślę o tamtym sobotnim poranku, tam na ławce w parku po drugiej stronie ziemi, w innym świecie. I myślę o reszcie tamtego dnia. Ostatniego dnia mojego życia.

Dzisiaj jest coś zupełnie innego. Nieodwołalna strata. Nadal nie kwestionuję tego, czym kiedyś było moje życie, ale chyba jestem uczciwy, mówiąc, że już nie rozpaczam. Nie bardzo wiem, jak scharakteryzować stan mojej egzystencji. Ostatnio zacząłem myśleć, że zyskałem, że moja strata okazała się atutem. Mój żal nabrał pozytywnej wartości: stał się rdzeniem, wokół którego rozwija się w tej chwili moje życie. Myślę, że osiągnąłem stan wzmożonej jasności, nowy poziom koncentracji. Zmiana perspektywy zabarwia wszystko, co robię, wszystko, czego doświadczam. Odbyłem daleką podróż, by dotrzeć do tego punktu, i wciąż nie jestem pewien, czy ta podróż dobiegła końca.

Wciąż pamiętam, jakie to uczucie być żywym.

4

Mimi wyjechała i dom pogrążył się w ciszy.

Wyszedłem na taras i stanąłem przy barierce. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie

zrobiliśmy po wprowadzeniu się, było zbudowanie tarasu. Latem właściwie tam mieszkaliśmy, a drzwi były zawsze otwarte. Zupełnie jakby rozróżnienie na wewnątrz i zewnątrz przestało obowiązywać. Waiheke Island jest chyba miejscem, gdzie domy są dodatkami do tarasów. Tak jakby tutaj trzeba było żyć zgodnie z naturą; jakby ludzka obecność była jakąś przejściową i wymyślną konstrukcją niepasującą do otoczenia.

Twój dom na twojej wyspie w ogóle nie jest podobny do mojego w Waiheke. Mój dom się unosi; stoi w głębi. Początkowo przyciągnęło mnie właśnie otoczenie, i to na nie zawsze zwracałem uwagę w naszym domu. Widok. Zapachy. Dźwięki. Dom był jak druga skóra. Żył wraz z nami, zapewniał nam ciepło, gdy na zewnątrz było zimno, chłodził, gdy było gorąco. Rozciągał się, żeby spowić całą naszą egzystencję. Ale my jakoś dziwnie nie zwracaliśmy na niego uwagi. W porównaniu z moim, twój dom jest bardzo stary. Ma historię, która jest zawsze obecna. Potrzebuje troski i towarzystwa. On chyba także spowija twoje życie, ale bardziej jak ubiór. Podejrzewam, że Nowozelandczycy patrzą na swoje domy inaczej. Uwielbiają przestrzeń zewnętrzną i oddają jej pierwszeństwo. Chyba nie czują potrzeby ukrywania się przed nią. Stopniowo i ja zacząłem w ten sposób postrzegać mój dom i było to bardzo wyzwalające uczucie. Trochę jak pływanie nago.

Tego dnia zauważyłem szorty Mimi leżące na podłodze, gdzie je rzuciła, gdy się przebierała poprzedniego dnia. Gdzie tylko się pojawiła, coś po sobie zostawiała, niekoniecznie coś konkretnego. Rzadko znikwała z moich myśli. Była serdeczną osią mojego życia. Gdy się schyliłem, żeby podnieść jej ubranie, błysnęły mi w głowie jej słowa:

Wyjź, tato. Rozerwij się. Jest sobota!

Kiedy jeszcze wykładałem na Wydziale Muzycznym w Auckland University, zwykle łapałem poranny prom, na pokładzie przygotowywałem się do lekcji, wysiadałem, wskakiwałem na rower i jechałem dalej pod górę do kampusu. Po pracy odbywałem tę samą podróż w odwrotną stronę. Ten ścisły harmonogram, będący koniecznością, gdy Mimi była mała, stał się utrwalonym nawykiem. Bardzo rzadko zostawałem na dłużej w mieście. I Mimi miała rację: nigdy nie znajdowałem czasu na zwiedzanie. Niecierpliwie wyczekiwałem weekendu, ale gdy nadchodził, często ani nie pracowałem, ani się nie relaksowałem. Siedziałem w swoim studiu, patrząc na morze i marzyłem, żeby popływać na żaglówce. Gdy byłem na morzu, myślałem o pracy. Przypód zdecydowanie nie miałem.

Gdy rok wcześniej ograniczyłem liczbę godzin na wydziale, żeby więcej czasu poświęcić na komponowanie, wydawało się, że dni rozciągają się przede mną bezpostaciowo i nieforemnie - niektóre całkiem beczynne. Chociaż weekendy logicznie rzecz biorąc nie różniły się od reszty tygodnia, teraz wydawały się szczególnie trudne. Zupełnie jakbym nie

zasłużył na to, żeby je mieć.

Ale tej soboty rano wyszedłem z domu, wskoczyłem na rower i pojechałem do promu. Pogodny błękit na niebie, szczególnie w Auckland, jakby pociągnięty pędzlem, lekki wiatr ze świeżym słonym zapachem morza. Później, gdy stałem przy relingu na promie, patrząc na morze, a palce wystukiwały rytm ostatniej części partytury, nad którą pracowałem, nagle poczułem przyływ podniecenia. Może to właśnie była satysfakcja z tego, że wreszcie udało mi się wyrwać z domu. Poczucie dokonania czegoś niezwykłego, może przeżycia małej przygody.

Teraz, gdy widzę siebie tam w jaskrawym słońcu, wydaje się to absurdalne. Przeraża mnie ten arogancki brak obawy. To poczucie pogodnego wyczekiwania wydaje mi się groteskowe. Ale wtedy wystawiłem twarz na słońce i czułem wiatr na skórze. I chyba faktycznie byłem szczęśliwy.

Zanim zamieszkałem w Nowej Zelandii, myślałem o tym kraju jak o wyspie. A raczej dwóch wyspach. O ile w ogóle kiedykolwiek poświęciłem mu jakąś myśl. Kiedy przyjechałem, uświadomiłem sobie, jak bardzo się myliłem. Żadnego wrażenia, że się jest na wyspie. Morze zawsze jest obecne, ale Nowozelandczycy nie myślą o lądzie jako dwóch wyspach. To kraj. Być może kochają go ze szczególną namiętnością, bo wydaje się niepewnym okrawkiem wulkanicznej skały, która dopiero co wyłoniła się z otaczającego wiecznego morza, małym i tak odległym od wszystkich innych lądów.

Ale gdy przeprowadziliśmy się z Mimi z Auckland do Waiheke, w rzeczywistości przenieśliśmy się na wyspę. Chociaż leżała tylko o godzinę drogi, a Auckland było widać przez zatokę Hauraki, nigdy nie mogliśmy się pozbyć wrażenia, że jesteśmy na morzu. Z naszego domu mieliśmy widok, który utwierdzał nas w przekonaniu, że jesteśmy tam jedynymi ludźmi. Jedynymi ludźmi na świecie. Widzieliśmy tylko stromo opadający busz z zielonymi parasolami paproci, a dalej morze. Pielęgnowałem odosobnienie, ale podejrzewałem, że Mimi zawsze tęskniła za towarzystwem. Za życiem, dźwiękami. Dla mnie widok pozbawiony wszelkich śladów ludzkiej ingerencji stanowił zadowalające tło życia. W końcu nawet uznałem to za konieczność, coś, bez czego nie mogłem funkcjonować.

Ci, którzy przybywają tu tylko na lato, mają krótkie i powierzchowne związki z Waiheke. Przyjeżdżają na wakacje i wyspa się zmienia. Bierze głęboki wdech i przybiera powitalny uśmiech. Z wdziękiem przyjmuje inwazję. Gdy dni robiły się chłodniejsze i promy powracały do zimowego rozkładu jazdy, odczuwałem ulgę.

Pierwszego lata, gdy Mimi miała czwarty rok i wynajmowaliśmy mały bungalow po drugiej stronie wyspy, uznałem, że Waiheke to dla nas idealne miejsce. Spokojne,

bezpretensjonalne. Przychylne. Później, gdy wracaliśmy odwiedzić tę część wyspy, wydawało się, że nawet linia brzegowa się zmieniła, tak, jakby wygładziła ją jakaś ogromna ręka. W miejsce uroczych plaż pojawiły się eleganckie apartamentowce i duże osiedla. Nie była już spokojna, tylko zdecydowanie pretensjonalna i prawdopodobnie nieszczególnie życzliwa. A tam gdzie w końcu osiedliśmy, po drugiej stronie wyspy, jeszcze nie przebiła się bezładna miejska zabudowa. Chociaż do promu był kawał drogi, oboje z Mimi zabieraliśmy się tam rowerami. Weszło to nam w krew, podobnie jak wiele innych spraw w naszym życiu.

Tego ranka obserwowałem szpaler przepływających żaglówek, skupisko zakotwiczonych do połowu pontonów i uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od długiego czasu czuję się lepiej. Gdy zastanawiam się nad moim całkowitym brakiem przecucia, przypominają mi się wakacje z Mimi w Europie. Polecieliśmy do Londynu, gdzie miałem kilka służbowych spotkań, a potem podróżowaliśmy pociągiem przez Francję i Włochy. To były pierwsze zamorskie wakacje Mimi. Miała osiem lat. Pod koniec podróży zatrzymaliśmy się na parę nocy w Neapolu. Pierwszego dnia wybraliśmy się na zwiedzanie Pompei, a następnego poszliśmy do Państwowego Muzeum Archeologicznego w Neapolu. Pamiętam ściągniętą twarz Mimi, gdy oglądaliśmy niektóre niesamowicie realistyczne gipsowe odlewy kształtów uformowanych w pumeksie, w którym ciała tych, co zginęli w starożytnym mieście, pozostawiły swoje wieczne odciski. Szczególnie poruszyła ją czteroosobowa grupa: dwoje dorosłych i dwoje dzieci. Widać było splecione w ciasny warkocz włosy dziewczynki i patrzyłem, jak Mimi naciąga swój warkocz na ramię i przesuwając miękkim koniuszkiem po ustach, patrzy na te postacie. Gładząc ją po włosach, odczytałem umieszczoną obok informację, nieznacznie ją cenzurując. Po wyjściu z muzeum długo nie mogłem się uwolnić od myśli, jak bardzo ci ludzie wydawali się nieświadomi nadciągającego niebezpieczeństwa. Chyba nielicznym udało się coś ze sobą zabrać, gdy próbowali uciec. Czteroosobowa rodzina miała szkatułkę z biżuterią, mały posążek i nic ponadto. Myślałem o tym, jak obudzili się pewnego cudownego sierpniowego dnia i zabrali się do codziennych porannych czynności, podczas gdy w kraterze Wezuwiusza czaiła się już przyczyna ich śmierci. Gdy wzbity się w górę pierwsze smugi dymu, matka być może czesała córkę.

Życie nie daje nam ostrzeżeń. A wydawałoby się, że zmieniające je wydarzenia powinno poprzedzać choćby najdrobniejsze ostrzeżenie. Czeszesz dziecko albo posyłasz mu całusa, a nad tobą unosi się widmo zagłady.

Gdy wysiadłem z promu i bez specjalnego celu pedałowałem pod górę Queen Street, otaczali mnie ludzie, którzy dokądś zmierzali, podczas gdy ja nieśpiesznie sobie krążyłem. Ruszyłem w stronę K Road, przeciąłem ją i pojechałem dalej na Khyber Pass Road, a potem

na Newmarket, gdzie na ulicach panował letni spokój, a ruch w sklepach przy Broadwayu jakby zwolnił. Zakręciło mi się w głowie, jakbym wpadł w jaskrawe światło. Kiedy dotarłem na miejsce, szeroka, otwarta trawiasta przestrzeń była prawie pusta, a muzeum stało na pagórku w dostojnej ciszy. Zaparkowałem rower, przeciąłem zazieleniony teren, wspiałem się na wzgórze do muzeum i usiadłem na szerokich kamiennych schodach. Zwiedzający snuli się grupkami po szerokich kamiennych płytach, kilkoro dzieci uganiało się u stóp schodów. Uświadomiłem sobie, że nie zajrzałem do tego gmachu od czasu, gdy Mimi była mała. W tych pierwszych dniach, nie mając jeszcze żadnych towarzyskich powiązań, robiliśmy różne rzeczy, które miały jakoś wypełnić pustkę. Staraliśmy się wykrzesać z siebie entuzjazm dla znanych lub nowych doświadczeń. Jedną z tych rzeczy były regularne wizyty w muzeum, gdzie oboje zagospodarowywaliśmy swoje ulubione miejsca. Miejscami Mimi zawsze były ciemne sale zatłoczone przedmiotami z wysp Pacyfiku. Szczególnie interesowały ją chyba rytualne maski. Bezustannie stawała z nosem przytkniętym do szyby i zawsze trzeba ją było odciągać. Dla mnie była to Sala Pamięci. Nigdy nie przestawała mnie wzruszać wysoko sklepiona przestrzeń o ścianach pokrytych tabliczkami z nazwiskami ludzi poległych na wojnie.

Z czasem przychodziliśmy coraz rzadziej, aż całkiem przestaliśmy. W miarę jak poszerzały się i rozdzielały nasze kręgi towarzyskie, gdzieś po drodze rozplynęła się wzajemna inspiracja. Musiałem uznać, że to naturalna kolej rzeczy, ale pewności nigdy do końca nie miałem. Nie byłem przygotowany na pojawienie się Mimi w moim życiu, zaskoczyła mnie. Gdy tak się zastanawiam, ważne wydarzenia mojego życia były pojedynczymi incydentami, jednorazowymi. Moje życie było szeregiem zaimprovizowanych występów. Gdy tak siedziałem na kamiennych stopniach w bezlitosnym świetle nowozelandzkiego słońca, smak beztroskiej przygody powoli się ulatniał. Poczułem się obnażony, odsłonięty. Amator, dyletant. Człowiek o barwnej przeszłości i niewielkim pojęciu o przyszłości. Równocześnie czułem się tak, jakby mnie wysłano na misję, jakby Mimi usiłowała mi uprzytomnić, że istnieje jakiś fundamentalny aspekt mojego życia, którego jeszcze nie uchwyciłem, jakby wysyłała mnie na poszukiwanie wskazówek.

Wstałem, udałem się stopniami w górę i wszedłem przez obrotowe drzwi. Przez kontrast z jaskrawym światłem na zewnątrz wewnątrz wydawało się ciemne i spokojne. Pomijając personel w wejściowym holu i sklep z upominkami, budynek wydawał się pusty. Przy kołowrocie wrzuciłem banknot do puszek na dobrowolne datki. Błądziłem bez celu, umysł mając zajęty procesami niewymagającymi świadomego uczestnictwa. Albo może miałem ochotę się wyłączyć. Kiedy ponownie się skoncentrowałem, byłem na górnym piętrze

Sali Pamięci. Moje oczy przeszukiwały listy z nazwiskami na tabliczkach pokrywających ściany i nagle owładnęła mną myśl o całej tej żmudnej pracy, której wymagało zapisanie tych liter, wszystkich nazwisk. Zastanowiło mnie, że techniczna czynność mogła nie pociągać za sobą myśli o osobie kryjącej się za każdym z nazwisk. Może - wręcz prawdopodobne - było to jedynie zwykłe zadanie praktyczne, kwestia umieszczenia właściwych liter we właściwym porządku, kwestia ich wielkości i problem dokuczliwego kamiennego pyłu. Dziwnie poruszyła mnie myśl, że nazwiska można było wpisywać po prostu jak wzór zdobniczy.

Stojąc z założonymi do tyłu rękami, zacząłem je skrupulatnie odczytywać. W miarę jak moje wargi bezgłośnie wymawiały nazwiska, narastała przede mną cała potworność straty: żal z powodu tych wszystkich przerwanych młodych istnień, z powodu marzeń i nadziei, które spełzły na niczym. Widziałem nazwiska wpadające jak krople do ogromnego rozlewiska, które je pochłania bezgłośnie, nie tworząc kręgów na powierzchni. Siła wizji zaskoczyła mnie. Przez chwilę czułem, że nie mogę się poruszyć. Potem w drugim końcu sali zauważyłem starszego mężczyznę. Stał ze słomkowym kapeluszem w ręku wpatrzony w jedną tabliczkę. Pomyślałem, że monument przynosi ulgę. Napisy były namacalnym dowodem czyjegoś istnienia. Rodziny i przyjaciele podtrzymywali tam swoje wspomnienia. Nazwiska nie były wyłącznie znakami w kamieniu. Każde z nich oznaczało życie.

Musiałem się zdobyć na świadomy wysiłek, by wyjść z sali. Zdezorientowany, nie mogłem znaleźć schodów. Zamiast tego skręciłem za rogiem i znalazłem się w Galerii Holokaustu. Niewielką mroczną przestrzeń wypełniały proste oszklone gabloty z portretami rodzinnymi, dokumentami i pamiątkami dostarczonymi przez żydowskich uchodźców. Byłem jedynym zwiedzającym. Powoli przechadzałem się po wąskich, krętych przejściach. W końcu mój wzrok padł na zdjęcie w jednej z gablot przy ścianie. Było większe od zdjęcia paszportowego i sprawiało wrażenie profesjonalnego portretu. Ukazywało jedynie głowę i ramiona młodego mężczyzny na ciemnym tle. Był elegancko ubrany - w ciemną marynarkę, białą koszulę i krawat. Na chwilę przystanąłem, poruszony poważnym wyrazem twarzy i spojrzeniem, z którym zmierzyłem się poprzez czas. Oficjalny styl zdjęcia utrudniał oszacowanie wieku, jakby mężczyzna miał wyglądać na starszego niż był, ale pomyślałem, że mógł mieć dwadzieścia parę lat. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, pewny siebie, poważny wzrok skierowany prosto w obiektyw, lekko uniesione brwi. Zresztą, może to była tylko maska nieśmiałości. Dopiero po dłuższej chwili mój wzrok natrafił na niewielką notkę na lewo od zdjęcia. „Adam Lipski, urodzony w 1920 roku w Krakowie, Polska”. Nazwisko przeczytałem najpierw po cichu, potem głośnie. Przesunąłem dłonią po ustach i brodzie, starałem się opanować zawrót głowy. Potem przeczytałem krótki tekst pod nazwiskiem.

Mojego brata Adama ostatni raz widziałam w listopadzie 1939 roku. Słyszałam, że uciekł na Litwę z przyjacielem. Jakiś rok później po raz ostatni mieliśmy wiadomości o nim. Adam był utalentowanym skrzypkiem, mającym przed sobą błyskotliwą międzynarodową karierę. Dla mnie jednak był przede wszystkim ukochanym starszym bratem. Nigdy nie przestałam o nim myśleć. Nigdy nie przestałam go szukać. Nigdy nie przestałam mieć nadziei.

Pod tekstem widniał podpis „Klara Fried, Wellington”. Wpatrzony w fotografię stałem przed ekspozycją, szeptem powtarzając imię i nazwisko:

Adam Lipski.

Kiedy w końcu wyszedłem z sali, a potem po schodach na zewnątrz, uświadomiłem sobie, że w środku byłem dobrze ponad godzinę. Zmrużyłem oczy, patrząc na miasto i morze, jego połyskującą powierzchnię niknącą w oddali w lekkiej mgiele. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że świat się nie zmienił i jest taki jak zwykle, podczas gdy ja miałem wrażenie, jakby nagle miała nastąpić zasadnicza i nieodwołalna zmiana. Zupełnie jakbym w czarodziejski sposób został ustawiony na początku drogi, której jeszcze nie potrafiłem dostrzec, mając tymczasem przed sobą zawrotnie pogodny i beztroski świat. Do muzeum wszedłem bez żadnej myśli, a wyszedłem z nowym spojrzeniem na świat i siebie.

Nazywam się Adam Anker. Ale kiedyś nazywałem się Adam Lipski. Urodziłem się w Krakowie, w Polsce. I kiedy wpatrywałem się w oczy nieznanego, tego człowieka, z którym łączyło mnie nazwisko, po raz pierwszy w życiu usłyszałem nigdy niepostawione pytania i ogarnęło mnie dojmujące uczucie niepokoju.

5

Wczesnym wieczorem wracałem do Waiheke, nieświadomy ogromu tego, co się rozpętało.

Stojąc na górnym pokładzie promu z puszką zimnego piwa w ręku, zastanawiałem się nad minionym dniem i jego implikacjami. W drodze powrotnej na promie było więcej ludzi, ale na górnym pokładzie tylko kilka rozproszonych grup. Ciepłe późnopołudniowe światło padało ukośnymi promieniami na ogrzane przez słońce siedzenia i pasażerów. Maluch śmiejący się na kolanach matki. Grupka chichoczących dziewczynek - gdy się pochylały, daszki ich czapek się stykały. Poczułem, że się odprężam, gdy chłodny, gorzki smak piwa wypełnił mi usta. Patrzyłem na morze, gdzie kilka łodzi rozmaitych rozmiarów i typów żeglowało po roziskrzanej powierzchni. Łagodna bryza muskała ciepłą skórę, a zachodzące

słońce koło oczy delikatnym światłem.

Wróciłem do domu. Gdy otworzyłem drzwi, powitało mnie zatęchłe, gorące powietrze. Przeszedłem przez salon i rozsunąłem harmonijkowe drzwi na taras. Wziąłem prysznic, a potem, zamiast sprawdzić, czy w lodówce jest coś na kolację, chwyciłem kolejne piwo i usiadłem w fotelu na tarasie. Wczesny wieczór zawsze był moją ulubioną porą. Gdy dzień dobiega końca, jest czas na to, by podumać i zmienić tempo myśli. Większość twórczej pracy wykonuję nocą. Możliwe, że ten nawyk zrodził się, gdy Mimi była mała, ale chyba nie. Nawet jako dziecko nocą puszczałem wodze wyobraźni, czuwałem, gdy odbłaskowe wskazówki budzika z Kaczorem Donaldem u mego wezgłowia spotykały się o północy. Wtedy, tak jak teraz, wczesnym wieczorem ogarniał mnie nastrój niecierpliwego wyczekiwania, nadziei, że bezruch nocy pomoże wywołać rodzaj twórczego transu, którego potrzebuję w pracy.

Teraz, z dystansu dwóch lat, patrzę na siebie siedzącego na płóciennym fotelu w powoli gasnącym świetle i wyraźnie pamiętam wrażenie spokojnej determinacji. Powoli dopiłem piwo i wszedłem z powrotem do mieszkania, zostawiając drzwi otwarte przed ómami i nocą. Podeszedłem do niewielkiego biurka, gdzie trzymałem swój laptop. Nawet nie usiadłem, tylko stałem i patrzyłem, jak ekran się rozświecila i rozbrzmiewa znajoma melodyjka, gdy komputer startuje. Kilka kliknięć i miałem informację. Klara Fried mieszkała w Hataitai w Wellington. Zanotowałem jej adres i numer telefonu. Położyłem palce na klawiaturze. W jakiś sposób popołudnie wypełnione myślami o mojej odległej przeszłości jakby otworzyło drzwi do tej przeszłości bliższej. Jedna prowadziła do drugiej. Szybko znalazłem nazwisko, którego szukałem, i do notki dorzuciłem jeszcze jeden numer. Twój numer, Cecylio. Wpatrywałem się w nazwisko na monitorze: Cecylia Hägg. Adres także rozpoznałem. Wyspa.

I wtedy zadzwonił telefon.

Było tuż po ósmej i pamiętam, że oderwałem wzrok od monitora i spojrzałem przez otwarte drzwi na słońce zachodzące po drugiej stronie morza. Fioletoworóżowa chmura wisiała nad Sky Tower, tak jakby była przywiązana do iglicy.

Wyraźnie pamiętam, że nie miałem żadnego przeczucia. Sięgając po słuchawkę, czułem tylko podniecenie: następstwo dnia pełnego wrażeń pomieszane z czymś, co mogę opisać jedynie jako zamiar, ponowione wyczekiwanie.

Byłem zupełnie nieprzygotowany.

Nie, żeby w ogóle w jakikolwiek sposób można się było przygotować na tego rodzaju telefon. Albo żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Podniosłem słuchawkę i rzuciłem swoje nazwisko, bezmyślnie bawiąc się kartką z nabazgranymi numerami telefonu, wsuwając ją pod podkładkę pod mysz. Słuchałem, a moje życie wyciekało, wsiąkając w pustkę z siłą eksplozji.

Potem pozostała już tylko cisza.

6

Znowu był luty, cały rok później, gdy podniosłem podkładkę pod mysz przy laptopie i wyjąłem skrawek papieru. To był inny wczesny wieczór, inna pogodna, słoneczna letnia sobota, ale pod żadnym innym względem nie przypominała tamtej, sprzed roku.

Dlaczego tak długo tam siedziałem? Dom, wyspa i teraz w końcu myślę, że chyba cały kraj umarł dla mnie tego wieczoru, gdy zadzwonił telefon. Wszystko wyglądało tak samo jak przed chwilą, a jednak nie przypominało niczego, co było mi znane albo miało ze mną jakikolwiek związek. Podobnie jak mój własny wizerunek przedstawiał się mniej więcej tak samo, gdy w końcu któregoś dnia podniosłem wzrok i ujrzałem go w lustrze w łazience. Ale obaj nieodwołalnie się zmieniliśmy, ja i otaczający mnie świat. A raczej zasadniczo zmieniła się moja perspektywa. Z miejsca, w którym się znajdowałem, nic wokół mnie nie wyglądało tak samo jak przedtem.

Teraz myślę, że początkowo chyba nie miałem wyboru. Mój świat skamieniał, a ja nie mogłem przemieścić czy przesunąć nawet najmniejszej rzeczy. Ogarnął mnie jakiś niemal odczuwalny fizycznie paraliż. Było to na rok przed tym, nim nastąpił nawrót minimalnej aktywności. Może rok to organiczny okres czasu na ukojenie żalu. Być może musimy przejść przez roczny cykl, żeby wreszcie zrozumieć, iż życie już nigdy nie będzie takie, jakie było, ale że może trwać.

Tak więc podkładka pod mysz pozostała tam, gdzie była, podobnie jak wsunięta pod nią kartka. Nie myślałem o niej. Chociaż tamtego wieczoru coś mnie skłoniło do wyciągnięcia małego srebrnego puzderka, w którym znajdował się jedyny namacalny dowód mojego życia poza wspomnieniami. Po raz pierwszy od roku przerzuciłem postrzępione zdjęcia. Położyłem je na narzucie, potem otworzyłem album z fotografiami Mimi, który trzymałem na stole. Mimi jako szkrab u mnie na rękach pewnego ponurego styczniowego dnia w Sztokholmie. Jako uśmiechnięty berbec. W szpitalu ze złamaną ręką, gdy miała cztery lata. Pierwszego dnia w szkole. Przy sterze na żaglówce, opalona, szczerząca zęby do aparatu. Powoli odrywałem zdjęcia od kart albumu i układałem je wraz ze starymi na łóżku. I tak siedziałem, oglądając je

przez jakiś czas. Potem wszedłem do salonu i usiadłem przed laptopem.

Wydawało się, że dzieje się coś doniosłego, gdy uniosłem podkładkę pod mysz na tyle, by wsunąć pod nią palce i wyciągnąć kartkę. Po raz pierwszy od roku robiłem coś, co wykraczało poza podtrzymywanie egzystencji na minimalnym poziomie. Czułem się winny, ale przynajmniej choć trochę czułem, że żyję.

Dwa tygodnie później poleciałem do Wellington na spotkanie z Klarą Fried.

7

Są ludzie, którzy boją się podejścia do lądowania na stołecznym lotnisku.

Podmuchy wiatru wstrząsające samolotem, poniżej wzburzone morze z nieregularnymi łatami białej piany, ostre czarne skały wystające z wody, za nimi niewiarygodnie krótkie lądowisko. A od czasu do czasu, zamiast pełnego wstrząsów lądowania, gwałtowne wznoszenie się i szerokie koło nad zatokami, a potem druga chybotliwa próba lądowania. Ja zawsze jednak czułem się podniecony, uniesiony w każdym znaczeniu tego słowa. Zazwyczaj prosiłem o miejsce przy oknie, bo lubiłem patrzeć na morze i miasto, amfiteatr okalający niebieskawozieloną wodę. Stolica zawsze najbardziej podobała mi się z góry.

Do Klary Fried w końcu nie zadzwoniłem, tylko napisałem kilka słów. Chyba czułem, że list da jej możliwość całkowitego zignorowania kontaktu ze mną. Miałaby czas na to, by się zastanowić, czy chce się ze mną spotkać, jak zareagować. Nie byłem nawet pewien, czy oczekiwałem odpowiedzi. List nadszedł pocztą dopiero po trzech dniach.

„Szanowny Panie,

Dziękuję za list. Jestem gotowa spotkać się z Panem, gdy Pan przyjedzie do Wellington. Czy mogę zaproponować przyszły czwartek? Proszę łaskawie zadzwonić do mnie, żeby się umówić, gdy Pan przybędzie.

Z poważaniem

Klara Fried”

Charakter pisma młodej osoby. Nawet pomyślałem, że pewnie ktoś za nią napisał ten list: pismo nie pasowało do dość oficjalnego tonu. Złożyłem kartkę i z powrotem wsunąłem do koperty.

Kiedy jeździłem do Wellington, wcale nie tak często, zawsze zatrzymywałem się w tym samym tanim hotelu, w Mount Victoria. Po latach w końcu poznałem kobietę, która go prowadziła. Miała na imię Anna i pochodziła z jednego z krajów bałtyckich - nigdy do końca nie wiedziałem z którego. Była drobną, śmieszną kobietą niewiadomego wieku i statusu, która przypominała mi arktyczną brzozę: spoista, żylasta, ociężała. Zahartowana przez żywioły, które rzucały ją z miejsca na miejsce. Spowijała ją aura samotniczej determinacji, jakby z zaciśniętymi zębami zmagająca się ze światem. Nigdy się nie uśmiechała i nie zachęcała do rozmowy, sama odpowiadała półsłówkami. Ale byliśmy w bardzo dobrej komitywie. Zazwyczaj bez prośzenia dostawałem pokój wychodzący na port, zimą dbała, żeby był dobrze ogrzany. Kiedy Mimi była mała, czasami zabierałem ją z sobą i Anna proponowała, że jej popilnuje, gdy wychodziłem na spotkania. Nigdy do końca nie rozumiałem dlaczego, ale wydawało się, że łączy je szczególna relacja. Kiedyś spytałem Mimi, co razem robiły, i odpowiedziała: „Anna mówi, że dobrze jest sobie posiedzieć i pomyśleć. Twierdzi, że ludzie za dużo mówią, a za mało myślą. Więc to właśnie robimy”. Potem się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

Kiedy przyjechałem tego dnia rano, Anna siedziała w kącie przy biurku. Czytała, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyłem twarz ściągniętą i bladą, jakby zmarzniętą, pomimo ciepłego dnia. Obciągnęła rękawy swojego szarego rozpinanego swetra, na krótko napotkawszy mój wzrok.

- Ten pokój co zwykle - powiedziała i wręczyła mi klucz.

Przekładała papiery na biurku i wiedziałem, że coś jej chodzi po głowie, że chce coś powiedzieć. Ale milczała, a kiedy ponownie podniosła wzrok, wydało mi się, że bardzo leciutko potrząsnęła głową, a jej bladoniebieskie oczy napełniły się łzami. Biorąc klucz, bez zastanowienia pokręciłem głową, odwróciłem się i przeszedłem do holu. Odetchnąłem z ulgą, gdy się od niej odwróciłem. Pewnie nam się wydaje, że w ten sposób jesteśmy bezpieczni. Że nasze plecy nas ochronią, ukryją uczucia. Ale to oczywiście złudzenie. Nawet najmniejsze dziecko potrafi odczytać stan człowieka z jego postawy. Kiedyś gdzieś słyszałem, że depresję można zdiagnozować na podstawie chodu człowieka. Obserwując, jak porusza stopami, jak wysoko je unosi. Nasze ciała to niepewni strażnicy naszych tajemnic. Chociaż upłynął rok, odkąd straciłem Mimi, nadal nie potrafiłem sprostać reakcjom innych ludzi. Zwłaszcza tych, których nie widziałem od tamtego lutowego dnia. A żeby chronić swoje uczucia, musiałem zaufać swoim plecóm, trzymać się prosto i równo stawiać kroki. Moje opanowanie było kruchutkie jak szkło.

Z pokoju zadzwoniłem do Klary Fried. Miała mocny i zaskakująco ponury głos z

twardym europejskim akcentem. Wiadomość przekazała jasno i oszczędnie. Nie zadawała żadnych pytań, podała adres i wskazówki, proponując popołudnie, i rozłączyła się.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, poczułem się głupio. Jaka sprawę mam do tej starej kobiety? Na co liczę? Wyrzałem przez okno. Niewyraźnie zamajaczyło morze, iskrząca się w słońcu powierzchnia smagana wiatrem. Czy ta kobieta miała klucz do próżni, jaką było moje pochodzenie? Czy zdoła nieco rozświetlić ten mrok? Wydobyć dźwięki tam, gdzie przez całe moje życie panowała cisza?

Potrafi mi powiedzieć, kim byłem?

8

Klara Fried mieszkała w Hataitai, tuż w pobliżu zatoki.

Po drodze zatrzymałem się w małej kafejce w Oriental Parade i wypilem kawę, potem poszedłem pod górę przez Roseneath. Pogoda była ładna, powietrze świeżo oczyszczone przez nieustanny wiatr, a niebo bezkresne. Nie śpiesząc się, podziwiałem widok. Kiedy dotarłem na szczyt, po drugiej stronie morza zamajaczył zarys koniuszka Wyspy Południowej. Widziałem grzbiety mew wiszących w powietrzu w dole stromego wzgórza i paru windsurferów przecinających dalej w dole turkusową powierzchnię. Odnosiłem wrażenie, że stoję za sterem wielkiego okrętu, przed sobą miałem otwarte niebo i morze, a za sobą świat.

Dom był jedną z wielu podobnych drewnianych chat na stokach Mount Victoria, wychodzących na port. Biały, o bładoniebieskich wykończeniach, z małym suchym trawnikiem oraz rzędem afrykańskich lilii o żółknących liściach i wypalonych kwiatach wzdłuż białego parkanu. Otworzyłem furtkę i wszedłem na chodnik, który przecinając trawnik, prowadził do frontowych schodów. Zanim podniosłem rękę, żeby zapukać, drzwi się otworzyły.

Klara Fried była wysoka. Z jakiegoś powodu wyobrażałem sobie, że jest niska i pulchna, ale kobieta, która stała przede mną, była prawie tak wysoka jak ja. Trzymała się bardzo prosto, co jeszcze bardziej podkreślało jej wzrost. Chociaż była szczupła, nie miała w sobie niczego kruchego czy bezbronno. Ubrana w starannie wyprasowane czarne spodnie i gładką białą bluzkę, wyglądała na pewną siebie i zrównoważoną. Twarz pociągła i wąska o bladej, zaskakująco gładkiej skórze, mocnych ciemnych brwiach i wydatnym nosie oraz pełnych ustach. Nie była to twarz piękna w konwencjonalnym sensie, ale frapująca. Ciężkie

złote kolczyki rozciągały płatki jej uszu. Włosy miała siwe, ściągnięte w ciasny kok. Wyciągnąłem na powitanie rękę, ale ona nie zareagowała, tylko odsunęła się, żeby mnie wpuścić. Dopiero gdy się odwróciłem i stanąłem przed nią w słabo oświetlonym korytarzu, zdałem sobie sprawę, że jest niewidoma.

Szła przede mną pewnym krokiem, prowadząc do małego salonu. Przejęty, zatrzymałem się w miejscu. Wchodziłem do innego świata, w inny czas. Ściany pokryte ciemnoczerwonymi tapetami w kwiaty, zasłonięte jednak prawie całkowicie przez obrazy i fotografie w ramach. Meble z ciemnego drewna na wysoki połysk wyglądały na antyki: niewielka sofa ze stoliczkiem do kawy, stół obiadowy z czterema krzesłami, biblioteczka na całą ścianę i zegar szafkowy w kącie. Po drugiej stronie pokoju stał fortepian z zamkniętą pokrywą. Orientalny dywan zakrywał podłogę prawie od ściany do ściany, a częściowo zaciągnięte ciemnoczerwone jedwabne kotary tworzyły ramę dla dwóch okien, utrzymując pokój w czerwonym półmroku. Mimo tych wszystkich wyszukanych szczegółów pokój wyglądał dziwnie bezosobowo. Mógłby być filmową dekoracją albo sezonową ekspozycją w muzeum. Zachecony przez panią domu zatopiłem się w miękkich aksamitnych poduszkach na sofie. Klara Fried spytała, czego bym się napił, kawy czy herbaty, a gdy podziękowałem, wysunęła jedno z krzesel i siadła naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu. Jaskrawe światło i dźwięki realnego świata za oknami wydawały się odległe.

- Tak - powiedziała stara kobieta, patrząc na mnie czy może prześwietlając mnie swoimi niewidzącymi oczami. Dość duże kościste ręce złożyła na podolku, trzymała się prosto, nie odchylając pleców na oparcie krzesła. Nagle ogarnęło mnie poczucie śmieszności, wręcz winy, że tak się jej narzucam. Pani Fried nic już nie mówiła, tylko siedziała z przechyloną głową.

Stara kobieta w milczeniu pokiwała głową.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać - powiedziałem, trąc dłonie.

- Wszystko zaczęło się rok temu - dodałem po chwili. - W War Memorial Museum. W Auckland.

Potem rozmyśliłem się i zacząłem od nowa.

- Nie, to nie tak. Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że zaczęło się, gdy się urodziłem. A może o wiele wcześniej. W jakimś sensie chyba nic nie ma początku ani końca. Ale czasami z perspektywy czasu udaje nam się dostrzec momenty, w których nastąpiły punkty zwrotne naszego życia. I to właśnie tam, w muzeum, uświadomiłem sobie, w jakiej pustce żyłem przez całe życie. Z absolutną jasnością uświadomiłem sobie, jak całymi latami snułem się, nie mając żadnego pojęcia, skąd pochodzę.

Rozejrzałem się po pokoju, ponownie szukając słów.

- Najpierw zobaczyłem portret pani brata, a potem pani notkę. I w końcu jego nazwisko. W tym momencie jakby drzwi otworzyły się na oścież. - Odchrząknąłem i podjąłem po krótkim wahaniu:

- Z powodu nazwiska. Jak wyjaśniłem w moim liście.

Spojrzałem na twarz starej kobiety, czekając na odpowiedź. Milczała.

- Ale wtedy... - zawahałem się. - Coś się zdarzyło, coś, co unieważniło ten nowo odkryty zmysł orientacji. Straciłem córkę.

Niewidzące oczy pani Fried wciąż utkwione w mojej twarzy. Powoli kiwnęła głową. Zastanawiałem się, czy przeprowadziłaby własne dochodzenie, gdyby wiedziała, kim jestem.

- Przyjechałem na Nową Zelandię prawie dziewiętnaście lat temu. Nie była to przemyślana emigracja, tylko prowizoryczny plan. Ucieczka. Chyba nigdy nie myślałem, że w końcu zamieszkać tu na stałe. Ale czas tak szybko płynął. I osiedliliśmy się tu, córka i ja. Urządziliśmy się na nowo, próbując wymazać przeszłość. Tak samo jak moja matka.

Znowu odczekałem, licząc na jakąś reakcję, ale stara kobieta nadal milczała.

- Stałem się poniekąd pasożytem, wykorzystując córkę jak aparaturę do podtrzymywania życia. Ona zapuściła tu korzenie, które również mnie zaczęły żywić. Gdy ją straciłem, pogubiłem się kompletnie. Nic mnie tu nie czekało i nie było do czego wracać. Teraz patrzę wstecz i wydaje mi się, jakby między moim przybyciem do tego kraju a ubiegłym rokiem w ogóle nie upłynął czas. Ale ten czas jest wszystkim, czego mogę się trzymać. Pamięć o tym czasie jest wszystkim. Wcześniej nicość. Teraz nicość.

Miałem wrażenie, że coraz mniej rozumiem, ale ze strony starej kobiety wciąż nie mogłem się doczekać widocznej reakcji, więc musiałem ciągnąć dalej.

- Kiedy przyjechałem tutaj z córką, nie wiedziałem, jak długo zostaniemy. Gdybym o tym myślał, z pewnością uznałbym to za rozwiązanie krótkoterminowe. Potrzebowałem czasu na zastanowienie, jak powinienem zorganizować nasze wspólne życie. Może kilka lat. Zaproponowano mi pracę, przyjechałem i myślałem tylko o najbliższej przyszłości dla nas dwojga.

- Kim pan jest z zawodu?

Oderwałem spojrzenie od swoich rąk.

- Jestem muzykiem. Uczę, komponuję. - Znow umilkłem na chwilę.

- To, co chyba postrzegałem jako interludium, zarówno prywatnie, jak i zawodowo, stało się życiem, które dałem mojej córce. Uważałem, że sama decyzja, żeby tu przyjechać, daje mi jakąś konstrukcję, coś, co pozwala tymczasem przyszpilić moje życie. Teraz

uświadamiam sobie, że w ten sposób je przeżyłem: doraźnie, bez długoterminowych planów.

Odchrząknąłem.

- Widzi pani, nigdy nie miałem żadnego związku ze swoją przeszłością. Moje życie dwukrotnie zaczynało się od nowa, nieodwołalnie zostawiając przeszłość za sobą. Pierwszy raz, gdy jako małe dziecko przyjechałem do Szwecji, a potem znowu, gdy przyjechałem tutaj. I za każdym razem początek poprzedzała jakaś śmierć. Zupełnie jakbym zawsze miał tylko i wyłącznie teraźniejszość, ponieważ przeszłość niezmiennie była gwałtownie odcinana bez pozostawienia jakichkolwiek więzów, związków. Teraz rozumiem, że nie można stworzyć wizji przyszłości, jeśli nie ma się przeszłości. Że może w jakimś sensie pojęcie o tym, co nieznanie, można zbudować jedynie na podstawie naszej przeszłości. Nasza przeszłość, dobra czy zła, jest odniesieniem, którego potrzebujemy, żeby uczynić możliwą przyszłość. Przez jedenaście lat miałem nadzieję, że uda mi się powoli zakumulować jakąś nową, wystarczającą przeszłość. Zamiast tego straciłem także teraźniejszość. Co do przyszłości, nigdy nie wiedziałem, w jaki sposób ją sobie wyobrazić. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Wydało mi się, że stara kobieta kiwnęła głową, ale nie odezwała się.

- Ostatnio myślałem, że może tym, którzy dorastali, nie znając swoich początków, zawsze pozostanie ta uporczywa niepewność. Szczęście zawsze będzie im się wydawać czymś krótkotrwałym, ulotnym, ponieważ brakuje im pewności, która bierze się z przekonania, że nawet jeśli traci się szczęście, to jakąś ulgę przyniesie jego wspomnienie. Łatwo uwierzyć, że żal i utrata są czymś stałym, jeśli się nie ma perspektywy, jaką umożliwia historia.

Czułem, że zaczynam się plątać.

- Tego dnia, gdy zobaczyłem pani ekspozycję w muzeum, miałem wrażenie, że coś mnie tam prowadziło. - Przytaknąłem sobie skinieniem głowy. - Tak, chyba tak właśnie można to opisać. Córka powiedziała, żebym wybrał się do miasta i rozerwał. Toteż zrobiłem to, naruszając wszelkie swoje ustalone zwyczaje. Zupełnie jakby moment był odpowiedni albo przynajmniej tak mi się wydawało. Jakbym w końcu znalazł drzwi do swojej przeszłości i był gotów je otworzyć.

Przerwałem, ale odpowiedzi nie było.

- Nie wiem, po co to wszystko pani opowiadam - ciągnąłem. Ale Klara Fried tylko ponownie kiwnęła głową, a może tak mi się wydawało. Nic nie powiedziała.

- Tamtej soboty rok temu... - na chwilę zawiesiłem głos - poczułem się obnażony, jakbym miał dokonać przeglądu mojego ograniczonego życia. Zobaczyłem swoje wady jako ojca, jako muzyka, jako człowieka odsłonięte w jaskrawym świetle letniego dnia. Czułem się

także tak, jakby czegoś ode mnie oczekiwano, a ja miałem zrozumieć czego. Teraz myślę, że ten przypadek, ten łańcuch zdarzeń być może został mi ofiarowany, ażeby uratować moje życie. Trzeba było roku, żebym zaczął na to patrzeć w ten sposób.

Pani Fried nadal siedziała wyprostowana z głową lekko przechyloną na bok. Czułem, że słucha z całą uwagą, ale rozmyślnie powstrzymuje się od odpowiedzi.

W pokoju na chwilę zaległa cisza, wypełniona jedynie tykaniem zegara.

- Gdy ujrzałem nazwisko pani brata, pomyślałem... pomyślałem... - Gestem pokazałem, że trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. - Wtedy, rok temu, zamierzałem się z panią skontaktować. Ale zanim znalazłem sposobność, całe moje życie rozpadło się w jednej chwili.

Chciałem, żeby stara kobieta zapytała mnie o coś i uwolniła od tego monologu. Ale nie odzywała się, zachowując kamienny wyraz twarzy. Więc jeszcze raz podjąłem wątek, w nadziei, że dojdę do końca. Wstałem i włożywszy ręce do kieszeni, podszedłem do okna. Przez wąski prześwit pomiędzy zasłonami roztaczał się widok na Miramar i dalej. Był zniewalająco piękny, wzgórza oświetlone popołudniowym słońcem, przesuwane kolejno odcienie zieleni i szarości z rozbłyskami intensywnie błękitnozielonego morza. Czułem się nie na miejscu, jak na scenie z nieodpowiednią scenografią. Widok tak bardzo kłócił się z wnętrzem domu, że z powodzeniem mógłby uchodzić za domalowane tło.

- Kiedy natknąłem się na pani ekspozycję, najpierw poczułem podniecenie. Powiązanie. Nazwisko. Miałem ochotę pobiec z powrotem do domu i natychmiast się z panią skontaktować. Chodziło oczywiście o moją własną ciekawość. Nadzieję. Myślałem także o córce. O jej prawie do mojej przeszłości. Prawie do jej własnej przeszłości. - Szukałem w myślach właściwego słowa na określenie moich uczuć.

- Teraz pośpiechu już nie ma. Właściwie, w jakiś absurdalny sposób, nie będę miał nic przeciwko temu, by te poszukiwania zajęły całą resztę mojego życia. - Słyszałem wypowiedane przez siebie słowa, zupełnie jakby wyjaśnienie było adresowane tyleż do mnie, co do starej kobiety. - A zarazem wydaje się jeszcze ważniejsze niż przedtem. Bezwzględnie konieczne. Muszę spróbować znaleźć swoją przeszłość. - Coraz trudniej mi było dobierać słowa i je wypowiadać. - Stała się wszystkim - powiedziałem.

W milczeniu, jakie potem zapadło, pokój wypełniło tykanie szafkowego zegara. Z zewnątrz nie docierał żaden dźwięk. Zupełnie jakby świat się wycofał, jakby jedyną rzeczywistością pozostał ciemny pokój i my oboje.

- Ale być może to tylko mrzonka, coś, czego głupio się uczepiłem. Może po prostu tylko zabieram pani czas.

Ponownie zapadła cisza, po czym stara kobieta zwróciła twarz w moją stronę. W końcu się odezwała.

- Ależ nie. Bynajmniej, wcale pan nie zabiera. Myślę, że wręcz przeciwnie. Jeśli chodzi o mój czas, to jest mi obojętny. Istnieję, ale czas nie ma znaczenia. Pan może myśleć, że nie ma pan przyszłości, ale w moim przypadku jest to fakt. Mój czas się kończy. Toteż liczy się dla mnie tylko tu i teraz. I mój związek z przeszłością. Cieszę się, że pan przyjechał. Nawet pan nie wie, jak bardzo.

Klara Fried patrzyła prosto na mnie i trudno mi było uwierzyć, że jej oczy mnie nie widzą.

- Pozwoli pan, że coś opowiem - rzekła. - Niech pan usiądzie.

Zanim zaczęła mówić, odczekała, aż usłyszy, że przeszedłem przez pokój i zająłem miejsce na sofie.

9

- Była sobie mała dziewczynka, która uwielbiała grać na pianinie. - Stara kobieta jakby się zawahała i zanim ponownie podjęła opowieść, przyłożyła koniuszki palców do ust.

Tą dziewczynką byłam ja, Klara Lipska.

Mieszkałam w dużym mieszkaniu, gdzie były dwa pianina - jedno dla mnie, a drugie dla mojej matki. Nie potrafiłabym przypomnieć sobie dnia, kiedy nie grałam. Muzyka zagarnęła cały mój świat: mieszkanie z wyfroterowanym parkietem, który skrzypiał, gdy się po nim chodziło - inaczej w przypadku każdego członka rodziny. Delikatnie pod stopami mojego ojca, który zawsze się śpieszył; cicho, gdy czasami tańczyła na nim matka. Głośno i z protestem pod stopami Olgi, naszej służącej. I tylko Adam potrafił przejść po podłodze bezszelestnie, jakby tłumila jego kroki. Albo jakby niezupełnie tam był, a jego stopy nigdy całkiem nie dotykały podłogi.

Moja dziewczęca muzyka wzbijała się od klawiatury i wydawało się, że jest w niej słońce wpadające przez przezroczyste koronkowe zasłony. Że obejmuje niedzielne obiady, kiedy ćwiczyliśmy francuski. Mieszala się z zapachem dobiegającym z kuchni, w której Olga smażyła placki. Pieściła miękkie włosy mojej matki, świeżo Wykrochmaloną koszulę mojego ojca, różowe hiacynty na obiadowym stole. Przewijała się przez pokoje, omiatając ciemne tapety, politurowane mahoniowe meble, chodniki o zawitych wzorach. Niosła się na zewnątrz przez otwarte okno do parku, po którym sobotnimi popołudniami spacerowałam z matką.

Obejmowała wszystkie pory roku: zimy z przejażdżkami saniami i jazdą na łyżwach po zamrożonej rzece, wiosny z wyprawami za miasto w pokryte polnymi kwiatami doliny, lata w górach pachnących sosnowymi igłami i żywicą. I moją ulubioną porę, jesień, z ekstrawagancką fanfarą czerwonych i żółtych, złotych i pomarańczowych liści na drzewach pod moim oknem i powietrzem wypełnionym zapachem deszczu i mokrej ziemi.

Moja muzyka zawładnęła wszystkim, co wiązało się z moim życiem.

Toteż właśnie wtedy, gdy utraciłam muzykę, przez jakiś czas wydawało mi się, że utraciłam wszystko, co ona zawierała. Samo moje życie. Potem moją matkę. I w końcu mój kraj. Ale to utrata Adama sprawiła, że muzyka w mojej głowie zamilkła. To właśnie odejście Adama otwarło drzwi i wpuściło do środka lodowaty wiatr.

Stara kobieta zamilkła, pograżając się we wspomnieniach. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Potem nabrała powietrza i opowiadała dalej.

Mój brat był starszy o osiem lat, był już mężczyzną, gdy ja byłam jeszcze dziewczynką. Był wysoki - nawet wyższy od ojca - ale o ile ojciec był głośny i reagował emocjonalnie, o tyle Adam był cichy i refleksyjny. Grał na skrzypcach, ale zupełnie inaczej niż ja na pianinie. Widzi pan, Adam był niemową i wyrażał siebie wyłącznie przez muzykę. Mnie to wystarczało, żeby go całkowicie rozumieć. Dlatego myślę, że grał, bo musiał, i grał z nieomal przerażającym zapamiętaniem. Słuchałam z podziwem, ale też zawsze z trwogą. Żadnej ulgi; znacząca była każda grana przez niego nuta. Skrzypce wyrastały mu z ręki - zupełnie jakby stanowiły część jego ciała, a on po prostu jej używał. Tak jak biło jego serce, tak jego ręce musiały grać, jeśli miał żyć. Grał, a ja siadywałam na oknie w salonie muzycznym i słuchałam, obejmując rękoma kolana, wpatrzona w jego twarz. Muzyka spełniała moje życie. W przypadku Adama była chyba samym życiem. Kiedy odkładał skrzypce, stawał się nieważkim ciałem, które bezgłośnie przemierzało parkiet. Tajemniczym, ale też bezbronnym. I milczącym. Zupełnie jakby przestając grać, przestawał żyć. A gdy odebrano mu muzykę, musiał odejść i podążyć tam, gdzie mógł liczyć na jej odzyskanie. Od tego zależało jego życie.

Potem, po bardzo długim czasie, gdy nie byłam już małą dziewczynką i kiedy pewnie mogłam już kontynuować granie, nie zdecydowałam się. Nie było niczego, co chciałabym uchwycić. Ale w głębi ducha ponownie odezwała się dawna muzyka, cichuteńko. Mogłam zamknąć oczy i bezgłośnie grać, i powoli je odzyskiwałam - wspomnienia.

Z wyjątkiem Adama. Nigdy nie potrafiłam go odzyskać, bo nie był częścią mojej muzyki. Miał swoją, a ja nie mogłam jej już usłyszeć.

Stara kobieta na chwilę przerwała.

- Wiem, jak wygląda ten pokój, chociaż już nie widzę. Wolę tak, bo to, co tu widać, to tylko kopia. Podróbka. Nawet fotografie. Szaleństwo, próba odtworzenia czegoś, co nie wymagało odtworzenia. Ponieważ znajduje się tutaj. - Lekko dotknęła swojego czoła. - Tutaj, wszystko. Z wyjątkiem mojego Adama. Odebrano mi go, a ja szukam go przez całe życie.

Zamilkła i ukryła twarz w dłoniach.

Było mi głupio, łamałem sobie głowę, co by tu powiedzieć. Ale ona po chwili opuściła rękę i podjęła swą opowieść tak samo silnym głosem.

- Ta ekspozycja w muzeum to niemądry, błahy gest starej kobiety. Zastanawiałam się, czy nie prosić o jej usunięcie. Ale wtedy... - Nie dokończyła.

Milczałem.

- Niech pan podejdzie i poda mi dłoń - powiedziała pani Fried. Wyciągnąłem rękę z kieszeni i podszedłem do niej.

- Nie tę, drugą - powiedziała niecierpliwie, gdy wyciągnąłem prawą rękę. Posłusznie podałem jej lewą. - Jest pan leworęczny - stwierdziła.

Kiwnąłem głową, ale uzmysłowiłem sobie, że mnie nie widzi, więc odpowiedziałem:

- Owszem.

- I gra pan na skrzypcach, prawda? - spytała.

Kiwnąłem głową, ale tak jakby już wiedziała, więc nawet się nie odezwałem.

Ujęła moją dłoń i delikatnie ją pogłaskała, potem przebiegła palcami po moich palcach, aż natrafiła na mały palec, zgięty. Na chwilę znieruchomiała, potem raptownie puściła moją rękę.

- Coś panu przyniosę - powiedziała i wyszła z pokoju. Wróciłem na sofę i z powrotem zanurzyłem się w poduszkach, bezwiednie zaciskając prawą dłoń na palcach lewej. Nagle pokój zrobił się klaustrofobicznie ciasny, gorący i duszny. Szarpnąłem kołnierzyk koszuli, żeby go rozluźnić. Zza drzwi obok dobiegły niewyraźne odgłosy, potem dały się słyszeć kroki w przedpokoju i pojawiła się starsza pani, niosąc małe kartonowe pudełko. Położyła je na stole i sięgnęła do środka.

- Mam je od tak dawna - powiedziała. - Przede wszystkim to ja w ogóle ich nie chciałam, ale ofiarowano mi je. - Wyprostowała się i usłyszałem, jak odwrócona plecami do mnie bierze oddech. I ponownie uderzyła mnie myśl, że są chwile, gdy nie możemy pokazać światu swojej twarzy i musimy się odwrócić. Zauważyłem, że trzyma niewielką kupkę czegoś, co wyglądało na listy przewiązane wstążką.

- Jest jeszcze inna historia, którą chciałabym panu opowiedzieć, jeśli jest pan w stanie słuchać - powiedziała.

- Oczywiście - odparłem. - To dla mnie zaszczyt. Przebywać u pani. Słuchać.

- Nadzieja jest tak bolesna - powiedziała stara kobieta. - Dotykam pańskiej ręki. Słucham pańskiego głosu i naczynia mojego wypalonego serca napęlniają się krwią, tkanki miękną. To rani. Siedzi pan w tym pokoju po drugiej stronie stołu i czuję zapach pańskiego ciała. Wiem, że nie jest pan młody, ale dla mnie tak. Nie mogę się dowiedzieć, jak pan wygląda, ale wiem, że jest pan wysoki. Chodzi pan lekko - chyba nie jest pan zbyt tęgi. Słucham pańskiego głosu, trzymam pana ręce i czuję ogrom pańskiego smutku. Świeżego serdecznego żalu, ale także tego dawnego, mrocznego smutku. A mimo to przepęlnia mnie nadzieja.

Pani Fried usiadła na krześle i spojrzała na mnie niewidzącymi oczami.

10

Tego dnia, gdy mój Adam mnie opuścił, padało.

Przyszedł tylko po to, żeby się pożegnać, twarz miał mokrą. Mokry miał płaszcz i ręce. Przykucnął, żebyśmy mogli na siebie spojrzeć, i objął chłodnymi dłońmi moje policzki. Spojrzał mi w oczy i pocałował w czoło. Położył palec na swoich ustach, potem na moich, nakazując milczenie, pragnąc, bym przestała szlochać. Położył mi rękę na głowie, pogłaskał, potem wstał i nie odwracając się, poszedł korytarzem. Ojciec trzymał matkę w ramionach, a deszcz ciężko tłukł w okna w salonie. Patrzyłam, jak stopy Adama bezgłośnie przemierzają podłogę. Gdy już zamknął za sobą frontowe drzwi, zauważyłam na parkiecie mokre ślady i wiedziałam, że gdy wyschną, wszelki ślad po moim bracie zniknie. Żałowałam, że nie mogłam go zatrzymać, tylko patrzyłam na te ślady, aż wchłonęło je drewno i wysuszyło powietrze.

Jeszcze tego samego dnia weszłam do salonu muzycznego i usiadłam przy oknie. Deszcz spływał po szybie, a świat za oknem był zamazany, jakbym patrzyła przez lzy. Widziałam pulpit przy pianinie i wiedziałam, że Adam już nigdy z niego nie skorzysta. Już nigdy nie usłyszę, jak gra. Chyba wtedy właśnie utraciłam moją muzykę. Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek potem otworzyli pianino.

Wieczorem zasiedliśmy do pierwszej kolacji bez niego. Jedliśmy w milczeniu, które wypełniał szmer deszczu. Nasza jadalnia, która zawsze wydawała się taka przytulna, pełna światła i szczęścia, była teraz pusta i zimna. Zapachy, które łączyły się, tworząc czarującą całość, teraz rozszczępiały się i jedne były nieznośnie smutne, inne obce, wręcz odrażające. Zapach tłuszczu i pary z kuchni, więdnących kwiatów na stole, węgla palącego się w piecu -

wszystkie je czułam, osobno, i wypełniały mi nozdrza odrębnymi, nieprzyjemnymi woniami. Patrzyłam na jedzenie na talerzu i kawałek mięsa rósł mi w ustach, gdy próbowałam go przełknąć. Kiedy podniosłam wzrok, po drugiej stronie stołu ujrzałam swoich na zawsze już zmienionych rodziców. W jednej chwili stali się moimi rówieśnikami, wcale nie mądrzejszymi ode mnie. Byliśmy tak samo zagubieni i oszołomieni. Wiele miesięcy później opuściła nas służąca Olga i zabrała ze sobą z domu ostatnie ślady życia. Ale wtedy wydawało się, że to tylko niewielka dodatkowa strata.

Jakiś czas po odejściu Adama, pod koniec zimy, zaczęła przychodzić Wanda Majska. Oczywiście znałam ją. Wiedziałam, że razem z siostrą grywały z Adamem. Ale jej nie lubiłam. Byłam dzieckiem, a ona nigdy przedtem mnie nie zauważała. Na początku, kiedy przyszła, żeby poprosić o przesyłanie jej listów Adamowi, zawsze chciała się spotkać z matką, ale po jakimś czasie, kiedy matka zupełnie przestała widywać się z ludźmi, odwiedzała mnie. Zawsze była bardzo piękna, ale gdy wszystko wokół się zmieniało, jej uroda wydawała się coraz bardziej nie na miejscu. Jakby nie w porządku. Przypominała barwnego wędrownego ptaka, który nie odleciał późną jesienią. I tym właśnie się dla mnie stała, gdy tylko zaświtała mi ta myśl. Ptakiem. Potem przy każdych odwiedzinach wydawało się, że traci barwy, zupełnie jakby zrzucała pióra, liniała. Z tym swoim bujnym biustem i ostrą twarzą o wielkich zimnych oczach coraz bardziej upodobniała się do gołębia. A gdy zaczęła nosić sukienki po siostrze, moje skrepowanie jeszcze wzrosło. Nagle pojawiła się w ponurej szarości i stonowanym fiolecie i już całkiem zamieniła się w gołębia. Odpychała mnie, przerażała, tak jak ptaki. Nie lubię ich gwałtownych ruchów, ostrych dziobów, szponów. Ich nieprzewidywalnego lotu.

Po raz pierwszy coś się zmieniło, gdy włożyła szarą sukienkę Marty wyszywaną przy szyi czarnymi paciorkami. Pamiętałam, że Marta miała ją na sobie w czasie jednego z ostatnich domowych koncertów. Pamiętałam, jak pięknie wyglądała. Widząc w niej Wandę, czułam, że coś nie gra. Siedziałam bezradna, pionek w grze, której nie rozumiałam. W sposobie bycia Wandy pojawiła się jakaś nowa determinacja. A ponieważ my wszyscy utraciliśmy swoją, więc jej determinacja wydawała się szczególnie niepokojąca.

Zostawiała swoje kalosze w korytarzu, nie zdejmując jednak płaszcza, wchodziła do salonu, siadała na brzeżku sofy, rozpiniała płaszcz i wygładzała spódnicę na kolanach. Potem zakładała nogę na nogę i wbijała we mnie spojrzenie swoich zimnych oczu. Zawsze zadawała te same pytania i opowiadała te same historie.

„Jak się miewają rodzice, Klaro?” i „Żyjemy w takich trudnych czasach”, powtarzała z westchnieniem. Po czym znów świdrowała mnie wzrokiem. „Należymy do tych, którzy ocaleli, Klaro. I musimy być silni. Silni i praktyczni. Za wszystkich”. Wpatrywała się w moją

twarz. „Ty i ja, Klaro”. A potem uśmiechała się do mnie konspiracyjnie, błyskając nawet na chwilę zębami, i po politurowanej powierzchni stołu popychała w moją stronę kolejny list. Nigdy nie powiedziała mi wprost, co mam z nimi robić. Po prostu tę kopertę pozostawiała między nami, patrząc na mnie bez zmrużenia powiek tymi swoimi jasnymi oczami. Siedziałam sztywno naprzeciwko niej przy stole, z rękami przyciśniętymi do ciała, z opuszczonymi oczami, nie dopuszczając współnictwa. Wtedy ona, szybko nabrawszy powietrza, wstawiała, poprawiała płaszcz i z powrotem go zapinała. „Pozdrów ode mnie rodziców” - mówiła, potem cmokała mnie w policzek, pozostawiając zapach słodkich perfum, i ruszała szybkim krokiem po parkiecie, mocno stukając obcasami. Bałam się tych jej wizyt.

Listy wkładałam do pudełka w moim pokoju. Odtąd ciążyły mi na sumieniu. Nigdy nie mówiła, co mam z nimi robić, ale rozumialiśmy się. I to porozumienie było czymś okropnym. Byłam dzieckiem, ale jakoś intuicyjnie wiedziałam, że prowadzi ze mną grę. Dając kopertę i nigdy żadnych instrukcji. Z wyjątkiem ostatniego razu. Ten list w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób był inny. Leżał na stole między nami, a ona położyła na nim dłoń, usidlając mnie spojrzeniem. Patrzyła znacząco i mówiła powoli, akcentując każde słowo.

„To jest bardzo ważny list, Klaro. Bardzo ważny. Chcę, żebyś zrobiła wszystko, co w twojej mocy, aby na pewno dotarł do twojego brata”. Przerwała, a potem dodała z nikłym uśmiechem: „Ale jestem pewna, że zawsze robisz wszystko, co w twojej mocy. Jesteś bystrą dziewczynką, Klaro. I rozumiemy się”. I znów uśmiechnęła się porozumiewawczo. Czulałam, jak ściska mi się gardło, łzy pod powiekami palą, ale w żadnym wypadku nie sprawiłabym jej satysfakcji, płacząc przy niej. Skinęłam głową i wzięłam z jej ręki list. Kiedy wyszła, dołożyłam go do pozostałych. Nigdy nie miałam siły ich zniszczyć. Ani nie chciałam ich czytać. Zbieranie ich i odkładanie w jakiś sposób chyba pomniejszało moją rolę. Byłam prawie przekonana, że w ogóle nie mam z nimi nic wspólnego. Odkładałam je, a potem umywałam ręce.

Zostałam dozorczynią nieotwartych kopert, a te z czasem coraz bardziej mi ciążyły. W końcu, gdy mogłam mieć przy sobie tylko to, co najbardziej niezbędne, zabrałam je ze sobą do nowego życia. Być może ze względu na winę: potrzebowałam ich jako namacalnego jej dowodu. Podróżowały ze mną na koniec świata. I w miarę upływu lat brzemień tych nieprzeczytanych listów stawało się coraz bardziej ponad moje siły. Często mnie niepokoją, tym częściej, że moje życie zamiera i już widzę jego koniec. Czasami gwałtownie napadają mnie wyrzuty sumienia. Zastanawiam się, czy moje działania albo zaniechania nie przyczyniły się aby do mojej własnej straty. Czy bezwiednie sama siebie nie zniszczyłam.

Pani Fried niepewnie poklepała plik listów trzymany w drugiej ręce. Potem

ponownie sięgnęła do pudełka, wyjęła pojedynczą kopertę i podała mi ją.

- Odchodząc, niech pan ją weźmie ze sobą - powiedziała. - Pan wychodzi, prawda? - Nie byłem pewien, czy ma na myśli wyjście z jej domu, odjazd z Wellington czy zamorską podróż. Potem z lewego rękawa sukienki wyciągnęła małą wizytówkę.

- To także proszę wziąć. Szymon Liebermann to mój drogi przyjaciel. Może zechce pan skontaktować się z nim. Przyjmie pana, gdy powoła się pan na moje nazwisko. Zrozumie.

Wzięła mnie za rękę.

- To nie strata. Myślę, że z czasem uczymy się akceptować nasze straty, nawet najcięższe. To nie wiedza. Wyczerpujący ból nadziei, choćby najmniejszej. W taki właśnie sposób to postrzegałam. - Niewidzące oczy starej kobiety patrzyły prosto na mnie, a jej usta wykrzywiły się w nieznacznym grymasie, którego zupełnie nie potrafiłem zinterpretować. Dotarło do mnie jednak, że nie chce mi już zadawać żadnych pytań. Że nasze spotkanie dobiegło końca.

- Jeśli pan zechce, proszę dać mi znać, czego pan się dowiedział.

Cofnąłem rękę, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić. Ale ona wybawiła mnie od konieczności mówienia czegokolwiek, odwracając się i prowadząc do wyjścia.

Ręki już mi nie podała, tylko otworzyła drzwi i stanęła obok, żeby mnie przepuścić. Gdy szedłem ogrodową ścieżką, usłyszałem, że coś mówi. Zatrzymałem się i odwróciłem.

- *Szczęśliwej podróży, Adamie. I wracaj szybko!* - powiedziała po polsku i uśmiechnęła się; przelotne drgnienie, zamknięte usta.

Słuchałem i w mojej pamięci rozbrzmiało echo obcojęzycznych słów.

11

Wracając, postanowiłem wybrać się spacerem przez Hataitai w stronę szczytu Mount Victoria. Było wczesne popołudnie i słońce przesunęło się, pozostawiając w cieniu tę stronę wzgórz i oświetlając wzgórz za wodą. Wiatr zamierał; było to jedno z tych cennych spokojnych popołudni późnego lata, gdy miasto robiło sobie krótką przerwę. A może tylko przystawało, żeby wziąć oddech i przygotować się do kolejnego dnia, który prawie na pewno znów będzie wietrzny.

Dotarwszy na wzgórze, usiadłem na trawiastym stoku wychodzącym na port. I znowu uprzytomniłem sobie, jak bardzo z tej perspektywy, z góry podoba mi się Wellington. Podczas swoich wizyt często przychodziłem na punkt widokowy i zawsze miałem wrażenie,

jakbym się znalazł na krawędzi ziemi i dostępował zaszczytu widzenia rzadko oglądanego miejsca. Za każdym razem, gdy wracałem do Auckland, jednogodzinny lot okazywał się cofnięciem do rzeczywistości po krótkich odwiedzinach w innym, samowystarczalnym świecie. Wellington ma swoją dziką stronę, jakby schludne uliczki i malowniczy port były tylko fasadą maskującą ukryty zamęt. Miasto przypomina dobrze ubraną kobietę, którą zdradzają dzikie oczy.

Usiadłem na trawie z kopertą, którą dała mi Klara Fried. Najpierw wyciągnąłem wizytówkę. Na czystym białym kartoniku widniało nazwisko Szymon Liebermann oraz adres w Krakowie i numer telefonu. Koperta nie zawierała chyba wiele więcej. Parokrotnie przesunąłem palcami wzdłuż brzegu, nie otwierając skrzydełka, z oczami utkwionymi w rozpostartym niżej morzu odbijającym słońce, które właśnie zachodziło za wzgórzami Khandallah. Z jakiegoś dziwnego powodu nagle pomyślałem o mojej matce. O jej ostatnich słowach:

- Nie mam nic do powiedzenia. - Jakby dla podkreślenia, mocno zacisnęła usta. I oczy. Wiedziałem, że cierpi, choć nigdy się nie skarżyła.

Siedziałem u jej wezgłowia w cichym pokoju i wsłuchiwałem się w jej ciężki oddech.

- Życie jest życiem; trzeba być praktycznym - powiedziała po chwili i otworzyła oczy. Zawsze były niezwykle - wielkie i bardzo jasnoniebieskie. Teraz wydawały się ogromne: głębie nieruchomej, nieprzejrzystej wody. Zimnej, zamarznętej. - Staralam się... - Nie dokończyła zdania i zamknęła oczy. Czuję się tak, jakbym powinien był coś zrobić, żeby jej pomóc, ale nie przychodziła mi na myśl żadna odpowiedź. Po chwili znowu się odezwała.

- Przydałoby ci się więcej zdrowego rozsądku, Adamie - powiedziała. - Bądź praktyczny. Radź sobie w życiu. Nie patrz w przeszłość. W cieniach przeszłości nie znajdziesz pomocy. Nie ma rady. Sami musimy sobie radzić jak najlepiej.

I niezdarnie się odwróciła, najpierw głowę, a potem całe pokurczone ciało. Stałem i przez chwilę patrzyłem na jej wąskie plecy. Drobne, kiedyś zaskakująco ponętne ciało było już tylko wolą kurczowo trzymającą się kości. Odwróciłem się, żeby wyjść z pokoju, ale zatrzymał mnie jej głos:

- Nie ma pociechy, Adamie, nigdzie. Nie ma przebaczenia. Jesteśmy pozostawieni samym sobie. Z naszymi wspomnieniami. A lepiej byłoby, gdybyśmy ich nie mieli.

W pokoju zapadła cisza i pytania, które chciałem zadać, wypaliły się w mojej głowie. W bezruchu, odwrócona do mnie plecami, wypowiedziała ostatnie słowa:

- Nie mam nic do powiedzenia.

W nocy umarła i już nigdy nie usłyszałem jej głosu.

Zostawiła mi jedynie srebrną szkatułkę i zdjęcia, które w niej były.

I konta. Byłem zaskoczony, gdy się dowiedziałem, że jej majątek obejmował tak duże sumy pieniędzy, rozdzielone na pewną liczbę kont w Szwecji i Szwajcarii. Zaskoczony i skrępowany. Nie miałem z nimi nic wspólnego. *Mamma* odeszła, a została tylko ta zagadkowa fortuna. Umarła tak, jak żyła. W milczeniu. I samotnie. Od diagnozy do śmierci upłynęło mniej niż pół roku, a ona ani razu się nie poskarżyła. Praktyczna, zawsze praktyczna. Ale także skryta, nawet swoją chorobę zachowała dla siebie, nie pozostawiła żadnego testamentu, dziennika, żadnych osobistych papierów. I nikogo, kogo można by zapytać. Zamknęła za sobą drzwi, nie zostawiając mi żadnego klucza do przeszłości. Tylko pieniądze.

Siedziałem na wzgórzu wznoszącym się nad Wellington i spojrzeniem zahaczyłem o trzymaną w rękach kopertę. Otworzyłem ją i wyjąłem dwie fotografie. Najpierw obejrzałem pierwszą. Stanowiła część większego obrazu - ktoś zapewne wyciął ją ze zbiorowego zdjęcia. Zauważyłem, że boki są przycięte trochę nierówno. Widniała na niej młoda kobieta. Stała wyprostowana i patrzyła prosto w obiektyw. Miała na sobie ciemny strój, może jakiś mundur, i buty na płaskim obcasie. Włosy rozdzielone przedziałkiem na środku głowy i splecione w warkocze. Wyglądała bardzo młodo i bezbrinnie. Zauważyłem, że na zdjęciu była zapewne z jakimiś innymi kobietami - za nią widać było kilka stóp, a po jednej stronie część ramienia. Odwróciłem zdjęcie. Z tyłu ktoś napisał imię Marta i numer - nie datę, może numer telefonu.

Na drugim zdjęciu był młody mężczyzna w stroju wieczorowym. Trzymał skrzypce. Nie było to zdjęcie portretowe wykonane w atelier, chyba zrobiono je w czasie jakiejś uroczystości - w tle znajdowali się ludzie. Duże ciemne oczy mężczyzny patrzyły prosto w obiektyw z wyrazem łagodnego zniecierpliwienia, jakby właśnie nagle poproszono go, by zapozował. Był wysoki jak tyczka, miał czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy.

Kołnierzyk wokół szyi wydawał się za obszerny, a marynarka wisiała luźno, jakby strój został kupiony na specjalną okazję, ale na wyrost. Na odwrocie nie było żadnego podpisu, ale rozpoznałem mężczyznę, podobnie jak kobietę. Mężczyzną był Adam Lipski, a kobietą Marta z fotografii z mojej srebrnej szkatułki. Siostra mojej matki.

Siedziałem przez chwilę, trzymając w ręce oba zdjęcia. Potem, gdy wsuwałem je do koperty, zauważyłem w środku niewielki wycinek z gazety. Był parokrotnie złożony, a pozółkły papier kruszył się w palcach, gdy wydobyłem go i rozłożyłem. Nie potrafiłem odczytać tekstu, ale przypuszczałem, że był po polsku. Na górnym marginesie ktoś napisał ołówkiem datę, ale nie po polsku. Po francusku: *le 21 ème février 1939*. Wycinek zawierał zdjęcie i tekst, mniej więcej ćwierćstronicowy.

Przyjrzałem się bliżej. Od razu spostrzegłam, że to Adam Lipski, sfotografowany prawdopodobnie w związku z tym samym wydarzeniem co na zdjęciu. Miał na sobie ten sam luźny wieczorowy garnitur. Za nim stał nieco starszy mężczyzna, którego mgliście rozpoznawałem: niższy, o gęstych, falujących włosach i wyraźnym dołku w podbródku, również w wieczorowym stroju. Starszy mężczyzna obejmował prawą ręką Adama. Obaj się uśmiechali.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Włożyłem wycinek z powrotem do koperty i wsunąłem do kieszeni marynarki na piersi.

Wstałem i zacząłem schodzić.

12

„Zostaw wiadomość”.

Potem, po krótkiej pauzie: „Jeśli chcesz”. Głos jakby urywany, ton niedbały. Chyba że chciał sprawdzić, czy wywarł wrażenie. Przycisnąłem słuchawkę do ucha, gdy krótkie nagranie dobiegło końca, a po nim nastąpił krótki sygnał i cisza. Nie jestem pewien, co miałem nadzieję usłyszeć. Nagrana wiadomość była przeznaczona dla wszystkich i dla nikogo. Patrzyłem przez duże okno na horyzont za zatoką, gdzie widać było światła statku przesuujące się niczym pęk spadających gwiazd. Przez chwilę wsłuchiwałem się w niezmienną ciszę, ale nie odezwałem się, nie zostawiłem wiadomości.

Ale przynajmniej zadzwoniłem.

Z Wellington wracałem z mieszanymi uczuciami. Gdy wczesnym wieczorem stanąłem w drzwiach, w domu panował nieznośny upał i duchota. Otworzyłem łamane drzwi na taras i wyszedłem. Stojąc z rękami na balustradzie, uświadomiłem sobie, jak jestem zmęczony. Cała ta podróż wydała mi się teraz jakaś niewydarzona. Folgowanie sobie i szaleństwo. Ale najbardziej przytłaczało mnie dojmujące poczucie winy, jakby najmniejszy przyływ emocji albo uczucie podniecenia były zdradą.

Od lunchu nic nie jadłem, więc wszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę. Stałem przy otwartych drzwiach znowu przygnieciony przez wyrzuty sumienia. Kiedy ostatni raz zabrałem uczucia głodu? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Lodówka świeciła pustkami, ale usmażyłem sobie dwa jajka i zjadłem je na tarasie z kromką czerstwego chleba. Słońce zachodziło i za morzem widziałem zarysy Auckland na tle widowiskowego, różowopomarańczowego zachodu słońca. Cofnąłem się do lodówki i

wyjąłem piwo. Stojąc na tarasie i kontemplując widok, myślałem o pozostawionej przez matkę namacalnej pozostałości początków mojego życia. O małej srebrnej szkatułce oraz o zdjęciach i dokumentach, które mieściła. I przypominałem sobie moment, gdy je pierwszy raz zobaczyłem.

Były tam, rozrzucone po szarym linoleum, które moja matka wściekle pastowała co czwartek. Dowód. Przybyła do domu wcześniej i nakryła mnie na gorącym uczynku. Nie mogłem nic powiedzieć i ku mojemu zdumieniu ona też nic nie powiedziała. Zamiast tego, wciąż nie zdejmując płaszcza, schyliła się i pozbierała upuszczone przeze mnie kartki swoimi eleganckimi, bardzo drobnymi dłońmi, którymi poruszała tak szybko jak wtedy, gdy rozdawała karty do codziennego pasjansa. Jej popelinowy płaszcz szeleścił. Nie padło ani jedno słowo i usłyszałem, jak odetchnęła, podnosząc się niezgrabnie. Ułożyła zdjęcia, wyrównując brzegi, po czym z powrotem schowała je do szkatułki. Machnęła ręką i podeszła do otwartej szafy, gdzie na chwilę zatrzymała się, odwróciwszy się plecami. Sprawiała wrażenie, że się waha, i słyszałem, jak wciąga powietrze przez nos: suchy, gniewny odgłos. Ale nie odezwała się ani słowem. Poczulem gwałtowne bicie serca i pokój skurczył się, aż stał się tak nieznośnie mały, że zabrakło w nim powietrza dla nas dwojga.

Zamknęła wreszcie szafę, podeszła do małego stolika nocnego i włożyła szkatułkę do szuflady. Do śmierci nigdy nawet nie wspomniała o tym incydencie. Ani ja. I to milczenie mnie przerażało bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Później, gdy poczułem, że mogę wykrztusić pytanie, było już za późno. Szkatułka wraz ze zdjęciami stała się moją własnością. Mogłem je przeglądać bez pośpiechu, ale one milczały.

Przesiadywałem do późna. Siedziałem na sofie przed telewizorem, ale nie patrzyłem na ekran. Dźwięk był ściśniony tak, że nierozróżnialny szum tworzył wokół moich myśli mur. Wiedziałem, że powinienem pracować. Ostatnio przyjąłem nowe zamówienie, pierwsze od roku, muzykę do filmu krótkometrażowego. Ostateczny termin zbliżał się szybko, a wciąż jeszcze były kwestie, z którymi musiałem się uporać: wymykające mi się dźwięki, wymagające wygładzenia usterki techniczne.

A ja stałem. Podeszedłem do dużego okna w wykuszu. Zawiał wiatr i przyniósł zapach morza. Tak naturalnie się to mówi, a tak trudno to wyjaśnić. Czy to woda pachnie? Czy też jest to zetknięcie żywiołów, morza i lądu? Czy morze samo w sobie ma zapach? Ten nieomal namacalny cierpko-słony smak - czy istnieje, gdy unosimy się w bezmiarze otaczającego nas zewsząd oceanu?

Było ciemno i gdy spojrzałem w niebo, moim oczom ukazały się, jakby zapalone po

kolei, gwiazdy. Wyszedłem do mojego niewielkiego studia, znajdującego się niżej w osobnym budynku. Usiadłem tam przed schodami i patrzyłem w niebo. Gdy wpatrywałem się w nieskończoną ciemność nad sobą, niebo z wolna wypełniało się gwiazdami, aż Droga Mleczna rozpostarła się w przestworzu niczym migotliwa biała wstęga.

I wtedy przypomniałem sobie, jak pierwszy raz świadomie badałem niebo, leżąc na wznak w śniegu niedaleko mojego mieszkania w południowym Sztokholmie. Inne dzieci na dworze bawiły się, robiąc w śniegu anioły. A ja patrzyłem z okna w kuchni, i gdy dzieci wołano na obiad, wychodziłem i kładłem się na jednym z odcisniętych aniołów. Wpatrywałem się w ciemne styczniowe niebo i byłem na ten widok kompletnie nieprzygotowany. Im bardziej koncentrowałem wzrok, tym więcej gwiazd się wyłaniało, aż wydawało się, że niebo ożywa w eksplozji białych iskier, tak blisko były gwiazdy, a raczej miałem wrażenie, że gdyby mnie ktoś podsadził, mógłbym ich dotknąć wyciągniętą ręką.

Leżałem w ramionach anioła, dopóki chłód śniegu nie przeniknął mojej kurtki i czapki. Po tym pierwszym objawieniu przez całe życie szukałem miejsc, z których można by obserwować niebo, gdzie ciemności nie rozpraszało sztuczne światło. Pod tym względem Waiheke było przyjazne i oboje z Mimi wyłączaliśmy wszystkie światła, siadaliśmy na tarasie i próbowaliśmy rozpoznawać gwiazdozbiory południowego nieba. Nie znałem ich, a kiedy Mimi była mała, niecierpliwiła ją moja niewiedza. Później jednak przez całe lata wspólnie badaliśmy niebo.

Oderwałem oczy od nieba, wstałem i otworzyłem drzwi do gabinetu. Zatrzymałem się w progu, z rękami w kieszeniach, patrząc na biurko, na którym znajdował się keyboard. Krzesło było zapraszająco odwrócone w moją stronę, ale ja zamknąłem drzwi i odszedłem. Noc była przyjemna, głośno grały cykady.

W końcu wszedłem do środka. Mijając drzwi do pokoju Mimi, lekko jak zawsze położyłem rękę na klamce. Rzadko kiedy wchodziłem do jej pokoju, ale moja ręka sama wyciągała się do drzwi, ilekroć przechodziłem. Poszedłem dalej do swojej sypialni i na dłuższą chwilę przysiadłem na brzegu łóżka, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi. W środku było jeszcze cieplej i po chwili otworzyłem okno. Oddychając głęboko, uzmysłowiłem sobie, że świadomie czuję zapachy i odbieram barwy. Że obserwowałem niebo, słyszałem cykady.

Wyciągnąłem dolną szufladę nocnego stolika i wymacałem w środku srebrną szkatułkę. Zanim ją otworzyłem, przejechałem palcami po wieczku. Gdy jako dziecko zobaczyłem ją po raz pierwszy, zafascynował mnie wypukły deseń na wieczku i bokach,

przedstawiający chyba ludzi oddających się gwałtownym, jak sądziłem erotycznym praktykom. Może to wpłynęło na moje poczucie wstydu, bo gdy odkryłem to po raz pierwszy, poczułem się tak, jakbym został przyłapany na niedozwolonej czynności. Teraz wiem, że były to obrazy religijne - przedstawiające Izraelitów uciekających z Egiptu. I zacząłem się zastanawiać, czy wstyd i wina nie dotyczyły być może w takim samym stopniu matki, jak mnie.

Otworzyłem szkatułkę i odwróciłem ją do góry dnem, tak że zawartość miękko wylądowała na narzucie łóżka. Były to dwa czarno-białe zdjęcia, jedno nowsze, wielkości paszportowego, a drugie błyszczące, czarno-białe. Ponadto były dwie kartki pożółkłego papieru, złożone we czworo i jedna złożona na pół. Wziąłem jedną fotografię i uważnie przyjrzałem się znanemu obrazowi. Było to zdjęcie przedstawiające szóstkę młodych ludzi, dwie kobiety i czterech mężczyzn. Trzej mężczyźni swobodnie siedzieli na trawie z rękami zaplecionymi wokół łydek i wzrokiem skierowanym przed siebie. Dwaj się uśmiechali, a trzeci trzymał w ustach fajkę. Za nimi chyba klęczeli, żeby znaleźć się wyżej niż siedzący mężczyźni, mężczyzna i dwie kobiety. Kobieta z lewej była drobna, długie ciemne włosy miała upięte z tyłu, ale uniesione przez wiatr i rozwiane wokół twarzy. Wydawało się, że patrzy na coś, co znajduje się po lewej stronie poza obrazem, gdzie widać było leżące w trawie koło roweru. Wiedziałem, że to Marta, siostra mamy, kobieta ze zdjęcia, które dała mi Klara Fried. Druga kobieta miała pociągająco pełną figurę, jedną rękę unosiła do czoła, jakby odgarniała z oczu jasne włosy, a drugą opierała na ramieniu mężczyzny siedzącego przed nią. Patrzyła w obiektyw, lekko pochylona do przodu, jakby właśnie na chwilę podniosła wzrok, na krótko przerywając rozmowę. Uśmiechała się. Wiedziałem, że to moja matka, ale nigdy nie potrafiłem pogodzić tego wizerunku z tym, jak sam ją postrzegałem. Według mnie nie uśmiechała się nigdy.

Z jakiegoś powodu twarz mężczyzny siedzącego między kobietami była prawie całkowicie zaciemniona, albo przez przelotny cień - rzucany być może przez przedmiot znajdujący się za fotografującym - albo wskutek jakiejś usterki technicznej. Mężczyzna ten był znacznie wyższy od obu kobiet i chyba miał na sobie koszulę i marynarkę, podczas gdy pozostali byli bez marynarek. Ręce trzymał na ramionach kobiet, ale z jakąś rezerwą w postawie, zupełnie jakby podporządkowując się wskazówkom fotografującego, a nie z własnej inicjatywy. U dołu zdjęcia ktoś narysował kontur postaci i ołówkiem zanotował imiona klęczącej trójki: Marta, Adam i Wanda. Trójka mężczyzn z przodu pozostała bezimienna, nie było też daty i miejsca. Skoncentrowałem wzrok na zamazanej twarzy pośrodku i teraz moja wyobraźnia wyposażyla ją w rysy Adama Lipskiego. Brata Klary Fried.

Mojego ojca? Jeśli tak, to dlaczego matka ani razu o nim nie wspomniała? I dlaczego nie nazywałem się już Lipski, tylko Anker?

Położyłem na narzucie fotografię, którą miałem wcześniej. Był to portret mojej matki i jakiegoś starszego pana. Matka miała na sobie ciemną sukienkę i sznur pereł na szyi. Mężczyzna był w ciemnym garniturze z kamizelką, która opinała jego wydatny brzuch. Nie dotykali się, nie uśmiechali. Obok matki stała doniczkowa palma, a w jednym rogu zdjęcia widniała wytłoczona złotem nazwa studia fotograficznego: G&A, Berlin. Nie miałem pojęcia, kim jest mężczyzna, ale zawsze zakładałem, że to pan Anker, mąż mojej matki. Człowiek, którego nazwisko nosiłem przez całe swoje życie. Jeśli to było zdjęcie z ich ślubu, to chyba nie było to szczęśliwe wydarzenie.

Odłożyłem zdjęcie i wziąłem to drugie, błyszczące. Zrobił je uliczny fotograf tuż za bramą Skansenu, plenerowego muzeum w Sztokholmie. Zapamiętałem ten dzień - rzadka okazja. Byliśmy na nim oboje, ja i matka, obok siebie. Przyglądałem się jej uważniej, starając się o obiektywizm. Nie miała jeszcze czterdziestki, ale wyglądała na starszą. Nie tyle z uwagi na swoje rysy, ile ze względu na przyjętą pozę. Świadoma decyzja bycia kobietą w średnim wieku. Nie był to dla mnie przyjemny dzień - byłem już za stary na foki i małpy, a za młody na historyczne osady i zabytki. I krępowało mnie towarzystwo. Patrzyłem na siebie, chudego czternastolatka, ponurego, niezdarnego, ubranego w krótkie spodenki i koszulę z długimi rękawami, pozującego obok mojej *Mammy*. Miała na sobie jedną ze swoich typowych kwiecistych sukienek z szeroką spódnicą, jasny letni płaszcz, rozpięty, rękawiczki i kapelusz. Chociaż jej strój przypominał stroje matek dzieci z mojej klasy, to wyglądała jakoś inaczej. Żadna inna matka tak nie wyglądała.

Ale i żaden inny chłopak nie wyglądał wtedy tak jak ja. Pamiętałem, że gdziekolwiek szedłem, czułem się tak, jakbym na piersi miał niewidzialny znak, stwierdzający, że jestem obcy. Czułem to, gdy byłem sam, a jeszcze bardziej w towarzystwie matki. Instynktownie zdawałem sobie sprawę, że podkreślamy nawzajem swoją odrębność. Osobno być może mieliśmy nikłą szansę na wtopienie się; razem byliśmy niesamowicie obcy. Tak, jakbyśmy wydzielali jakiś szczególny zapach, który dla wszystkich był oczywisty. Tutaj na zdjęciu stoimy obok siebie, ona trzymając kurczowo oburącz torebkę, ja z rękami w kieszeniach, oboje bez uśmiechu. Obok siebie, ale nie razem. O czym myślała? Dlaczego zabrała mnie do parku? Było oczywiste, że nie sprawia jej to przyjemności. Ani mnie. Zrobiła to dla mnie? Albo myślała, że to właśnie normalnie robią ludzie, ludzie mający swoje miejsce; że nasza wycieczka pozwoli nam się wtopić, chociaż na jedno popołudnie?

Położyłem zdjęcie obok dwóch pozostałych i wziąłem złożoną kartkę papieru. Była

krucha, pożółkła i zaczęła rozdzierać się na zagięciach. Siedziałem i trzymałem ją w rękach na wół rozłożoną. Nie musiałem jej czytać, żeby przypomnieć sobie tekst. Podawał miejsce i datę moich narodzin - 16 stycznia 1941 roku, Kraków - oraz moje imię i nazwisko - Adam Lipski, syn Wandy z domu Majskiej i Adama Lipskiego. Położyłem kartkę na łóżku i wzięłem niewielką książeczkę, nasz paszport, przepustkę do nowego życia. Zdjęcie przypięte do dokumentu i częściowo zakryte oficjalnym stemplem przedstawiało moją matkę trzymającą mnie w ramionach. Dziecko było niemożliwym do zidentyfikowania szkrabem. Matka wyglądała poważnie, była napięta. A może tylko zdeterminowana. Za to żadnych oznak macierzyńskiej dumy. Albo miłości. Może takie uczucia zeszyły na drugi plan wobec najpilniejszej troski o przetrwanie. Stała sztywno i niezgrabnie: ja równie dobrze mógłbym być powierzonym jej opiece pakunkiem.

Patrzyłem na tę przepustkę do nowego życia, jedyne znanego mi życia, i nie czułem nic. Data narodzin była identyczna z tą, którą miałem w swojej metryce, ale na paszporcie występowałem pod nazwiskiem Adam Anker, nazwiskiem, pod którym przeżyłem całe swoje świadome życie. Krótki odcinek czasu dzielący oba dokumenty zionął pustką, moja zmarła matka nieodwracalnie zniszczyła łączący je pomost.

W końcu wzięłem ostatnią fotografię, odwróciłem ją i odczytałem zapisane ukośnie słowa: *Mig tyckes natten bära / ditt namn i svag musik / C''*. Tak dawno już nie czytałem ani nie mówiłem po szwedzku. Teraz szeptem odczytałem sobie tekst: *Tak jakby noc niosła mi twoje imię w cichej muzyce.*

Odwróciłem zdjęcie i spojrzałem na to, co przedstawia, chociaż nie musiałem: była to tylko konkretna manifestacja twojego wizerunku, który nosiłem w sobie. Z zamkniętymi oczami mógłbym opisać każdy szczegół. Czułem zapach włosów odgarniętych z poważnej twarzy, pamiętałem gładkość skóry na czole, precyzyjnie odtwarzałem zawilóść kształtu ucha, smak warg, palcem przemknąłem po brwiach. Pamiętam dokładnie kolor twoich ciemnych oczu. Koniuszkami palców dotknąłem zdjęcia i przez chwilę siedziałem nieruchomo. Oto obraz utraconej przeszłości mojej córki, tak jak pozostałe zdjęcia przedstawiały obraz przeszłości mojej. Oto bolesna przeszłość, nad którą panowałem. Przeszłość, którą mogłem ofiarować Mimi, ale nie zdecydowałem się. Matka, którą powinienem był pozwolić jej poznać.

Powoli pozbierałem zdjęcia i dokumenty, i z powrotem wsadziłem do szkatułki. Potem trzymałem ją w rękach - zimny metal dotykający moich palców - i rozmyślałem o pierwszym spotkaniu. Gdy pierwszy raz cię ujrzałem, Cecylio.

Był grudzień i właśnie skończył się doroczny koncert. Na sali uczniowie i nauczyciele

przemieszani z publicznością, a ja próbowałem przebić się przez tłum w stronę wyjścia. Cofnąłem się, żeby kogoś nie potrącić i zamiast tego wpadłem na ciebie. Odwróciłaś się, trzymając wysoko kieliszek, żeby czerwone wino nie pochlapało ci białej bluzki. Potem spojrzałaś mi prosto w oczy i opuściłaś kieliszek, ale nie odezwałaś się, tylko lekko skinęłaś głową.

- Na czym grasz? - spytałem, starając się w jakiś sposób przedłużyć chwilę. Na to uśmiechnęłaś się i podniosłaś rękę, zwracając dłoń w moją stronę.

- Na tym - powiedziałaś - to mój instrument. I na tym. - Wskazałaś na swoje oczy. Zaświeciły ciemno w mrocznej sali. - Nie jestem muzykiem, maluję. - Odwróciłaś się, wyciągnęłaś szyję i wypatrywałaś kogoś w otaczającym tłumie. - Jestem tu z przyjaciółką. A raczej ze znajomą. Gra na wiolonczeli. - Odwróciłaś się twarzą do mnie i w naszej sztucznej rozmowie nastąpiła przerwa. I coś zaskoczyło, jak w nieodwracalnej reakcji chemicznej. Taka krótka chwila milczenia, ale przecież gdy otworzyłaś usta, żeby ponownie się odezwać, moje życie zmieniło się na zawsze.

- Ale chyba ją zgubiłam - powiedziałaś i wzruszyłaś ramionami.

Przedstawiłem się i spytałem, jak ci na imię.

- Cecylia, Cecylia Hägg. - Nie podałaś mi ręki, tylko uniosłaś kieliszek z krzywym uśmiechem, jakby trochę kpiąc ze mnie. Albo prowokując. Nie przychodziło mi na myśl nic, co warte byłoby przekrzykiwania panującego hałasu, więc tylko zrewanżowałem się, unosząc kieliszek. Ale wtedy pochyliłaś się w moją stronę, ja zareagowałem, spotykając cię w pół drogi, i powiedziałaś mi prosto do ucha:

- Mój ojciec był muzykiem. Pianistą. Może słyszałeś o nim. Andreas Hägg.

Poczułem zapach twoich włosów, gdy musnęły mi policzek. Nie odpowiedziałem, tylko kiwnąłem głową. Tragiczna nagła śmierć, przypomniałem sobie. Wypadek na oblodzonej zimowej drodze podczas powrotu z tournée. Msza żałobna w kościele św. Jakuba w Sztokholmie, w której uczestniczyli muzycy ze wszystkich zakątków kraju i wielu z zagranicy. Oczywiście, że słyszałem o Andreasie Häggu.

Przyglądałem ci się, gdy ty nadal obserwowałaś salę, poszukując przyjaciółki. Wysoka, prawie tak wysoka jak ja, trzymałaś się bardzo prosto, ramiona odchylone do tyłu, podbródek uniesiony. Twój profil rysował się wyraźnie na tle podświetlonej sceny: prosty nos, mocny podbródek i wysokie czoło. Ale łagodne, lekko rozchylone wargi. Nigdy dotąd się nie zastanawiałem, ile masz lat - może dwadzieścia, dwa razy mniej niż ja. Tyle, ile moi studenci. Już wtedy, podczas pierwszego spotkania, wydawało mi się, że jesteś w nieokreślonym wieku. Tak młoda i tak piękna, ale tak bardzo niezależna, że wiek przestawał

mieć znaczenie.

Kiedy ponownie odwróciłaś się do mnie, zatrzymałaś spojrzenie ciemnych oczu na mojej twarzy, mrużąc je i ściągając brwi, a ja poczułem się jak na przeglądzie, jakby mnie taksowano i szacowano. Po chwili jeszcze raz uśmiechnęłaś się tym swoim drwiącym uśmiechem i pochyliłaś się, lekko kładąc dłoń na moim ramieniu.

- Chodźmy gdzieś indziej. Tutaj jest za głośno na rozmowę.

Sztokholm spał pod miękką kołdrą świeżego śniegu. Padało przez cały dzień, ale gdy szliśmy Valhallavägen, w ciemnościach unosiły się tylko przypadkowe płatki. Temperatura spadła i śnieg był jasny, suchy, i wzbijał się spod naszych stóp. Miasto wydawało się oczyszczone i wyciszone. Kontrast z hałaśliwymi wnętrzami nie mógł być bardziej jaskrawy. Przez chwilę spowijał nas utrzymujący się żar, ale niebawem przeniknęło nas zimne, czyste powietrze i popchnęło ku sobie. Schodziliśmy powoli z góry do centrum miasta, aż natknęliśmy się na otwartą restaurację. Przez całą drogę przejmująco czułem twoje ciało obok mojego.

Dopiero kiedy spojrzałem na menu, uświadomiłem sobie, że restauracja specjalizuje się w polskim jedzeniu. Duszone mięso w potrawce. Było późno i chcieliśmy tylko kawę, ale kelnerka rozpląwała się w uśmiechach i nie okazała zniecierpliwienia ani rozczarowania. Obsłużyła nas szybko. Mocny napar podawany w miedzianych dzbanuszkach, z bitą śmietaną i małym kieliszkiem brandy. Rozmawialiśmy o sztuce. Muzyka. Książki. Filmy. Spojrzałaś na moje ręce, a ja poczułem, że muszę zamknąć oczy, podnieść brodę, gdy zatrzymywałaś na mnie wzrok. Miałaś niezwykle oczy. Twoje oczy. Roziskrzzone czarne studnie pełne głębi i tajemnicy, kontrastujące z bladą cerą i jasnymi, ściągniętymi do tyłu włosami. Później odkryję, że twoje oczy wcale nie były czarne, lecz w kolorze leśnych jagód, ale tam, za stolikiem, były czarne jak grudniowe niebo na dworze.

Niewiele mi o sobie mówiłaś, ale gdy zaczynałaś mówić o swojej pracy, miałem chwilę wytchnienia od ciągłego badania mojej twarzy. Twoje ręce unosiły się nad stolikiem, wykonując szybkie gesty, oczy iskrzyły, a słowa nabierały wyrazu. Żarliwości.

- Maluję, bo muszę. Nie umiem tego inaczej określić - powiedziałaś, rozkładając ręce i patrząc na mnie, jakby chcąc sprawdzić, czy rozumiem. - To nie zawsze jest przyjemne. Właściwie prawie nigdy. Nie. To frustrujące. Trudne. Niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - spytałem.

- Tak. - Skinęłaś głową. - Niebezpieczne. Bo wszystko tam jest. Wystawione. Wszystko jest na widoku.

Przytaknąłem skinieniem głowy, chociaż nie byłem pewien, czy wiem, co masz na

myśli.

- To tak, jakbyś rozerwał sobie pierś - dodałaś. - Albo pozwolił komuś - wszystkim, komukolwiek - wejść do swojej duszy. - Odchyliłaś się w krześle do tyłu. - Oczywiście nie wszyscy potrafią zinterpretować to, co im się przedstawia. Albo nie wszystkich to obchodzi. A to też jest okropne.

Ponownie położyłaś ręce na dzielącym nas stoliku, płasko na blacie, i zwiesiłaś głowę. Zupełnie nie potrafiłem interpretować mowy twojego ciała. Byłaś smutna? Może trochę wstawiona? Zmęczona? Nie umiałem powiedzieć.

Ale wtedy powoli podniosłaś głowę i zrozumiałem, że wszystkie moje domysły były błędne.

- Pójdziemy do mnie? - spytałaś.

Siedziałem w swojej sypialni na drugim końcu świata z małym zdjęciem w dłoni. Jedyłą namacalną pamiątką spędzonego razem czasu.

I po raz pierwszy od śmierci Mimi rozplakałem się.

13

Cisza została zakłócona.

Przez następny tydzień usiłowałem skupić się na pracy, spędzając większość dni w studiu. Ale okazało się, że rozpraszają mnie myśli o moim spotkaniu z Klarą Fried. W sobotę wróciłem do domu późno po południu, uszy paliły mnie od słońca. W weekendy było jeszcze trudniej niż w zwykłe dni. Nie było ku temu żadnego logicznego powodu - mojego życia nie regulowały dni powszednie. Ale w tygodniu jakoś łatwiej udawało się zachować pozory normalności. Tego dnia wczesnie usiadłem przy stole na tarasie z poranną kawą i perspektywa kolejnego samotnego dnia w domu okazała się nagle nieznośna. Pod wpływem impulsu zadzwoniłem do Antony'ego i Vanessy. Przyjaciele - odkąd zostaliśmy sąsiadami, gdy tu przyjechałem - byli taktowni i życzliwi: nie zadawali pytań i nie oczekiwali odpowiedzi. W ciągu minionego roku zachowywali przyjazny dystans, zawsze jednak dając mi odczuć, że są do mojej dyspozycji, na każde moje skinienie. Nie mieli dzieci - nigdy nie dowiedziałem się dlaczego - i Mimi także była ich. Smutek przeżywali podwójny: dzieląc mój i zmagając się z własnym.

Niestrudzenie zapraszali mnie na lunchy, kolacje i inne okazje. Choć rzadko

przyjmowałem te zaproszenia, ciągle je ponawiali. Na początku tygodnia zadzwonili, proponując lunch w sobotę z przyjaciółmi ze Szwecji. Ona pracowała w filmie i oboje sądzili, że może się rozerwę, spotykając się z nimi. Swoim zwyczajem odmówiłem, ale potem w ciągu dnia nagle zmieniłem zdanie. Popołudnie upływało powoli na jedzeniu, piciu i niewymuszonej rozmowie. Szwedzi okazali się ciekawymi ludźmi i odkryliśmy kilka zawodowych powiązań. Uświadomiłem sobie, że miłą odmianę stanowi dla mnie spotkanie z ludźmi, którzy traktują mnie niezbyt poważnie. Którzy nic o mnie nie wiedzą. Godziny mijały szybko. W Waiheke w późne letnie wieczory panuje luzacki nastrój, który trudno znaleźć gdzieś indziej. Naszej trójce, która знаła wyspę, chyba przyjemność sprawiała wyraźna radość, jakiej doznawała para gości.

Wydawało mi się, że pilnuję się z pićm, a tymczasem okazało się, że jestem trochę wstawiony. Mimo to po powrocie do domu zajrzałem do kuchni i wyjąłem z lodówki puszkę piwa.

Wyszedłem na taras, postawiłem puszkę na poręczy i oparłem ręce po obu jej stronach. Dzień tchnął przyjemnym ciepłem przyniesionym przez tygodnie stałych letnich temperatur i słońca. Był koniec lutego, ponownie otwarto szkoły i jak zwykle pogoda zrobiła się letnia. Słońce w złotym *crescendo* zachodziło za kontur odległego miasta za wodą. Postąłem, dokończyłem piwo, potem wszedłem do środka i usiadłem na sofie. Sam w domu, przytłoczony własną obecnością. Nie było niczego, co by mnie oderwało, co pozwoliłoby uciec od własnych myśli czy własnej fizyczności. Uruchomiłem pilotem odtwarzacz CD i pokój wypełniły dźwięki *Wariacji Goldbergowskich* w wykonaniu Glenna Goulda. Grał dojrzały mężczyzna, a nie pełen euforii młody geniusz, i stwierdziłem, że uspokaja mnie, a zarazem zasmuca. Gdy od kontemplacyjnego początku przeszedł do pełnych wytrawnego mistrzostwa szybszych dalszych części utworu, wstałem i podszedłem do biurka. Podniosłem podkładkę pod myszkę, wyciągnąłem kartkę i trzymając ją w ręku, parokrotnie złożyłem i rozłożyłem, obojętnie patrząc przez okno. Tam było już po ósmej, nie za wcześnie na telefon. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer. I tym razem ktoś odebrał.

- Cecylia? - spytałem.

14

- Adam - powiedziałaś.

Natychmiast ogarnęło mnie to samo uczucie, co wtedy, gdy dotykałaś mojej twarzy

palcami, za każdym razem, gdy się spotykaliśmy. Zupełnie, jakby twoje ręce musiały dotykać mojej skóry, żeby się upewnić, że jestem prawdziwy. W taki sam sposób wymawiałaś moje imię, jakby się upewniając.

- Adam - powtórzyłaś powoli.

- Cecylia. Jak się masz? - powiedziałem, skręcając się na dźwięk tych banalnych słów.

- Och, Adamie. - Nastąpiła długa pauza i przez chwilę myślałem, że cię utraciłem. - Równie dobrze mógłbyś spytać, kim jestem - powiedziałaś spokojnie. - Minęło tyle czasu. Bardzo wiele.

- Tak - powiedziałem, czując suchość w ustach. - Dziewiętnaście lat. To bardzo długo.

Nie odpowiedziałaś, więc znowu zacząłem:

- W przyszłym miesiącu będę w Europie i... zastanawiam się, czy spotkałabyś się ze mną, gdy przyjadę do Szwecji.

Gdy ponownie nie odpowiedziałaś, powtórzyłem pytanie:

- Spotkałabyś się?

Wsluchiwałem się w odległy szum na linii, przypominający przyciszony odgłos przetaczających się fal i nieomal ujrzałem ogrom dzielącego nas oceanu.

- Tak - powiedziałaś w końcu. - Przyjeżdż. Tutaj, na wyspę. - Potem, po małej przerwie: - Jeśli chcesz.

Powiedziałem, że podam ci termin, gdy rezerwacja zostanie potwierdzona.

Czekałem na twoją odpowiedź, ale nie było nic. Linia była głucha.

Decyzja zapadła, ale trasa mojej podróży na twoją wyspę nie prowadziła po linii prostej.

15

Wyjeżdżałem.

Zostawiałem bezpieczną Waiheke Island, mój dom przez ponad czternaście lat. Mieszkałem tu dłużej niż gdziekolwiek indziej. Plany miałem niejasne, ale instynktownie wiedziałem, że ten wyjazd nie przypomina innych moich wyjazdów w przeszłości. Nie uciekałem - zmierzałem do celu. Skontaktowałem się z panem Liebermannem, który zgodził się spotkać ze mną w Krakowie.

Od śmierci Mimi minął rok, ale wciąż odczuwałem fizyczny żal, dojmujący ból. Wciąż usilnie zmuszałem się do tego, by się trzymać, poruszać, jeść, pamiętać o tym, który

jest dzień tygodnia i która godzina.

Ale muzyka powróciła. Znowu pracowałem, choć we wszystkim, co robiłem, dostrzegałem zasadniczą różnicę. Słuch mi się wyostrzył, tak jakby złuszczyła się ochronna warstwa skóry. Moja na nowo rozbudzona świadomość nie przypominała niczego, czego do tej pory doświadczałem. Myśli miałem jasne, często dojmujące. Wspomnienia pojawiały się bez ostrzeżenia i nie potrafiłem uchronić się przed ich nawalem. Tydzień po mojej wyprawie do Wellington pojechałem do miasta na spotkanie z pracownikiem biura podróży. Powodów, by lecieć do Europy, miałem kilka i już dawno należało odbyć tę podróż. Od prawie roku unikałem wszelkich zobowiązań i wypracowałem sobie standardową odpowiedź odmowną, której notorycznie używałem. Cały czas wiedziałem, że nadejdzie dzień, gdy będę musiał zdecydować. Ponownie wejść w pozostałości mojego życia i z fragmentów próbować poskładać egzystencję albo pogodzić się ze zwykłym fizycznym przetrwaniem, czymś w rodzaju powolnej śmierci. Odwlekałem jednak decyzję z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. I teraz w końcu nadszedł ten moment. Nie było to świadome, aktywne postanowienie, ale raczej łańcuch wydarzeń, początek niepewnego poszukiwania; nie tyle moja własna inicjatywa, ile przeznaczenie. Małe kroczki, które jakby niosły mnie w nowym kierunku.

Pojawiła się propozycja napisania muzyki do poważnego filmu. Któregoś dnia ni stąd, ni zowąd zadzwonił Ben Kaplan i poprosił o napisanie muzyki do jego nowego filmu fabularnego. Po krótkiej rozmowie obiecał przesłać mailem materiał do podkładu. Nie znałem Bena, choć nasze drogi już parę razy w życiu się przecięły. Słyszałem jednak o jego ostatnim międzynarodowym sukcesie i moje stępiełe zmysły z zaskoczeniem zarejestrowały propozycję. Jego e-mail tkwił w mojej skrzynce przez całe tygodnie, zanim wydrukowałem i przeczytałem materiał. Potem odpisałem, proponując spotkanie. W Szwecji. Była to wyjątkowa okazja, ale to nie ona zaprzętała moje myśli. Zaprzętało je powoli krystalizujące się postanowienie, by ponownie podjąć udaremnioną wyprawę w moją przeszłość.

Podobnie jak jazda do Wellington, wizyta w biurze podróży uruchomiła całą masę emocji. Czuję się trochę tak, jakbym od nowa uczył się chodzić. Snuło się jakieś odległe wspomnienie dotyczące tego, jak sobie radzić z takimi czynnościami, ale teraz do ich wykonania używałem zupełnie innych części mózgu. Mozolnie i z trudem. Bardzo powoli. Ale pomimo przykrości musiałem przyznać, że czuję dreszcz oczekiwania. Chciałem tej podróży. Byłem na nią gotowy.

I wtedy, gdy byłem zupełnie nieprzygotowany, nagle dopadło mnie wspomnienie, jak po raz ostatni zabrałem Mimi i jej przyjaciółkę Charlotte na kolację. Było to tuż przed wakacjami i z jakiegoś powodu wybrałem obracającą się restaurację w Sky Tower. Ale gdy

tylko usiedliśmy, zorientowałem się, że wybór był niemądry. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na twarze dziewcząt, by zrozumieć, że robią to dla mnie, żeby mi sprawić przyjemność, podczas gdy ja myślałem, że ja robię to dla nich. Wszyscy troje czuliśmy się skrępowani, ale jakoś przebrnęliśmy przez trzy daniową kolację, grzecznie rozmawiając i przeżuując, podczas gdy pod nami przesuwało się miasto. W pewnym momencie, pomiędzy głównym daniem a deserem, dziewczęta przeprosiły i poszły do toalety, a ja zostałem przy stole sam. Patrzyłem na morze, gdzie nieco na prawo wyrastał z wody idealnie symetryczny stożek Rangitoto Island, a żaglówki wpływały i wypływały w niekończącej się paradzie. Waiheke usadowiła się dalej na prawo, zlewając się z zarysami innych wysp spowitych całunem podwieczornej mgły. Spoglądałem na miasto, myśląc o tym, że przez prawie osiemnaście lat było moim domem, a jednak z tej perspektywy, z wysoka, wydawało się dziwnie obce. Nagle uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie zagościło w pełni w mojej świadomości jako moje stałe miejsce zamieszkania.

Kiedy się odwróciłem, dziewczęta zajęte poważną rozmową właśnie zmierzały do mnie przez salę. Śledziłem je spojrzeniem i gdy usiadły przy stoliku, uznałem, że rozmieszczenie jest odpowiednie. Dziewczęta razem po jednej stronie, a ja po drugiej. Uświadomiłem sobie, że znaczna część życia Mimi przestaje być mi znana. Gdy się pochylały ze śmiechem, ich włosy mieszały się, opadając na ramiona, ciemne włosy Mimi i jasne Charlotty.

Po kolacji odwiozłem je do domu Charlotty w Ponsonby. Pomachały do mnie, dwie szczupłe ciemne postacie w drzwiach, podświetlone od tyłu, i ogarnął mnie smutek pomieszany z poczuciem ulgi. I winy. Winy, ponieważ odjeżdżałem, i to odjeżdżałem z uczuciem ulgi. Teraz z perspektywy czasu wydaje się to absurdalne. Co wtedy wiedziałem o winie?

W drodze powrotnej usiadłem na promie na górnym pokładzie i patrzyłem, jak miasto stopniowo odsuwa się w tył. Było widno, nie zapadła jeszcze całkowita ciemność, choć w miarę jak zmrok gęstniał, coraz widoczniejsze stawały się miejskie światła. Na górnym pokładzie nie było żadnych innych pasażerów i czułem się tak, jakbym samotnie dryfował na morzu.

W domu błąkałem się po nieruchomej przestrzeni, nagle uświadamiając sobie każdy jej rys. Przypominało mi to dziwne wrażenie, gdy po raz pierwszy słyszałem szwedzki jako język obcy, a nie jako fizyczną część mnie samego. Rytm, dźwięki - wyraźnie słyszałem każde poszczególne słowo, ale tak, jakbym słuchał jakiejś nieswojej muzyki. Na dwóch różnych płaszczyznach równocześnie. Z jednej strony czysta ogólna przyjemność, a

równocześnie naukowa ocena, wsłuchiwanie się w każdy pojedynczy dźwięk, oddzielanie i rozszczepianie, ważenie.

Nigdy na serio nie zacząłem uczyć Mimi szwedzkiego, może dlatego, że sam musiałem przyswoić sobie angielski. A może dlatego, że chciałem stworzyć nowy kontekst dla mojego życia i dla życia mojej córki. Nasz wspólny nowy język był zaporą przed przeszłością.

Być może z tego samego powodu matka nigdy nie mówiła do mnie po polsku. Widzę teraz, że te nagłe i całkowite porzucenia naszych ojczystych języków rozrywały komunikację między pokoleniami, rodząc błędne wyobrażenia, półprawdy; może nawet zrodziły kłamstwa. Moja matka wychowywała mnie w milczeniu i ja to samo zrobiłem córce. Nasze istnienia powstawały bez historii, niczym domy bez fundamentów. Nigdzie nie należeliśmy. I oto mój fizyczny dom, jedyny stały dom, jaki kiedykolwiek stworzyłem, jakby się osuwał, oddalał. Równocześnie stawał się wyraźnie widoczny, niczym język przyswojony w wieku dojrzałym: zrozumiałały, piękny, ale niezupełnie mój.

Nie bardzo wiem, dlaczego dotarło to do mnie akurat tego dnia, gdy stałem na tarasie, obserwując zachód słońca. Nie było w tym nic wyjątkowego; często zabierałem Mimi i Charlotte na kolację do miasta. W ten sposób w niewielkim stopniu odwzajemniałem gościnność, jakiej Mimi doznawała w domu swojej przyjaciółki. Ale teraz, ponad rok później, nabrało to jakiegoś nieuchwytnego znaczenia.

Parę tygodni po tej kolacji któregoś wieczoru siedzieliśmy z Mimi na tarasie, i powiedziała mi, jak się czuła, gdy tamtego wieczoru się rozstawaliśmy.

- Nigdy się nie odwracałeś, żeby pomachać po raz drugi, tato - powiedziała. - Odszedłeś z ulgą, prawda? - Spojrzała na mnie badawczo, jakby usiłując czytać w moich myślach. - Pomachałeś, a potem odwróciłeś się szybko i zniknąłeś za rogiem. Ja także poczułam ulgę. Nie chciałam, ale poczułam. Charlotta ciągnęła mnie za rękę, nalegając, żebym weszła z powrotem do środka, ale chciałam stać tam i patrzeć, jak odchodzisz.

Zwróciła twarz w moją stronę, błądy owal w zmroku letniego wieczoru.

- Zastanawiałam się, jak się żegnaliśmy kiedyś, gdy byłam mała. Zastanawiałam się, czy wiesz, jak się martwię. To straszne złe przeczucie, gdy uwalniałeś się z moich objęć. Jak stałeś i przed odejściem pogodnie machałeś. Zawsze ci odpowiadałam z uśmiechem, ale czy wiesz, że cały czas udawałam? Wiem, że ty też udawałeś. Patrząc na twoje plecy, wiedziałam, że uśmiech pojawiał się tylko dla mnie i znikał z chwilą, gdy się odwracałeś. Ale to wszystko stanowiło część milczącego porozumienia, prawda? Żeby łatwiej było się pożegnać.

Spojrzała na mnie tymi swoimi nieźnośnie przejrzyistymi czarnymi oczami, a potem

powiedziała:

- Ale to chyba nie było uczciwe, tato. Wierzyłam, że jesteśmy partnerami, że dzielimy się wszystkim. Ale zawsze była jakaś częśćka, która przypadła tylko tobie. Dlatego że miałeś życie, zanim ja przyszłam na świat. Miałeś czas, który należał do czegoś innego, do jakiejś mglistej, odległej przeszłości, której nigdy nie mogłam być częścią. Kiedy byłam mała, sądziłam, że nasze życie było tak długie, jak sięgałam pamięcią. Teraz wiem, że zawsze istniała jakaś przeszłość, do której nigdy mnie nie zabierzesz. Ale myślę, że ona także należy do mnie. Naprawdę.

Mówiła bardzo serio, zupełnie jakby przećwiczyła sobie całe przemówienie.

- Zawsze wiedziałam, że są rzeczy, o które nie będę mogła zapytać, rzeczy, o których nigdy mi nie opowiesz, o których nie będziesz dyskutować. Zaakceptowałam to.

I tak się toczyło całe moje życie, prawie jak... upośledzenie, które zniknie, jeśli się o nim nie będzie mówić.

Ach, moja Mimi. Jak miałem zareagować? Jakich udzielić odpowiedzi?

- Ale widzisz, tato, przez długi czas myślałam, że kiedyś i tak się dowiem. Myślałam, że wiem wszystko, co trzeba, żeby się dowiedzieć. I jeśli nie mówiliśmy o przeszłości... cóż, to dlatego, że było to zbyt trudne. Mieliśmy ze sobą milczące porozumienie. I przez długi czas było w porządku. Przez długi czas naprawdę było, tato. Ale przeszłość ciągle istniała. Mogliśmy udawać, że nie istnieje nic poza naszym małym światem, ale oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Dźwigaliśmy wszystko, co zdarzyło się wcześniej, nigdy o tym nie rozmawiając. Wmawiałam sobie, że wiem, co zdarzyło się przed moimi narodzinami, przed naszym wspólnym życiem. Nie mogłam tego pamiętać, ale wciąż to miałam. Tak właśnie myślałam. Przed długi czas nawet nie czułam, że muszę pytać czy badać. Bo wszystko, co było twoje, wydawało mi się także moje. I jeśli było coś, o czym rozmawiało się zbyt trudno... no cóż, było to coś, co za mnie dźwigałeś. I czułam się bezpieczna.

Moja mądra, troskliwa Mimi. Jakże mogłem lekceważyć to, że masz prawo wiedzieć?

- Ale wszystko się zmieniło, tato. Zupełnie jakbym któregoś dnia odkryła maleńkie pęknięcie w naszym doskonałym świecie i teraz patrzyła, jak ono stopniowo się poszerza, z dnia na dzień. Nie chodzi o coś, co powiedziałaś czy zrobiłaś. Albo co ja zrobiłam. Teraz widzę, że będzie tak, że pewnych części mojego życia nigdy nie poznasz. Wiem, że oboje się kochamy, ale to nie oznacza, że jesteśmy tacy sami. Nie widzimy rzeczy w taki sam sposób. Sama muszę podejmować swoje decyzje i muszę wiedzieć wystarczająco dużo, żeby umieć to zrobić. Muszę także znać moją przeszłość, żeby zacząć żyć własnym życiem, tato. Potrzebuję rozmów z tobą. O życiu. O moim życiu. O mamie. Rozmawiaj ze mną.

Myślę o tym, o naszej ostatniej poważnej rozmowie. Najpoważniejszej, jaką kiedykolwiek odbyliśmy. A słyszę tylko Mimi. Gdzie jest *mój* głos? Gdzie są moje odpowiedzi? Najpierw słyszę jej dziewczęcy głosik. Niewinne pytanie, którego ja, dorosły, zawsze potrafiłem uniknąć. „Gdzie jest moja mama?”, „Nie może być z nami, nie dlatego, że nas nie kocha, tylko dlatego, że musi się zajmować innymi sprawami”, „Jak wygląda moja mama?”, „Jest bardzo piękna. Tak jak ty, moja mała Mimi”. To ja przekazałem jej brak szacunku. Ale jak miałem inaczej wytłumaczyć mojej córce to, czego sam sobie wyjaśnić nie mogłem?

Koniec końców dałem córce tylko milczenie.

- Jest tak, jakby zmaterializowało się wszystko, co nas dotyczyło, o czym jednak nigdy nie rozmawialiśmy. A to nie pozostanie już na dalszym planie, tato. To wyłania się jak ogromne widmo z ciemności i rzuca na wszystko cień. Nie mogę już udawać, że tego tam nie ma. Nie mogę sprawić, żeby z powrotem znikło. Nie jestem nawet pewna, czy chcę wiedzieć, ale muszę. Tato, muszę cię spytać. Naprawdę muszę. Muszę wiedzieć.

Myślałem o pewnym momencie mojego życia z matką, w którym, gdybym był nieco starszy od Mimi, a przynajmniej w jej wieku, może umiałbym zadać te same pytania. Patrzyłem na moją córkę w szarym świetle wczesnego wieczoru na tarasie i ogarnęła mnie tęsknota za matką. Nie z powodu miłości i przywiązania, ale dlatego, że jej potrzebowałem. Chciałem spojrzeć jej w oczy, tak jak moja córka patrzyła na mnie. Chciałem wiedzieć, jak ona pokierowałaby sytuacją. Mogłaby mnie nauczyć, albo może poradziłaby sobie tak, że teraz wiedziałbym, jak odpowiedzieć. Ale nie miałem nic, nikogo, kto by mną pokierował.

Wobec tego milczałem.

Co zakłóciło tego wieczoru naszą rozmowę? Nie pamiętam. Telefon? Ale słowa zostały wypowiedziane i, jak powiedziała Mimi, nie mogliśmy ich anulować. Nabrały fizycznej obecności.

Mimo to panowaliśmy nad nimi; może oboje baliśmy się chwili, gdy zasiądziemy i otworzymy puszkę Pandory. Ja na pewno. Ale byliśmy chyba pewni, że odpowiedni moment nadejdzie, jeśli tylko damy mu czas. W swej arogancji pewni byliśmy jednego.

Czasu.

rozmawiała.

- *Mamma!* - wołałem, wchodząc do domu.

I jak zwykle, słowo to brzmiało ciężko i niezdarnie - rozmyślnie układane sylaby, wymuszone dźwięki. Zupełnie nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego ją wołam. W momencie otwierania drzwi potrafiłem wyczuć, czy mieszkanie jest puste. Może po prostu potrzebowałem absolutnej pewności. Bo jeśli ona odkrzykiwała: „Jestem tutaj, Adasiu, w kuchni”, wtedy ja, no cóż, musiałem porzucić ciężar, który zawsze ze sobą nosiłem, i przeskoczyć dwie kondygnacje schodów, oczekując, że ją w środku zastanę. A w ciszy korytarza ów ciężar spadał z moich ramion na podłogę wraz ze szkolną torbą. Mama piekła. Poczulem to, jak tylko otworzyłem drzwi do budynku, a zapach przybierał na sile z każdą mijaną kondygnacją. Z ulgą, ale i z utrzymującym się poczuciem winy wchodziłem do maleńkiej kuchni. Pod stopami miałem śliskie błyszczące linoleum. Matka nie lubiła gotować i nie jestem pewien, czy lubiła piec. Ale piekła, z zawziętym uporem, podobnym do tego, z jakim co tydzień sprzątała i pucowała mieszkanie. Chyba nie przychodziło to naturalnie i nigdy nie wydawało mi się, by czerpała z tego jakkolwiek przyjemność. Instynktownie wyczuwałem, że miękkie, ciepłe bułeczki pachnące cynamonem i masłem to jej ofiara. Namiastka miłości, której nie potrafiła mi dać. Przychodziłem ze szkoły do domu i wdychałem przesłodzony zapach, ale nie bardzo wiem, jakie uczucia wywoływał. Skomplikowaną mieszaninę emocji, nigdy niewyartykułowanych czy przeanalizowanych - emocjonalną reakcję dziecka na daremne próby matki pokonania przepaści milczenia. Podnosiłem lnianą ściereczkę okrywającą ciepłe bułeczki, brałem jedną i nadgryzałem, ale nie czułem zadowolenia. Raczej przechodziła mi ochota i uświadamiałem sobie, że nie potrafiłem udzielić odpowiedzi, jakiej ode mnie oczekiwano.

Otwierałem niewielką lodówkę, wyjmowałem butelkę mleka i nalewałem sobie do szklanki, potem płukałem usta zimną ciecżą, aż znikły ostatnie pozostałości słodkiego cynamonowego smaku.

Bywały dni, gdy przychodziła do domu późno. Nie zdarzało się to często, ale ona nigdy się nie tłumaczyła. Ja leżałem już w łóżku, nasłuchując szcęknięcia klucza w zamku. Poruszała się cicho, czy to przez wzgląd na mnie, czy to dlatego, że chciała prywatności, nie wiem. Cichy szelest jej ubrania, jej stóp w pończochach na podłodze - ledwie słyszalne dźwięki. I potem głębokie westchnienie, gdy w końcu siadała przy kuchennym stole i na marmurowym parapecie układała karty ze zużytej talii. Wiedziałem, że oczy jej się zaszklą, gdy najpierw szybkimi ruchami rąk potasuje talię, potem rozdzieli ją na dwie części i w końcu usłyszę furkotanie kart. Potem stukanie talii o twardy blat laminowanego stołu, gdy stawiała

pasjansa.

Ja tymczasem leżałem w łóżku i nie mogłem wymazać z wyobraźni jej obrazu. Choćby poruszała się najciszej, ja ze swojego ciemnego pokoju i przy przymkniętych drzwiach widziałem ją w wyobraźni jak na filmie: jak wchodzi do przedpokoju, otwiera drzwi, zamyka je za sobą i zakłada łańcuch. Widzę, jak zdejmuje kapelusz i starannie kładzie go na wieszaku przed zdjęciem płaszcza i butów, potem przesuwając dłońmi po piersiach i brzuchu, wygładzając sukienkę. Miała drobne stopy, wąskie, o wysokim podbiciu. Często przez roztargnienie siadała, wyciągając je przed siebie, wykręcając i prężąc, celując palcami w zacerowane miejsca, przypominające strupy. W ciemności bardziej widziałem, niż słyszałem, jak zapala papierosa, jeszcze zanim lekki zapach zawędrował do mojego pokoju. Jej szybkie palce na kartach harmonizowały ze stopami, były drobne i mocne, o wąskich koniuszkach i wypielęgnowanych paznokciach. Na serdecznym palcu lewej ręki nosiła pierścionek, gładką złotą obrączkę, ale zawsze uważałem, że jej palce są stworzone do innego rodzaju pierścionków. Ciężkich i połyskliwych, z kolorowymi kamieniami.

Po szwedzku mówiła z wyraźnym polskim akcentem, ale słownictwo opanowała idealnie. Co wieczór w łóżku, z siatką na popielatoblond włosach, chroniącą trwałą ondulację, i w kocich okularach nisko opuszczonych na wąskim nosie, dokładnie przez piętnaście minut czytała słownik.

- Co wieczór odczytuję dwie strony słówek. Liczba słów, jakie czytam w ciągu roku, przerasta zasób słownictwa większości Szwedów. - I prawdopodobnie była to prawda. Ale kiedy mówiła, słowa pojawiały się osobno, bez uwzględnienia kontekstu, jakby wysiłek mówienia w nowym języku nie sięgał nadawania słowom znaczeń. Brzmiało to dziwnie niezrozumiale, chociaż absolutnie poprawnie.

Wstydzilem się za nią. I wstydzilem się tego, że się wstydzę. Na zebraniach w szkole pod koniec roku siedziała jak zamorski ptak w jednorodnym stadzie wróbli. Miała nie taki kapelusz, nie takie rękawiczki, nie takie buty. Nawet jej sposób siedzenia z nogami skrzyżowanymi w kostkach był groteskowo nie taki. Bałem się jej prób nawiązywania rozmowy z innymi rodzicami - albo, co gorsza, jej wymuszonych optymistycznych uwag rzucanych do moich kolegów z klasy. Przez całą drogę do domu szedłem usztywniony, z podciągniętymi ramionami i pochyloną głową, z wysiłkiem stawiając nogę za nogą, wsłuchując się w stukanie jej szpilek o chodnik.

Czasami jednak kącikiem oka łapałem coś jeszcze. Ulotny moment, gdy przemykał cień czegoś. Mogła stać przy oknie, przyciskając ręce w okolicach krzyża, tak, jakby ją bolał. Albo mogła zatrzymać się przy kuchennym zlewie, z jedną stopą opartą na drugiej, i

wyglądać przez okno. I nagle muzyka wypełniała mi głowę. Próbowałem uchwycić się jakiegoś obrazu, śpiesząc do mojego pokoju i wyciągając skrzypce. A gdy udawało mi się utrzymać w takiej wizji, wówczas muzyka płynęła mi z palców.

Od samego początku sprzyjała mojemu muzykowaniu. Wynajdywała dobrych nauczycieli. Gdy ćwiczyłem, siadała na zielonym fotelu w salonie, na wpół odwrócona ode mnie, z rękami splecionymi na piersi. Nigdy nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy, gdy grałem, niemniej siedziała nieruchomo, póki nie skończyłem.

Gdy miałem dziewięć lat, mój nauczyciel, pan Franzén, poprosił ją o spotkanie i powiedział, że jestem uzdolniony, że mam duży talent. Przyszła do domu wyraźnie podenerwowana.

- Jestem osobą praktyczną. I starałam się wychować cię na praktycznego człowieka. Muzyka nie jest niczym praktycznym. Szkoła muzyczna! - zrzędziła, siedząc przy kuchennym stole, mocno zaciągając się papierosem i wyciągając źdźbło tytoniu z ust. - Zdecydowanie niepraktycznym.

Nic nie mówiłem, ale słowo „zdecydowanie” rozbrzmiewało coraz głośniejsze i całkowicie zagłuszyło moje myśli. *Zde-cy-do-wa-nie. Zde-cy-do-wa-nie.* Sylaby powtarzały się w mojej głowie rytmicznie, radośnie, wznosząc się coraz wyżej. Zaciągała się papierosem i patrzyła na mnie ze ściągniętymi brwiami, ale ja miałem wrażenie, że jej blade oczy widzą kogoś innego. Zadzierała głowę i w tym momencie, bez słowa, absolutnie się rozumieliśmy. Potem powoli kiwała głową i gasiła papierosa w popielniczce. Ulotne cienie przeszłości pokonały pragmatyczną rzeczywistość, o którą tak usilnie walczyła. Dyskusji na ten temat już nigdy nie było. Ja miałem muzykę. Lecz ona ciężko przeżyła porażkę, a ja do tamtego momentu uważałem, że mama jest niezwyciężona. Potem miewałem czasami wrażenie, że niekiedy chyba dostrzega we mnie coś więcej. Na wpół zapomniane wspomnienie. Widmo. Od tamtego dnia, przez cały przeżyty wspólnie czas, widma mieszkają z nami.

I między nami.

III

GŁOS

*Kaleczą się i dręczą
milczeniem i słowami
jakby mieli przed sobą
jeszcze jedno życie*

*czynią tak
jakby zapomnieli
że ich ciała
są skłonne do śmierci
że wewnątrz człowieka
łatwo ulega zniszczeniu*

*bezwzględni dla siebie
są słabsi
od roślin i zwierząt
może ich zabić słowo
uśmiech spojrzenie*

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Padalo, gdy wysiadałem z pociągu.

Dzień wcześniej poleciałem do Wiednia i spędziłem tam noc, mając nadzieję, że przestawię się na czas europejski. Ale niewiele spałem. Leżałem w anonimowym pokoju hotelowym całkiem rozbudzony, pogrążony w gmatwaninie uczuć, a do środka wraz z łagodnym wiosennym powietrzem wsączały się przyciszone wieczorne odgłosy miasta. Czulem się samotny - a raczej sam. Ostatni raz byłem w Wiedniu trzydzieści lat temu. Całe życie. Tym razem nie chciałem zapuszczać się w miasto; to był tylko krótki przystanek, a mnie zależało, żeby trzymać się swojej marszruty. Słyszałem krople lekkiego deszczu bębniące o parapet - wszystkie inne dźwięki wydawały się odległe.

Przez lata, które przemieszkalem w Wiedniu, matka odwiedziła mnie tylko raz. Przyjechała pociągiem pewnej deszczowej nocy, bardzo podobnej do tej, z wyjątkiem tego, że wtedy była jesień, a nie wiosna. Wyszliśmy po nią z Magdą. Matce nie powiedziałem o naszym związku, myśląc, że zrobię jej niespodziankę. Magda wyglądała pięknie w nowym jasnoniebieskim płaszczu, który kosztował więcej, niż było ją stać. Ciemne włosy miała splecione w krótki warkocz, który spadał na kołnierz płaszcza. Wiedziałem, że jest zdenerwowana, i ściskałem jej rękę, gdy czekaliśmy na peronie. Po raz pierwszy w życiu czulem chyba lekką niecierpliwosć na myśl o spotkaniu z matką. To było tak, jakby Magda była czymś w rodzaju ofiary. Niewinnie, na przekór zdrowemu rozsądkowi pomyślałem, że będzie katalizatorem normalności. Moja pierwsza poważna dziewczyna. Widzę, jak stoimy obok siebie, gdy pociąg nadjeżdża, i za nic nie mogę zrozumieć, skąd ta moja nadzieja. Moja niewinna, krucha Magda o bladej twarzy i bezbronnych szarych oczach. Jak mogłem tak zaufać jej sile?

Matka wysiadła z pociągu, jej wzrok przeszukiwał peron, aż spoczął na mnie. Była lekko uśmiechnięta. Wyglądała na nieomal szczęśliwą. Odpowiedziałem jej uśmiechem i pomachałem. Odwróciła się i postawiła walizczkę na peronie u swoich stóp. Gdy podeszliśmy, spojrzala i powoli otworzyła ramiona, jakby chcąc mnie uściskać. Cofnąłem się nieznacznie i objąłem Magdę.

- Mamo, to jest Magda - powiedziałem i Magda wyciągnęła rękę na powitanie.

Skutek był tak nieoczekiwany, że z miejsca opuściłem rękę, odsuwając się od Magdy. Mamę zatkało. Oburącz przycisnęła torebkę do piersi jak tarczę i wbiła we mnie wzrok.

Wszyscy troje staliśmy jak sparaliżowani.

W końcu powtórzyłem:

- Mamo, to Magda. Magda i ja...

Zamiast odpowiedzieć, matka chwyciła walizkę i ruszyła w stronę wyjścia. Szedłem za nią, próbując jej wyrwać walizkę z ręki. W pewnym momencie przystanęła i odwróciła się do mnie.

- Do hotelu pojedę taksówką - powiedziała. - Porozmawiamy później. - I odeszła. Magda płakała, a ja stałem w kompletnym odrętwieniu. Matka nigdy nie rozmawiała ze mną o tym incydencie. Widzieliśmy się tylko podczas krótkiego dziwnego lunchu. Została przez dwa dni i w ogóle nie przyszła na koncert, który był powodem jej odwiedzin. Rok później zmarła. Tej zimy stan Magdy się pogorszył, po roku wylądowała w szpitalu. W jakimś sensie zdawałem sobie sprawę, że Magda nie będzie potrafiła żyć w moim świecie. Może to właśnie ta jej wrażliwość mnie pociągała. Jej ulotność, poczucie, że będzie moja tylko przez bardzo krótki czas i nawet wtedy nie całkiem moja. Tak było, muzyka i jej spojrzenia. Jej poważna blada twarz i wielkie szare oczy. Jej gęste ciemne włosy, tak długie, że okrywały ją, gdy kuliła się po kochaniu. No i niesamowite piękno jej muzyki. Wiele lat upłynęło, zanim zobaczyłem w niej to, co moja matka dostrzegła tego dnia, gdy wysiadła z pociągu tu w, Wiedniu.

Ciebie, Cecylio, nigdy nie poznała.

I oto leżę w hotelowym łóżku, chwilami zapadając w przelotny niespokojny sen. Odczułem ulgę, dopiero gdy noc zmieniła się w poranek i gdy usłyszałem pierwsze pośpieszne kroki na chodniku za oknem, odbijające się echem dźwięki, które, jak zawsze wierzyłem, były moim pierwszym świadomym wspomnieniem matki - jej pantofle stukoczące na chodniku, ja snujący się za nią w deszczu, uczepony jej wilgotnego wełnianego płaszcza, łapiący ustami powietrze, aż do całkowitego wyczerpania zawartego w nim tlenu, wsłuchany w nużące szuranie nóg, pokastywania, słabe zawodzenie niemowlęcia.

Wiedziałem jednak, że były inne, wcześniejsze obrazy. Przemykały nieuchwytnie migawki czasu niedostępne dziecięcemu wspomnieniu. Poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał ten kontakt z jej wełnianym płaszczem, miało swoją cenę. Pakt, niepojęty i absolutny. Tam właśnie i wtedy zaczynało się życie. Jej głowa wyłaniała się nade mną, biała i przeraźliwie zniekształcona przez perspektywę.

- Jesteśmy w domu, Adasiu. Tutaj zaczyna się wszystko. Nigdy o tym nie zapomnij. Nie oglądaj się.

Obejrzałem się szybko przez ramię, ale nie zobaczyłem niczego, tylko masę

anonimowych ciemnych postaci podążających za nami w gęstym deszczu. Przede mną plecy matki, jedyny znany kształt w obcym świecie, moja ręka na fałdzie jej płaszcza, linka ratownicza kupiona za straszną cenę.

I tutaj, za anonimowym hotelowym oknem, znowu te same dźwięki. Podeszwy stukające o bruk. Stukoczące fleki szpilek. Wstałem i podszedłem do okna, odsunąłem firankę. Patrzyłem na ulicę błyszczącą w przyćmionym, ni to dziennym, ni to nocnym świetle. Nastawał dzień i blask latarni stopniowo przygasał. Miasto szykowało się do podjęcia swoich codziennych zajęć, a ja czułem ulgę. Wszedłem pod prysznic.

Po szybkim śniadaniu poszedłem na Südbahnhof.

Z pociągu przez brudne, pokryte smugami deszczu okno obserwowałem mijany krajobraz. Czułem się tu bezpiecznie - na anonimowej ziemi niczyjej - i odsypiałem zmarnowaną noc.

Obudziłem się, gdy pociąg wjeżdżał na stację Kraków Główny.

Znalazłszy się na zewnątrz, natychmiast wniknąłem w otaczającą mnie przestrzeń. Całe moje poprzednie wyobrażenie o tym mieście, jakiegokolwiek było, zostało zatarte przez to, co rejestrowały oczy. Trwały poważne prace budowlane - chyba przebudowa całego terenu stacji - ale tego niedzielnego wieczoru panował tu spokój, i tylko mokre brezentowe płachty łopotały ospale w mżawce. Ciężkie maszyny przypominały olbrzymie skamieniałe owady.

Złapałem taksówkę i jadąc przez miasto, próbowałem przebić się wzrokiem przez zapaćkane okna, ale w szarym świetle niczym się ono nie wyróżniało. Taksówka była stara i nie oferowała już dawnego komfortu. Choć wszystkie szyby były opuszczone o kilka centymetrów, to poprzez utrzymujący się w niej zapach stęchłego jedzenia przebijała woń benzyny i taniej wody po goleniu. Ale kurs był krótki i szybki, a kierowca trochę mówił po angielsku. Zarezerwowałem sobie pokój w małym pensjonacie na Kazimierzu, kawałek drogi od dworca kolejowego. Taksówka raptownie zahamowała i kierowca wysiadł. Zapłaciłem i wydobyłem walizkę z bagażnika, gdzie utkwiała wciśnięta pomiędzy obszarpane plastikowe torby i tobołki z ubraniami. Kierowca zatrzasnął pokrywę, pomachał przyjaźnie ręką i samochód odjechał, wypuszczając z rury wydechowej kłąb oleistego dymu, powoli wchłanianego przez wilgotne powietrze. Zatrzymałem się na chwilę, patrząc na stare kamienice, gdzie stonowane żółte światło sączyło się zza zaciągniętych kotar w większości okien. Wzdłuż ściany stały w wysokich stosach ratanowe krzesła i stoliki, które na próżno próbowano uchronić przed deszczem. Ulicę rozdzielał pas gruntu porośniętego trawą i drzewami otoczonymi żeliwnymi płotkami w kształcie menory. Drzewa pokrywały się liśćmi, a wokół pni kiełkowała miękka szczecina świeżej zielonej trawy. Po drugiej stronie ulicy

przed synagogą Remuh widziałem małe grupki wyglądające na turystów. Głęboko wciągnąłem powietrze.

- Nie mówimy o tym. Nawet o tym nie myślimy. I zobaczysz, że to minie. - Matka stała w drzwiach, a światło z korytarza zaciemniało jej sylwetkę i pozbawiało ją rysów. - Minie. Zapomnimy. - Odwróciła się i wyszła, przymykając za sobą drzwi mojej sypialni.

Ale nie mijało. Nigdy nie minęło. Pytania, których nigdy nie można było zadawać, zaczęły żyć własnym życiem. A milczenie im sprzyjało. Dotyczyło to także nazw własnych, po tym, jak odkryłem srebrną szkatułkę. Kraków. Lipski. Z biegiem czasu umacniała się zadawniona świadomość jakiegoś *przedtem*. Gdzie byliśmy przedtem? Skąd przybyliśmy? Nigdy niepostawione, pozostawiane zawsze bez odpowiedzi pytania narastały jak guzy, rozprzestrzeniając się po moim ciele, rzutując na wszystko. Ale w jakimś sensie przynosiły dziwną ulgę. Istniało coś poza rzeczywistością, do której należałem. Same wspomnienia omijały mnie, dryfowały coraz dalej w ciemności, ale świadomość ich istnienia stawała się coraz intensywniejsza. Czasami budziłem się rano z uczuciem, że cienie w moich snach rozwiały się, dopuszczając jakiś przebłysk, ale gdy otwierałem oczy, pozostawało tylko wrażenie. Wrażenie smutku, podniecenia, radości, dotyczące czegoś, co ustąpiło i ponownie znajdowało się poza moim zasięgiem.

Jakie nadzieje wiązałem z tymi odwiedzinami? Jakie próżne marzenie zdopingowało mnie do tej podróży? Zapewne było kompletnym szaleństwem. Próbą udowodnienia, że istnieje dostępna przeszłość, sięgająca poza moją świadomą pamięć. Uganianie się za ulotnymi cieniami, które i tak mogą się okazać wytworami mojej wyobraźni.

Potem, wieczorem, po spacerze po mieście i kolacji w małej pobliskiej restauracji, usiadłem na wąskim łóżku w moim pustym pokoju. Ponownie poczułem zmęczenie. Wciąż padało, rzęsisty wiosenny deszcz. Wstałem i przez zachlapane okno spojrzałem w dół na ulicę, pod wieczór już opustoszałą. Drzewa tworzyły zawyły czarny filigranowy wzór o jeden odcień ciemniejszy niż niebo. Po drugiej stronie ulicy widziałem zarys niskich zabudowań, bez światła w oknach. Nie widziałem ludzi; nie było dźwięków. Spuściłem zasłonę i odszedłem od okna. Łazienkę miałem nie w pokoju, tylko po drugiej stronie wąskiego korytarza. Nie zabrałem płaszcza kąpielowego, a ręcznik leżący na łóżku był niewielki. Z uczuciem skrępowania wyszedłem z pokoju w bieliźnię, z ręcznikiem i kosmetyczką w garści, ale nie spotkałem nikogo.

Po prysznicu poczułem się lepiej. Włożyłem świeżą koszulkę i na nocnym stoliku postawiłem sobie dużą whiskey. Jestem w Krakowie, pomyślałem. Wreszcie tu jestem. Tu,

gdzie wszystko się zaczęło.

Następnego dnia rano obudził mnie dziwny hałas tuż za oknem. W pokoju było jeszcze ciemno, ale światło z zewnątrz zabarwiało go szarością, a nie gęstym mrokiem nocy. Potrzebowałem chwili, by uzmysłwić sobie, co mnie obudziło. Gołębie. Wyszedłem z łóżka i stanąłem nieruchomo między firankami. Trzy gołębie przysiadły na niebezpiecznie ostrych stalowych szpikulcach, mających właśnie temu zapobiegać. Na upstrzonym parapecie leżały porozrzucane puchowe pióra. Nieustępliwość tych ptaków była w jakiś sposób inspirująca. Przez chwilę wsłuchiwałem się w ich monotonne gruchanie.

Ubrałem się i zszedłem na śniadanie. Hol na parterze służył rano za pokój śniadaniowy, tymczasową restaurację w ciągu dnia i za bar wieczorem. Wymalowany był na ciemny terakotowy kolor i - w części poza chodnikiem - umeblowany ratanowymi stołami i krzesłami. Zamówiłem kawę, którą prędko podano. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że jest doskonała, i od razu uprzytomniłem sobie, że przyjechałem tu nie bez uprzedzeń, z wszelkiego rodzaju przyjętymi z góry wyobrażeniami. Podano śniadanie, kopczyk twarożku z wkrojonym szczypiorkiem, kilka plasterków ogórka, jajko i dżem oraz koszyczek świeżego pieczywa. Z rzucających się w oczy głośników po obu stronach drzwi wejściowych leciała anonimowa muzyka pop. Byłem jedynym gościem na sali. Jadłem powoli.

Potem wyszedłem i zrazu oślepił mnie blask. Gdy ponownie otworzyłem oczy, poczułem się tak, jakbym miał przed sobą utracony pejzaż ujawniający się po długim czasie w ciemności, jakby światło nagle rozświetliło scenę specjalnie dla mnie.

Postanowiłem spędzić rano, spacerując po ulicach bez żadnego konkretnego planu, po prostu, żeby posmakować miasta. Był poniedziałek i spotykałem ludzi śpieszących w jakichś sprawach, zmierzających do pracy. Główną ulicą przejeżdżał tramwaj wypełniony pasażerami. Stara kobieta na rogu sprzedawała prele z niebieskiego wózka na kółkach. Patrzyłem, chłonałem to wszystko i Kraków ożywał przed moimi oczami.

18

- Ale jak pana rozpoznam? - spytałem przez telefon pana Liebermanna.

- Zobacz pan - odpowiedział starszy pan. - Będę na Plantach, na ławce naprzeciw kościoła Dominikanów. Czy zna pan miasto?

Nie sądziłem, by moje jednodniowe doświadczenie się liczyło, więc odpowiedziałem, że nie.

- Nie, jeszcze nie, oczywiście. Rozumiem - odpowiedział. - Ale mam nadzieję, że pan dotrze. O dziesiątej. Tak?

- Tak - odparłem.

Następnego dnia rano wyruszyłem wcześniej i wybrałem się spacerem wzdłuż parku okalającego Stare Miasto. Mnóstwo kwitnących tulipanów i intensywnie zielona trawa. Uprzytomniłem sobie, że od bardzo dawna nie przeżywałem europejskiej wiosny. Zachwyty nowym życiem po długiej zimowej śmierci. W cieniu pod drzewami było jeszcze zimno, ale w miarę jak słońce się podnosiło, robiło się coraz cieplej. Przeszedłem całą drogę do północnego zakątka, gdzie po drugiej stronie zatłoczonej teraz ulicy ujrzałem dworzec kolejowy. Prace budowlane trwały, a wąskie przejście wokół było pełne ludzi. Zawróciłem i cofnąłem się w stronę miejsca spotkania.

Siedział na ławce z nogą elegancko założoną na nogę i skórkowymi rękawiczkami w rękę. W jakiś sposób przypominał mi postać ze starego czarno-białego filmu. Całe wieki nie spotkałem człowieka ubranego w garnitur, płaszcz i kapelusz. Widząc, że się zbliżam, wstał, a gdy podawaliśmy sobie ręce, zauważyłem, że jest niski, tak niski, że uświadomił mi mój wzrost. Uścisk dłoni miał jednak mocny i emanował jakąś ufną energią, która z miejsca mnie uspokoiła. zaproponował kawę na Starym Mieście. Przecieliśmy Rynek Główny, główny plac targowy, gdzie kwiaciarki rozstawiały swoje stragany. Wszędzie stały wiadra wypełnione tulipanami, żonkilami i szafirkami. Wielkie chmary gołębi kręciły się nieumęczone, czekając na równie wielkie stada turystów. Pan Liebermann prowadził mnie przez plac, rażno stawiając szybkie, krótkie kroczki, delikatnie trącając mnie w ramię pokazywał ciekawe kamienice, przedstawiał tło historyczne i opowiadał anegdoty. Po angielsku mówił doskonale, choć z twardym akcentem. Weszliśmy w wąskie uliczki i wstąpiliśmy do małej kawiarenki. W środku było ciepło i przytulnie, i pachniało świeżo upieczonymi ciastkami i kawą.

- Usiądźmy tam, w kącie - powiedział pan Liebermann, wskazując głową stolik przy oknie. Na stolikach koronkowe szydełkowe obrusy, na każdym subtelny flakon z jednym ciętym tulipanem. Rozejrzałem się po sali. W przyćmionym świetle kinkietów wewnątrz sprawiało wrażenie ponadczasowej środkowoeuropejskiej kawiarni. Podobnie jak w domu Klary Fried poczułem uniesienie.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za to spotkanie - powiedziałem, siadając. Starszy pan machnął bagatelizująco ręką i przywołał kelnerkę.

- Wszystko we właściwym porządku - powiedział. - Najpierw nasza kawa.

Zamówił dwie, ja podziękowałem za ciastko. Po złożeniu zamówienia starszy mężczyzna zdjął kapelusz i płaszcz, które cicho odebrała kelnerka. Odniosłem wrażenie, że

jest tu bywalcem. Pod płaszczem miał szary garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat bordo. Usiadł, posapując. Przyniesiono kawę, mocną, w filiżankach ze złoconym brzeżkiem. Gdy już usiedliśmy, różnica wzrostu przestała mieć znaczenie.

- A więc rozmawiajmy - powiedział, wpatrując się wyczekująco w moją twarz, jakby tylko on czuł ekscytację i ciekawość. Pytanie, które przećwiczyłem w głowie, teraz wydawało mi się śmieszne. Zacisnąłem dłoń na kolanie pod stolikiem i wziąłem głęboki oddech.

- Muszę pana prosić o wybaczenie - powiedziałem. - Nie mam niczego do zaoferowania. Przyjechałem tu, żeby się przekonać, czy coś znajdę. Coś, czego jak sądzę, szukałem przez całe życie.

Starszy pan nadal patrzył wyczekująco, ale się nie odezwał.

- Przed wyjazdem z Nowej Zelandii spotkałem Klarę Fried i od niej dostałem pana nazwisko i namiary.

Znów niecierpliwie machnął ręką.

- Tak, tak - powiedział.

- Chciałem panu coś pokazać - ciągnąłem. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem kopertę z moją metryką urodzenia i zdjęciami - dwoma starymi, moimi własnymi oraz tymi, które dała mi pani Fried.

- Dorastałem w Szwecji - zacząłem, otwierając paszport. - Ale zawsze wiedziałem, że pochodzę z innego miejsca. Matka postanowiła, że zaczniemy nowe życie i nigdy nie opowiadała mi o czasach sprzed Szwecji. O tym, skąd pochodzimy. Przez to wydawało mi się, że nigdzie nie należę. Nie mieliśmy krewnych, żadnych wspomnień, żadnych pamiątek. Nie nawiązywaliśmy przyjaźni. Tak, jakbyśmy żyli tylko w połowie.

- Przepraszam, czy mogę wiedzieć, z czego pan się utrzymuje? - zapytał, nie zwracając uwagi na leżące przed nim na stoliku dokumenty.

- Jestem skrzypkiem, ale obecnie komponuję, nie występuję - odparłem.

Kiwnął głową.

- Więc co takiego chce pan tutaj znaleźć? - Spojrzenie jego bursztynowych oczu starło się z moim i odniosłem wrażenie, że te oczy zobaczyły więcej, niż sam mogłem powiedzieć.

- Miałem nadzieję, że odnajdę przeszłość. Jej migawki. Chcę wiedzieć, skąd pochodzę. Chcę wiedzieć, kim jestem. Bardzo dawno temu wmówiłem sobie, że to nie ma żadnego znaczenia. Że mogę żyć, nie wiedząc. Potem... - Musiałem się zmusić, by mówić dalej. - Proszę pana, rok temu straciłem córkę, Miriam. A wraz z nią straciłem przyszłość. Jej miejsce stopniowo zaczęła zajmować przeszłość. - Rozluźniłem uścisk na kolanie pod stołem.

- Czymś ważnym stało się dla mnie jej prześledzenie. To obecnie cel mojego istnienia.

Nadeszła kelnerka z kawą i dużym kawałkiem ciasta z bitą śmietaną na wierzchu. Pan Liebermann ustawił przed sobą filiżankę, spodek i talerzyk, potem wziął łyżeczkę i zabrał się do ciastka. Ja sączyłem gorącą kawę.

W końcu odłożył łyżeczkę na talerzyk, dyskretnie wytarł usta papierową serwetką. Ponownie kiwnął głową, ale zanim się odezwał, upłynęło jeszcze kilka chwil.

- W dobrych czasach kwitnie to, co subtelne. Muzyka. Sztuka. Piękno. Dzięki temu wszystkiemu warto żyć. W złych czasach to, co bezbronne, przepada. - Stary człowiek wyjrzał przez okno na ludzi spacerujących w jaskrawym wiosennym słońcu. - A dobre czasy tak szybko przemijają. Obawiam się, że to tylko interludia. Natomiast złe trwają i rzucają cień na dobre. Nawet najpromienniejszy poranek niesie wspomnienie nocy, tej, która minęła, i tej, która niechybnie nadejdzie.

Pan Liebermann oparł łokcie na stoliku i splótł dłonie.

- Zacznę od nazwiska, które nas tu sprowadziło. Adam Lipski. - Przez chwilę milczał, jakby ostrożnie dobierał słowa. - Adam Lipski był przyjacielem mojego brata. A może raczej to mój brat był przyjacielem Adama Lipskiego. Nie wiem, czy Adam miał przyjaciół. Z pewnością nie miał wrogów. Albo tak nam się wydawało. Przypuszczam, że chcieliśmy w to wierzyć. Bo nie wydawało się rzeczą godną, by niewinny miał wrogów.

Zawahał się, szukając słów.

- Widzi pan, Adam był... nie z tego świata. - Spojrzał na mnie z niemal błagalnym wyrazem twarzy. - Bujać w obłokach? Tak się mówi? Należał do ludzi, których nie można mierzyć czy oceniać tak, jak wszystkich. Podobnie piękno. Nie jest dobre ani złe, po prostu jest. Kiedy Adam wchodził do pokoju, hałas zamierał, głowy zwracały się w jego stronę. Nie sądzę, by wiedział, jakie wrażenie wywierał na ludziach. Zwłaszcza na kobietach, ale także na mężczyznach. Nawet na dzieciach. Ale wiedział, jakie wrażenie wywiera jego muzyka. Musiał wiedzieć. Znajdował się u progu świetnej kariery skrzypka. Już jako młody człowiek, właściwie chłopiec, był zapraszany do gry z najlepszymi. Jeszcze zanim ukończył konserwatorium i podjął studia w Warszawie. Zależało mu tylko i wyłącznie na muzyce. Była jego życiem. Ludzie beztrąsko mówią takie rzeczy - muzyka była jego życiem. Ale ja rozumiem to dosłownie. Nie sądzę, żeby poza muzyką miał jakieś życie. Ludzie jego pokroju nie rozumieją świata. Epoki.

Nie odzywałem się i pan Lieberman ciągnął dalej:

- Wie pan, dziewczyny nazywały go Adonisem. - Zachichotał, a w oczach zatańczyły mu chochliki. - Adam był naprawdę nadzwyczaj przystojny. Bardzo wysoki, gęste ciemne włosy i bardzo duże ciemne oczy. Kiedy ich spojrzenie padło na jakąś dziewczynę, ta płonęła

rumieńcem i odbierało jej mowę. Ale on chyba tego nie łapał. Pewnie nawet nie zauważał. Lipscy wiele rzeczy uznawali za oczywistość. Niech pan mnie źle nie zrozumie. To byli piękni ludzie. Dobrzy. Rzecz w tym, że po prostu uważali, że świat jest dobry, rozumie pan. Może tacy właśnie są dobrzy ludzie. Feliks Lipski, ojciec Adama, był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim, światowym ekspertem w dziedzinie zapisu średniowiecznej muzyki sakralnej. Pani Lipska, Sara, szkoliła się jako śpiewaczka w Warszawie i Paryżu, ale nigdy nie uprawiała śpiewu zawodowo, chociaż mówiono, że ma bardzo piękny głos. A mała Klara... ach, moja Klara.

Ponownie wyrzwał przez okno, potem z wolna podjął opowieść, ciągnąc słowo za słowem.

- Ten kraj. Nasza Polska. Nie sposób jej opisać. Nie sposób zrozumieć. Był krótki okres nadziei. Optymizmu. Mój ojciec nie był bardzo wykształcony, ale matka była jedynaczką i uczyła się francuskiego i muzyki. Grała na fortepianie i chyba miała marzenia. Pracowali bardzo ciężko, moi rodzice. Mieli tutaj mały sklep spożywczy, na ulicy św. Jana, niedaleko stąd, gdzie się znajdujemy, troszkę dalej po drugiej stronie. Kamienica wciąż tam stoi, ale sklep to teraz elegancka galeria sztuki. Kiedy moja siostrzyczka zmarła na zapalenie płuc - miała zaledwie trzy latka - matka wszystkie swoje marzenia skoncentrowała na mnie i na moim bracie. Zupełnie jakby przestała sama żyć i żyła tylko poprzez nas. Ublagała mojego ojca, żeby mnie posłał do nowej publicznej szkoły. I tam właśnie spotkałem Klarę.

Zrobił głęboki wdech, prostując sylwetkę. Potem ponownie wziął łyżeczkę i zaczął obracać ją w palcach.

- To był taki krótki okres, zaledwie półtora semestru, ale jednak w moim życiu najważniejszy. Jedyne okres niekłamanego optymizmu. Nadziei. I miłości. Pierwszego dnia w szkole po dziecinnemu zakochałem się w Klarze. Była wysoka i otaczała ją aura tajemniczości, jakby widziała to, czego ja nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić. I była bardzo piękna. Ciemne włosy spadające na kark, połyskujące rudawo w świetle słońca. Oczy takie, jakby potrafiła przejrzeć moje myśli i serce. I miała najbardziej zaraźliwy śmiech, promienny i pewny siebie, jakby w świecie roilo się od rzeczy, z których można się śmiać. Ku mojemu najwyższemu zaskoczeniu wybrała mnie na swojego przyjaciela. Chwilami nawet myślałem, że może mnie trochę kocha. Staliśmy się nierozłączni. Według mnie miała wszystko. Grała na pianinie, śpiewała, była bystra - w klasie przodowała we wszystkich dziedzinach, nawet w gimnastyce. Była szybka, silna. Przede wszystkim szybka. Bez wysiłku prześcigała wszystkich chłopaków. Uważałem, że jest najcudowniejszą istotą na świecie.

Pan Liebermann na chwilę zamilkł. Parę razy obrócił łyżeczkę, zanim ostatecznie

położył ją z powrotem na talerzyk.

- Docenienie talentu i zdolności wymaga pewności siebie. Tylu ludzi nie potrafi znieść sukcesu innych. Przez jakiś czas Klara wydawała się niedotykalna, podobnie jak ja, jako jej stały towarzysz. Ale wystarczy pierwszy drobny przypływ zła i nic, nikt nie jest już bezpieczny. Pod koniec drugiego semestru sytuacja w szkole jakby się pogorszyła. Celem najpierw stał się mały chłopiec o imieniu Józef, nie ja z Klarą. Zaczynało się bardzo powoli. Dziwne docinki. Śnieżki rzucane niby dla zabawy. Znikające książki. Typowa dziecinada. Ale potem... - Jego słowa ponownie się rozpląnęły.

- Przed końcem drugiego semestru, po tym, jak trzech chłopcy usiłovali mnie wrzucić do starej studni, gdy wracałem do domu, ojciec wypisał mnie ze szkoły i przeniósł do szkoły żydowskiej. Miałem wrażenie, że wracam do łona - tak właśnie bym to napisał, ale przecież czegoś takiego, jak powrót do łona nie ma. Łono poprzedza życie. Gdy już żyjesz, oznacza ono ograniczenie. Łono ma przygotować do życia; nie może być samym życiem. A ja chciałem żyć. Jakże chciałem żyć. Nauczyciele w żydowskiej szkole niczego nie mogli mnie nauczyć o świecie, który chciałem zobaczyć. Mówili o dawnym świecie. O łonie.

Po odejściu widywałem Klarę sporadycznie. Gdy chodziliśmy do jednej szkoły, czasami zapraszała mnie do domu. Jej rodzice w swoim wielkim mieszkaniu regularnie urządzali wieczorki muzyczne i Klara mnie zapraszała. To były niewyobrażalnie piękne, magiczne wieczory. Leżałem na miękkim dywanie, przyciskając się bokiem do boku Klary, a jej włosy od czasu do czasu omiatały mi ramię, gdy odwracała głowę. Leżałem wsparty na łokciach i patrzyłem na błyskające kryształy wiszącego nad głową żyrandola. I słuchałem muzyki wykonywanej przez jej brata i jego przyjaciół. Było mi jak w niebie.

Pan Liebermann jakby oglądał w myślach tę scenę, jego usta wygięły się w przelotnym uśmiechu.

- W domu Lipskich wybitny talent Adama pochłaniał uwagę wszystkich, nie tylko z powodu wrażenia, jakie Adam robił na ludziach, ale ze względu na to, kim był. Czym był. Był słońcem, wokół którego poruszali się wszyscy, Klara i jej rodzice. Wydawało się, że nieustannie baczą na wszystko, co mogłoby zaciemnić emanujące z niego światło, dźwięki. Nie, żeby Klara miała coś przeciwko - wręcz przeciwnie. Była największą wielbicieleką swojego brata i jego obrończynią.

Pan Liebermann pochylał się, jakby chcąc się upewnić, że właściwie go zrozumiałem.

- Widzi pan, Adam miał tylko jeden naprawdę wyjątkowy talent. Pod każdym innym względem był... hmm, niedorozwinięty, nieukształtowany. Bezradny. I chyba Klara wiedziała o tym. Na pewno jej rodzice. W jakimś sensie było to tak, jakby był nadzwyczajnie

utalentowany, a zarazem skrajnie upośledzony. Inni dostrzegali tylko jedną stronę. Ponieważ potrafił tworzyć tak cudowną muzykę, przypisywali mu także inne przymioty, przymioty, których najpewniej nie posiadał.

Pan Liebermann westchnął, wziął łyżeczkę i zaczął rozgniatać resztki ciastka.

- I kiedy Adam i pańska matka... - Nabrał głośno powietrza. - Strach było patrzeć. Klara i ja byliśmy tylko dziećmi, ale nawet dla nas to było oczywiste. Zupełnie jakby się patrzyło na dwa statki nieuchronnie zmierzające do zderzenia, wiedząc, że oba pójną pod wodę. Klara próbowała uchronić Adama. Ale co mogliśmy zrobić? Byliśmy dziećmi. I były jeszcze inne sprawy, drastycznie rzutujące na nasze życie. Na naszym horyzoncie zbierały się chmury.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, zanim poczułem, że mogę zadać pytanie.

- Rodzinę Majskich także pan znał?

Pan Liebermann zatopiony w myślach wydawał się zaskoczony tym, że ja mówię, a on mnie słyszy.

- Nie, wcale niedobrze. Znaliśmy się, oczywiście. Ale Majski był osobistością. Bardzo bogaty. Bardzo polski. Pan Majski handlował maszynami ciężkimi. Znakomity biznesmen. W znacznej mierze wszystko zawdzięczał sobie. Ustosunkowany tam, gdzie trzeba. Miał rozległe zagraniczne kontakty biznesowe, podróżował po całym świecie - Ameryka, Niemcy, Szwecja. Do tego rodzina ponoć miała majątek we Francji czy Włoszech. Obracali się w najwyższych kręgach. Przede wszystkim byli Polakami, dopiero potem Żydami. Należeli do ruchu nacjonalistycznego. Bardzo różni od reszty. Co nie oznacza, że ostatecznie miało to znaczenie. Gdy zapada ciemna noc, trudno rozróżnić odcienie. Pochłonęła nas wszystkich. Polaków, Żydów, nacjonalistów, syjonistów.

Wyciągnął nieskazitelnie białą wyprasowaną chusteczkę i zanim zaczął mówić dalej, dyskretnie wydmuchał nos.

- Córki Majskiego były piękne, każda na swój sposób. Były ikonami stworzonymi do tego, by je podziwiać. Mówiły po francusku i niemiecku, świetnie się ubierały. Także były muzykami. Wszyscy znali córki Majskiego. Ale ja nie znałem ich osobiście. Lepiej niż Wandę pamiętam Martę. Grała na pianinie. Chyba była w tym dobra, ale nie ręczę za to. Nie jestem muzykiem, pomimo wysiłków mojej mamy. Ale znam się na pięknie - powiedział z szelmowskim uśmiechem. - Na urodzie kobiet. Nawet wtedy, jako mały chłopiec, wiedziałem, że Marta jest piękna. Była niewysoka i szczupła, ale kobieca. Bezbronna, tak że chciało się ją objąć. Wie pan... - Wzruszył ramionami. - Była bardzo blada, miała ciemne włosy wijące się nad czołem. Wyglądała na kruchą, jak ktoś pozbawiony warstwy ochronnej.

No i oczy, a jakże! Szare. Ale jak! Roziskrzzone. Wielkie i niewinne, ukryte pod powiekami, które opuszczała, grając na pianinie. A gdy je nagle podnosiła, świat stawał się jakby jaśniejszy. Gdy grała, przygryzała dolną wargę. Nawet wtedy było to dla mnie... kuszące. - Pan Liebermann skinął na kelnerkę i zamówił kolejną kawę. Ja odmówiłem.

- A Wanda? - spytałem.

- Też była ładna - odpowiedział. - Bardzo ładna. Ale wie pan, była parę lat starsza. Prawie przekroczyła granicę, za którą dziewczyna staje się dorosłą kobietą. Przypuszczam, że miało to wpływ na to, jak ją postrzegaliśmy. Marta, podobnie jak Adam, potrzebowała kogoś, kto by na nią uważał. I tę właśnie rolę wobec Marty grała Wanda. Wanda mogła robić wszystko. Była chyba wychowywana na dziedziczkę swojego ojca. Jak syn. Bardzo zdolna. Grała na skrzypcach, ale zawsze jakąś drugorzędną partię, nigdy pierwsze skrzypce, nigdy solo. A była bardzo dobra. Zdolna i dobra. Miała ładną figurę, delikatne stopy. Dziwne, że to pamiętam, ale pamiętam. Pamiętam, że kiedyś na domowym koncercie zdjęła pantofle, jakby nie dlatego, że się zmęczyła chodzeniem, ale raczej rozmyślnie, jakby się popisywała swoimi stopami. Pokazywała je. Tarła jedną stopą o drugą, powoli.

Starszy pan spojrzął na mnie i znów się uśmiechnął.

- Pewnie i to było dla mnie czymś kuszącym, ale inaczej. Z lekką domieszką wstydu. Ale poza takimi obserwacjami Majskich nie znałem. A życie nauczyło mnie, jak niewiele wiemy o bliźnich. Później ta niewiedza okazała się czymś dobrym. Nie było co opowiadać.

Pan Liebermann splótł dłonie na stoliku, a ja obserwowałem cętkowaną skórę na jego knykciach.

- Kiedy mój brat Paweł uciekł w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, zabrał ze sobą Adama. Cała grupa młodych mężczyzn wyjechała z naszej części miasta. Wciąż pamiętam ich stojących w naszym korytarzu. Wysoki Adam obok Pawła, który był niski i drobny. Mój brat miał bystry umysł, ale jego ciało nie było stworzone do trudów. Jego marzeniem było zostać politycznym karykaturzystą. Miał cudowny talent - nie było takiej rzeczy, której nie potrafiłby narysować. Kilkoma pociągnięciami pióra potrafił człowieka rozśmieszyć, a potem skłonić do zastanowienia, co go śmieszy. Często myślałem o nich, jak tam stali, każdy ze swoim niezwykłym talentem, który nie zostanie wykorzystany. Matka płakała cicho, ukrywając twarz w dłoniach, a ojciec uściskał ich, najpierw Pawła, potem Adama. Nigdy ich już nie zobaczyliśmy. Nigdy. Dlatego to taki ważny dla mnie obraz. Towarzyszy mi wszędzie.

Na chwilę zamilkł.

- Rodziców straciłem następnego roku. Najpierw mamę, gdy nas rozdzielili po

przyjeździe do Auschwitz. Ojca później, gdy nie potrafił już dłużej trzymać się życia. Można by pomyśleć, że najtrudniej było znieść ostatnią stratę. Ale tak nie było. Najtrudniejsza była utrata Pawła. Ta pierwsza. Potem byłem poniekąd jakoś przygotowany. Utrata brata otworzyła przede mną wrota do ciemności.

Pan Liebermann przymknął oczy. Gdy ponownie je otworzył, pomyślałem, że wygląda na zmęczonego i wycieńczonego. Ścisnął palcami nasadę nosa.

- Po wojnie wylądowałem w Nowym Jorku. Sam. I nawet po wielu latach, gdy chodziłem ulicami, jakaś część mnie obserwowała twarze napotykanym ludzi. Poszukiwanie, niezmiennie poszukiwanie mojego zaginionego brata. Czasami czyjaś sylwetka sprawiała, że serce zaczynało mi bić szybciej. Gestykulacja, kształt głowy. To było jak nieustanne zrywanie strupów. Czerpanie perwersyjnej przyjemności z bólu. Wiedziałem, że moi rodzice nie żyją, ale nie wiedziałem, co się stało z Pawłem. I z Adamem.

Na początku mieliśmy wieści od przyjaciół przyjaciół. Słyszeliśmy, że są bezpieczni na Litwie. Że żyją. Żebyśmy się o nich nie martwili. Żebyśmy się nie szukali nawzajem, próbowali wyjechać, jeśli możemy. Ale wiadomości były jakby skażone przez ludzi, przez których przechodziły. Wytarte i wypłowiałe. Nigdy nie spotkaliśmy kogoś, kto by ich widział, tylko tych, którzy spotkali kogoś, kto spotkał kogoś, kto ich widział. Przypuszczam, że podobnie jak Klara nigdy nie potrafiłbym dać za wygraną. Zaniechać poszukiwań własnego brata. Bo trop nigdy się nie urywał; po prostu się zacierał. Zanikał w dalekim mroku. Nigdy nie mogłem mieć pewności. Zawsze był cień nadziei. I żywiłem ją. - Odchylił się na oparcie krzesła. - Może właśnie dlatego wróciłem i zamieszkałem w Polsce. Myślałem, że Polska będzie najlepszym miejscem na oczekiwanie. Oczekiwanie, aż znowu się spotkamy. Z Pawłem.

Westchnął i przez chwilę patrzył przez okno, a gdy z powrotem odwrócił się w moją stronę, jakby zakrył jeden rozdział i zaczynał kolejny.

- Czy zna pan niemiecki? Zna pan słowo *hässlich*? W tłumaczeniu znaczy ono „brzydki”. Ale znaczy chyba coś jeszcze. Oznacza „zasługujący na niechęć”. Nienawistny. Dom, w którym mieszkam, jest nienawistny. Myślę, że w niechęci został zaprojektowany i zbudowany, i myślę, że przetrwał wojnę dlatego, że nie miał niczego do stracenia. Nie zasługiwał nawet na zdemolowanie - nie było piękna, które można by było zniszczyć. Ale latem hoduję na balkonie pomidory i chodzę na spacer po Plantach. I czekam na mojego brata. Potem w szabas idę do świątyni i modlę się za brata. Czekam tu cierpliwie; mam mnóstwo czasu.

I to wszystko, co mam panu do powiedzenia. Przykro mi - zakończył starszy pan.

- Powiedział mi pan więcej, niż pan przypuszcza - odparłem. - Jestem naprawdę wdzięczny.

- Proszę pana, ja wiem, czego pan szuka. Chce pan poznać ojca i matkę. Przykro mi, że nie mogłem dać panu więcej. Ale mam przyjaciela. Mieszka tutaj, w Krakowie, i co czwartek odwiedzam go, żeby rozegrać cotygodniową partyjkę szachów. - Spojrzał na mnie. - Gra pan w szachy?

- Słabo i dawno nie grałem - odparłem.

Pan Liebermann z uśmiechem kiwnął głową.

- Mój przyjaciel Mosze jest bardzo stary, ale umysł ma bystry jak zawsze. Gdy był młody, nikt w całym Krakowie nie mógł z nim wygrać. Zwyciężał we wszystkich zawodach - był moim bohaterem. Jestem pewien, że wciąż może się równać z najlepszymi. Od czasu do czasu wygrywam, ale od dawna podejrzewam, że po prostu mi pozwala, z litości. A może dla zachęty. Jestem teraz jego jedynym partnerem, potrzebuje mnie.

Uśmiechnął się lekko.

- Może przebywał na Litwie z Pawłem i Adamem. Niedługo, ale jest jedynym napotkanym przeze mnie świadkiem, który rzeczywiście widział Pawła po tym, jak stąd wyjechał. Spotkał ich w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Wtedy jeszcze żyli, przetrwali w lasach, ciągle w ruchu. Ale żywi. Za nic w świecie nie mogę sobie wyobrazić żadnego z nich tutaj. Paweł, taki kruchy i delikatny, z chorobą piersiową, Adam bujający w obłokach, te jego delikatne palce nadające się tylko do jednego. Wciąż zmagam się z obrazami, które mnie nawiedzają. Obaj na zimnie. I ślad kończy się tam, w lasach. Ale Mosze panu powie. Jeśli pan chce, odwiedzimy go pojutrze, w czwartek. A potem zjemy kolację. Przygotuję to, co zwykle. Śledzia. Właściwie to żadna kolacja, ale to właśnie zawsze z Moszem jemy. I pogadacie sobie. Mosze powie panu to, czego Adam nigdy nie mógłby powiedzieć.

19

Odprowadziłem pana Liebermanna do domu.

Dom był, jak sam stwierdził, *hässlich*. Bura kamienica z łuszczącym się tynkiem i rdzewiejącymi balkonami. Pożegnaliśmy się i umówiliśmy na spotkanie w tym samym miejscu w parku w czwartek, wczesnym wieczorem.

Poszedłem w stronę rzeki, a potem dalej w stronę Wawelu, starej fortecy mającej w

górze. Na obszernym dziedzińcu było niewielu zwiedzających i właściwie sam błąkałem się po wysypanych żwirem ścieżkach. Z jakiegoś niewidzialnego źródła płynęła barokowa muzyka: gdy zbliżyłem się do muru po wschodniej stronie, uświadomiłem sobie, że mieści się tu mały sklep muzyczny. Wszedłem do środka i przywitała mnie kobieta zajęta rozpakowywaniem towaru. Uśmiechnęła się i wróciła do pracy, gdy bąknąłem, że tylko się rozglądam. Był to niewielki sklepik z ograniczoną, ale eklektyczną ofertą muzyki klasycznej i jazzowej. Gdy lecące właśnie nagranie dobiegło końca, ekspedientka włożyła kolejną płytę CD. Utworu nie rozpoznałem, ale przyłapałem się na tym, że przystanąłem, żeby uważniej się wsłuchać. Utwór na wiolonczelę i fortepian, zaczynający się łagodnie, ale z ukrytym naciskiem w każdej nucie, powoli wznoszący się w stronę dramatycznej kulminacji, której słuchało się nieomal z bólem; po niej zapadła rozdzierająca serce chwila ciszy, jakby w następstwie gwałtownego płaczu. Kobieta za ladą odwróciła się i spojrzała, gdy podszedłem.

- Co to za muzyka? - spytałem.

Przepraszająco wzruszyła ramionami.

- *No English* - odrzekła.

- Ta muzyka - powtórzyłem, pokazując na znajdujący się za nią odtwarzacz CD.

- Aaa - powiedziała z uśmiechem. - Szymon Laks, *Passacaille*. - Nacisnęła przełącznik i muzyka popłynęła ponownie.

- Mogę to kupić? - spytałem, gdy utwór dobiegł końca.

Kobieta potrząsnęła głową i dotknęła swojej piersi.

- *My* - powiedziała. Zawahała się i przez chwilę patrzyła na mnie. Potem się odwróciła, wyjęła płytę z odtwarzacza, wsunęła ją do małej plastikowej saszetki i podała mi, kiwając głową. Sięgnąłem do kieszeni po portfel, ale ona ponownie potrząsnęła głową i machnęła ręką.

- *Take* - powiedziała, podając płytę. - *Take. Please.* - Spojrzałem na nią i zauważyłem, że jest ładna, choć jakoś zbyt poważna, by próbować poprawiać swój wygląd. Wpatrywała się we mnie uważnie.

- Dziękuję - powiedziałem, przyjmując podarunek. - To bardzo miłe z pani strony. - Nie potrafiłem niczego więcej z siebie wydusić. Kobieta odwróciła się i wsunęła do odtwarzacza inną płytę, tym razem Chopina, a potem ponownie spojrzała na mnie.

- *Listen* - powiedziała, pokazując na płytę, którą trzymałem w ręku. - *Come back.*

After.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

- Tak, oczywiście. Bezwzględnie. Wróć. Kiedy przesłucham. Jeszcze raz dziękuję.

Wyszedłem na dwór na jasne słońce, przeciąłem dziedziniec i stanąłem przy murze, spoglądając za rzekę. Szeroka, wolno sunąca droga wodna odbijała błękit nieba. Wyglądała na nieruchomą, jak na dawnym obrazie, zamrożonym w czasie, utrwalającym na wieczność chwilę.

Resztę popołudnia spędziłem, wałęsając się po mieście. Miałem dziwne uczucie, jakbym się cofnął do dzieciństwa w Sztokholmie. Kraków miał pogodną, dyskretną atmosferę, która z jakiegoś powodu przypominała moją Szwecję z lat pięćdziesiątych. Ulice były czyste, ale wydawało się, że nie tyle w wyniku sprawnego utrzymania, ile z powodu przyrodzonego braku śmieci. Tramwaje wypełnione pasażerami przejeżdżały nieśpiesznie. Staruszki sprzedawały precle na rogach ulic, a wózki z obwoźną sprzedażą sprawiały takie wrażenie, jakby ich wygląd przez lata się nie zmieniał. Nic nie wyglądało jak nowe, ale też nie wyglądało na zaniedbane. Kraków sprawiał na mnie wrażenie miasta, które postanowiło zostać takim, jakie było, robiąc najlepszy użytek z tego, co miało. Jak człowiek, który nie chce ingerować w proces starzenia się, w swój wygląd kogoś dobrze utrzymanego, choć staromodnego. Może trochę jak pan Liebermann.

W małej restauracji na ulicy Jana, tuż obok Bramy Floriańskiej, zjadłem lunch. Ulica sprawiała wrażenie świeżo odnowionej, ale zachowała swój urok. Głębokie, rzeźbione drewniane wnęki okienne tworzyły nastrój. Salę oświetlały świece, a na jej końcu, tam gdzie siedziałem, było tylko dwóch pojedynczych gości, którzy jeszcze bardziej zwiększyli moje dobre samopoczucie. Jadłem ze smakiem i pozwoliłem sobie na dwa kieliszki zaskakująco dobrego bułgarskiego czerwonego wina, które pasowało do pierożków z leśnymi grzybami. Nie śpieszyłem się, delektowałem się smakami, nieco zaskoczony tym, że potrafię je rozróżnić.

Po lunchu, przechodząc na ulicy obok małej kasy z biletami na imprezy i koncerty, postanowiłem sprawdzić, na co można się wybrać. Niewiele tego było, ale tego wieczoru w kościele Św. Bernarda miał występować kwartet smyczkowy, więc kupiłem bilet. Gdy po południu zmierzałem do mojego hotelowego pokoju, spotkałem ludzi wracających z pracy do domu, wielu z małymi bukietami tulipanów lub żonkili. Po prostu pęki niezawiniętych kwiatów, co przypomniało mi okres, gdy matka wysyłała mnie na mały rynek po kwiaty na piątek, a stara kobieta po kolei wyciągała łodygi z wielkiego bukietu. Wtedy wydawało mi się, że kwiaty rosną na polach bukietami zawiniętymi w celofan.

Po krótkim wypoczynku w hotelu i kilku rozmowach telefonicznych wybrałem się do kościoła. Było już chłodno, bo słońce zaszło, szedłem więc szybko. Bez namysłu skręciłem w lewo w Grzegorzeczką i jakoś instynktownie wiedziałem, że idę we właściwym kierunku.

W kościele było zimno. Faktycznie w barokowym gmachu było chłodniej niż na zewnątrz, ale publiczność była zaskakująco liczna, około siedemdziesięciu osób, w różnym wieku, na pierwszy rzut oka zarówno miejscowi, jak i turyści. W ławkach siedzieli w pozapinanych płaszczach, a z ust unosiły się im obłoczki pary i rozwiewały w ciemności. Uświadomiłem sobie, że moje ograniczone kontakty z kościołami i w ogóle wszelkiego rodzaju świątyniami zawsze dotyczyły muzyki, gdy byłem wykonawcą albo słuchaczem. Do kościoła nigdy nie zaglądałem z żadnego innego powodu. Przymknąłem oczy i słuchałem. Program był konwencjonalny - Handel, Mozart, Albinoni, Purcell - ale wykonany profesjonalnie, szczerze i z uczuciem. Byłem zaskoczony, jak bardzo mnie poruszył.

Kiedy wyszedłem i wkroczyłem w ciemną chłodną noc, poczułem się oczyszczony. Spokojny. Powoli szedłem przez opustoszałe miasto z rękami w kieszeniach, głęboko wciągając rześkie suche powietrze. Ponownie znalazłem się na ulicy, przy której stał mój hotel, i uprzytomniłem sobie, że już za późno na lekki posiłek. Wydawało się, że kilka restauracji jest wciąż czynnych i postanowiłem spróbować w małym lokalu na samym końcu ulicy, w Arce Noego. Lokal był wyludniony, wskazano mi stolik w głównej sali. Usiadłem i z miejsca poczułem się jak w domu. Wystrój był uroczy, przypadkowy zbiór starych mebli i sprzętów. Z osobna nic interesującego czy pięknego, ale w sumie urzekający. Zamówiłem krupnik i śledzia, piwo i kieliszek wódki.

W najdalszej sali trzech muzyków grało klezmerską muzykę: młody gitarzysta, starszy mężczyzna skrzypek i młoda klarncistka.

Natychmiast pomyślałem o Benie Kaplanie. Zadzwoiłem do niego przed wieczorem, by umówić nasze spotkanie w Sztokholmie, ale musiałem się długo zastanawiać, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Teraz nagle i bardzo wyraźnie przypomniała mi wszystko klezmerska muzyka.

Skończyłem czternaście lat i wciąż nie miałem prawdziwych przyjaciół. Muzyka pochłaniała mi mnóstwo czasu po szkole, co tym bardziej czyniło mnie outsiderem. Albo tak właśnie matka tłumaczyła moją samotność. „Mój Adam nie ma czasu na zabawy” - mawiała, jakby była dumna z tego, że nie prowadzę życia towarzyskiego. Albo może łagodziła. W szkole szło mi dobrze, co też szczególnie nie podnosiło mojej pozycji towarzyskiej. Umiejętnością, która mnie ratowała, było bieganie. Byłem wysoki i lekki, i przypuszczam, że miałem dobre warunki fizyczne. Może miałem także powód, by biegać. Bez większego wysiłku, przy niewielkim treningu, biegałem na tyle szybko, by wystąpić w regionalnych mistrzostwach.

Choć nie znałem nazwiska Bena, zauważyłem go, gdy tylko ustawialiśmy się do

pierwszego wyścigu. Nie wiedziałem, *kim* jest, ale wiedziałem, *czym*. Być może outsiderzy mają w sobie coś, co sprawia, że nawzajem się zauważamy. Może wydzielamy, jak wyraziła się kiedyś Mimi o nas obojgu w Nowej Zelandii, określony zapach i podświadomie go wychwytyjemy u innych. Powąchaj i rozpoznaj. Ci, którzy należą, poznają tych, którzy nie należą, i marszczą nosy, rozdymają nozdrza, wciągają powietrze, akceptując jednych i wykluczając innych. Dostrzegłem Bena; on dostrzegł mnie. Bez sympatii czy nawet zainteresowania. Po prostu jako fakt.

W finałach pobiegliśmy przeciwko sobie. Byliśmy młodzi i osiemset metrów biegliliśmy w niewymyślny, prosty sposób. Nie miałem żadnej techniki; aż do tamtego momentu radziłem sobie tylko dzięki talentowi i wytrzymałości. Niedługo po starcie reszta biegaczy szybko odpadła, ale Ben trzymał się obok mnie. Gdy chciałem wysunąć się przed niego, nie ustępował; gdy zwalniałem, robił to samo. Biegł po mojej lewej, jakby był do mnie przywiązany. Jego stopy dotykały asfaltu w dokładnie tym samym tempie co moje, jego ramię poruszało się równoległe z moim. Wydawało się, że nawet oddech ma zsynchronizowany z moim. Ilekroć zamierzałem się go pozbyć, jakby prześwietlał moje intencje, zanim przeobraziły się w działanie.

Razem pobiliśmy rekord i podzieliliśmy się pierwszą nagrodą, ale wciąż nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Potem, gdy już szliśmy do swoich szatni, tuż przed dołączeniem do naszych drużyn, zatrzymał się, spojrzał na mnie i szeroko się uśmiechnął, pokazując wystające przednie zęby ze szczerbą.

- Mogłem wygrać, wiesz - powiedział i trącił mnie pięścią w pierś. - Podobnie jak ty.

Nie odpowiedziałem.

Nie widzieliśmy się przez prawie dwadzieścia lat. Potem, którejs nocy na Costa Brava, w małej restauracji, która kiedyś była ulubionym miejscem spotkań muzyków po występie, ponownie na niego wpadłem. Nie mogę sobie przypomnieć, czy pogadaliśmy - było nas sporo, a on siedział z inną grupą przy innym stoliku. Było głośno i tłoczno, ale rozpoznaliśmy się, nawiązaliśmy kontakt. Jak powiedział, pracował nad doktoratem z fizyki. Ja właśnie podpisałem swój pierwszy kontrakt z orkiestrą. Wychodząc, zatrzymał się przy moim stoliku i zaprosił mnie, bym dołączył do niego i kilku jego przyjaciół w następnym tygodniu.

- Raz w miesiącu zbieramy się w kilku, żeby pograć klezmerską muzykę - powiedział.

- Nic szczególnego, dla zabawy. - Spojrzał na mnie trochę kpiąco. - Myślę, że mogłoby ci się spodobać. - Uśmiechnął się i dorzucił: - Może nawet wyjdzie ci to na dobre.

Nigdy nie skorzystałem z jego zaproszenia, ale zacząłem słuchać muzyki klezmerskiej.

Upłynęło kolejnych dwadzieścia lat albo więcej, gdy ponownie miałem od niego wieści. Wiedziałem, że reżyserował film fabularny, który właśnie doczekał się dobrych recenzji. Ja ukończyłem swoją pierwszą muzykę do filmu. Przez mojego agenta przesłał mi sympatyczny liścik po przeczytaniu recenzji w jakimś amerykańskim czasopiśmie, gdzie film określono jako przeciętny, ale muzykę jako jedną z najlepszych w roku. Był wspaniałomyślny, a ja zwróciłem na to uwagę i nadal z zainteresowaniem śledziłem jego karierę, tak jak on najwyraźniej śledził moją. Obie były wyboiste, ale jego wydawała się jakoś bardziej konsekwentna. Bardziej fortunna. Tak jakby autentycznie cieszyło go to, co robi.

I potem, ni stąd, ni zowąd otrzymałem e-mail z propozycją współpracy. Oficjalny powód tej podróży. Okazja, by ponownie pobiec obok siebie.

Uprzytomniłem sobie, że sącę swoje piwo uśmiechnięty.

20

Następnego wieczoru ponownie spotkałem się z panem Liebermannem, tak jak uzgodniliśmy. Przechadzaliśmy się po parku, a światło zachodzącego słońca padało wydłużonymi smugami na żwir.

- Może powinienem panu poopowiadać o moim przyjacielu - powiedział. - Mosze Śpiewak jest... hm... *nietypowym* człowiekiem. Ale nawet przez chwilę niech pan nie myśli, że jego... hm... ekscentryczność jest oznaką podeszłego wieku. - Pan Liebermann uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się iskierki. - Nie, jest po prostu bardzo nietypową postacią. Zawsze był. Wszystko robi po swojemu. Myśli inaczej niż inni ludzie.

I gdy patrzyłem na pana Liebermanna, ja także nie mogłem się nie uśmiechnąć. Wyraz jego twarzy ukazywał głębię jego miłości do starego przyjaciela.

Mosze Śpiewak mieszkał na Kazimierzu, niedaleko od mojego hotelu, w kamienicy, jak przypuszczałem, niezamieszkaney. Nie było żadnych oznak życia w tym domu, jednego w szeregu podobnych trzypiętrowych budynków przy tej ulicy. Fasada była ciemna, jakby przez dziesięciolecia wystawiona na działanie sadzy i skażenie. Okna czarne i matowe; nie myto ich oczywiście od bardzo długiego czasu. Zwolniłem, spojrzawszy na ten niezbyt zachęcający budynek, ale pan Liebermann pociągnął mnie za rękaw.

- Niech się pan nie niepokoi. Wygląda na opuszczony, ale mogę zapewnić, że nie jest. - Wyciągnął z kieszeni klucz i włożył do zamka we frontowych drzwiach. Chwilę zajęło mu obrócenie klucza, potem pchnięciem otworzył drzwi, wszedł do środka i dał mi znak, żebym

podążył za nim.

Na nieoświetlonej klatce schodowej powietrze było stęchłe i zimne. Pan Liebermann po omacku szukał przełącznika światła na ścianie obok drzwi wejściowych, które skrzypiąc, powoli się zamykały. Gdy się zatrzasnęły, na chwilę pozostaliśmy w ciemności, zanim zapaliła się pojedyncza żarówka, dając słabe światło, które w ogóle nie docierało do ciemnych kątów. Po drugiej stronie czarno-białych spękanych marmurowych płyt dostrzegłem kręte schody. Pan Liebermann prowadził, a ja dotrzymując mu kroku, szedłem za nim. Na pierwszym podejściu dwoje drzwi naprzeciwko siebie, bez nazwiska czy skrzynki na listy. Pan Liebermann, zdyszany, wspinał się na kolejną kondygnację, podciągając się na poręczy mocnym chwytem ręki. Dotarliśmy do drugiego podestu. Przystanął z ręką przyciśniętą do piersi, ciężko oddychając, ale z uśmiechem na ustach. I znowu dwoje jednakowych drzwi naprzeciw siebie. Nic nie wskazywało, by któreś prowadziły do zamieszkanego lokalu, ale pan Liebermann zwrócił się w stronę jednych drzwi i zapukał siedem razy, gwałtownie i rytmicznie. Nie dosłyszałem żadnego odzewu. Czekaliśmy w milczeniu.

Nagle drzwi się otworzyły i lunął na nas strumień ciepłego światła.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Mosze Śpiewak jest tak samo niski jak pan Liebermann, ale potem zobaczyłem, że cierpi na skoliozę i jest zgięty we dwoje. Gdy stał w drzwiach, nie sposób było dostrzec jego twarzy, ale głos miał mocny i czysty.

- Witam, proszę wejść - powiedział po angielsku i stanął z boku, żeby nas wpuścić.

Mieszkanie było wprost przepiękne.

Lśniący parkiet z mozaiką uroczych starych orientalnych dywaników. Meble nieliczne, ale każda sztuka uderzająco piękna i sprawiająca wrażenie luksusu. Dwa małe stare kryształowe żyrandole rozsiewały łagodne światło w wąskim korytarzu. Przystąpiłem próg salonu i zatrzymałem się.

Pokój nie był bardzo duży, ale sprawiał wrażenie przestronnego z powodu skąpego umeblowania. Jego ściany pokrywały dzieła sztuki, które zaparły mi dech. Jeśli były autentyczne, w co nie wątpiłem, to miałem przed sobą bezcenną kolekcję - pejzaże, sceny myśliwskie, bitwy, kilka martwych natur i obrazy z motywami religijnymi. Ale obrazem, który przykuł moje oko, był portret, chyba pastel, może szkic do malowidła. Nie był duży, nie epatował kolorystyką, ale gdy mój wzrok spoczął na nim, wszystkie pozostałe jakby zblakły. Był to portret młodej kobiety siedzącej przy pianinie, z lewą ręką na klawiaturze, ale nie tak, jakby grała; raczej tak, jakby została uchwycona w chwili kontemplacji, gdy przygotowywała się do gry albo właśnie ją skończyła. Twarz ukazana w półprofilu, powieki opuszczone.

Oderwałem spojrzenie i uchwyciłem wzrok pana Śpiewaka. Obserwował mnie z

nieznacznym uśmiechem, w wykrzywionej pozycji, do której zmuszało go kalectwo.

- Pan też ją podziwia, jak widzę - powiedział.

Przytaknąłem bez słowa.

- Piękna, prawda? - ciągnął. - Ale to nie dlatego tak bardzo ją Kocham. Ta jej bezbronność, to, że została uchwycona tak znienacka. I jest taka smutna. Przyjemność sprawia mi myśl, że tutaj w moim pokoju jest bezpieczna.

Podszedł jeszcze kilka kroków w stronę obrazu i odchylił głowę, by nań popatrzeć.

- Nie jest oczywiście moja. Nigdy nie była. Nic tu nie jest moje.

Rozejrzałem się po pokoju, nie wiedząc, co ma na myśli.

- Uważam się za ich opiekuna. Przybyły tu, żeby dojsć do siebie. By odzyskać godność. - Starzec przytaknął sobie skinieniem głowy. - Tak, zwracam im ich godność. Moje mieszkanie to jakby sanatorium. Pielęgnuję je, żeby ponownie nabrały sił, zanim wrócą do prawowitych właścicieli. Niektóre potrzebują więcej czasu niż inne. Ten jest ze mną od dawna. Chyba nie będę mógł pozwolić jej odejsć. - Znow spjrzał na portret. - Będę za tobą tęsknił.

Usłyszałem, jak pan Libermann z tyłu chrząka, wchodząc na miękki chodnik w salonie. Odwróciłem się do niego, a on rzucił mi spojrzenie bardziej szelmowskie niż kiedykolwiek. Zachichotał cicho, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy, ale się nie odezwał.

Pan Śpiewak zaprowadził nas do małego stolika z czterema krzesłami przy oknie o zaciągniętych zasłonach. Usiedliśmy. Wreszcie zobaczyłem jego twarz w całej okazałości. Wyglądał staro, nigdy nie widziałem kogoś tak starego. Ciemnobrązowe oczy pod białymi krzaczastymi brwiami spjrzały na mnie i wydało mi się, że wiedzą wszystko. Nie tylko o mnie, ale o wszystkim, co ludzkie. Wpatrywał się we mnie tak długo, że aż poczułem skrepowanie. Wtedy uśmiechnął się i powoli skinął głową.

- Witam pana - powiedział. - Chyba że mogę do pana mówić „Adamie”?

- Proszę. Niech pan mówi mi po imieniu. Otrzymałem je wraz z jednym nazwiskiem, gdy się urodziłem. Drugie nie wiem, jak zdobyłem.

Ponownie skinął głową. I nagle nieoczekiwanie szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Adamie, podoba ci się moje mieszkanie? - spytał, z wysiłkiem rozglądając się po pokoju.

- Mieszkanie ma pan nadzwyczajne - odrzekłem.

- Mosze, proszę mi mówić Mosze - powiedział. - Jakże mamy grać w szachy, skoro nie jesteśmy po imieniu? Ale zanim zagramy, zjemy. I trochę pogadamy. - Powoli podniósł się z krzesła, ciężko opierając się o stół. Pan Liebermann także wstał, podobnie jak ja. Obaj

starsi panowie natychmiast się odwrócili i gestem poprosili, żebym usiadł.

- Jesteś dzisiaj naszym gościem. Proszę tu zostać, a my przygotujemy kolację - powiedział pan Śpiewak. - To nie potrwa długo - mamy swoje przeciwiczone numery, nieprawdaż, Szymonie?

Pan Liebermann przytaknął skinieniem głowy i uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tak - odparł.

Patrzyłem, jak obaj znikają w korytarzu. Zostałem w pokoju sam i wdychałem suchy, przyjemny zapach. Rozejrzałem się i poczułem się dziwnie domowo, jakby zdjęto mi z ramion ciężar. Wstałem i zacząłem się przechadzać wzdłuż ścian, studiując malowidła i ponownie zatrzymując się przed portretem. Młoda kobieta nie przypominała nikogo, kogo przedtem znałem, ale wydawała się znajoma. Poza, w jakiej siedziała na wpół odwrócona ode mnie, pogrążona w myślach, przywoływała coś, czego nie potrafiłem całkiem wyjaśnić. Wpatrywałem się w portret, aż usłyszałem za plecami skrzypnięcie parkietu. Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch starców wnoszących do pokoju duże talerze, które umieścili na stole. Były śledzie obłożone krojonym jajkiem, jabłkiem, buraczkami, cebulą i grzybami. Koszyk ciemnego żytniego chleba. Potem pojawiły się butelki - polskie piwo i trzy gatunki wódki. Oczywiście nie wiedzieli, jak skromna jest moja wiedza o szachach. A może wiedzieli. Jeden kieliszek wódki zmył wszelki ślad po umiejętnościach.

Obaj usiedli naprzeciwko mnie przy stole z zimnymi zakąskami i powoli zaczęli jeść. Bałtycki śledź to chyba przykład miłości i nienawiści. Dla mnie miłości. Słona ryba i jej dodatki smakowały wybornie. Wznosiliśmy toasty piwem i wódką, przyjemnie się upijając. Przynajmniej ja. Co do nich, nie jestem taki pewien - ich twarze promieniały raczej oczekiwaniem niż alkoholem.

- Mieszka pan tutaj zupełnie sam. Proszę mi opowiedzieć o swoim życiu - powiedziałem.

Starzec spojrział na mnie.

- Mosze, proszę mówić do mnie Mosze.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem i kiwnąłem głową.

- Sam? Gdzież tam. Czy wiesz, że mieszka tutaj cała moja rodzina? - powiedział. - I jeden bardzo drogi przyjaciel.

Szybko zerknąłem na pana Liebermanna, który również na mnie patrzył, z szeroko otwartymi oczami i lekko uniesionymi brwiami.

- Pozwólcie, że o nich opowiem. - I nie czekając na odpowiedź, pan Śpiewak zaczął: - Na parterze są moi rodzice, Judyta i Michał Śpiewakowie. Oboje są w podeszłym wieku, więc

postanowiłem umieścić ich na parterze. Schody to byłoby dla nich za wiele. Judyta jest wciąż piękna, pomimo wieku. Mój ojciec Michał wciąż gra na pianinie i radość mi sprawia, że mogłem mu podarować fortepian Steinwaya. Ćwiczy *II koncert fortepianowy* Chopina i idzie mu coraz lepiej, chociaż mówi się, że żaden pianista nie powinien tego próbować, gdy przekroczył średni wiek. Często przystaję pod drzwiami i słucham. Gra coraz lepiej, każdego dnia słysząc drobne różnice, tak jak musi być przy wykonaniach na żywo. To cud.

Naprzeciwko rodziców mieszka ciotka Beatrice, moja ulubiona ciotka, ta, która ma gęste miedziane włosy. Nigdy nie wyszła za męża, chociaż była uderzająco piękna. Nadal jest. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, zostałaaby śpiewaczką operową. I wyszłaby za męża. Tak się cieszę, że jest blisko swojego brata, mojego ojca, który jej akompaniuje jako muzyk i towarzyszy jako człowiek. Zawsze byli sobie bliscy.

W pokoju na następnym piętrze jest mój brat Samuel z żoną, której także na imię Judyta, jak mojej matce, dlatego mówimy do niej Dyta. Judyta o ciemnych, płonących oczach, zawsze tak prędką, jakby nigdy nie miała dość czasu. I wszystkie dzieci, które powinni byli mieć - chyba szóstka czy siódemka. Kiedy uważnie się wsłucham, słyszę tupot ich stópek, ich głosy, rozbrzmiewające na klatce schodowej, gdy się bawią.

Po drugiej stronie podestu jest moja siostra Hanna. Sama, ponieważ nie znalazłem nikogo, kto byłby jej wart. Podarowałem jej farby i płótna i wysiałem kwiaty w doniczkach. Jest tam hoja i jaśmin, i gardenia - wszystkie zapachy, które lubi. Na wiosnę przynoszę jej bukiety lilii z doliny. Są tam jej nadzwyczajne meble, w tym łóżko z baldachimem. Wszystko to odkupiłem. Wymagało to czasu i nie wszystko jest dokładnie tak, jak było. Czasem jest lepsze, piękniejsze.

Patrzyłem na starca, nie bardzo wiedząc, jak rozumieć jego opowieść, odpowiedział mi jednak na wskroś szczerym spojrzeniem. Powoli skinąłem głową.

- A dalej, tutaj, na najwyższym piętrze, w mieszkaniu po drugiej stronie podestu, umieściłem pannę Majską.

- Martę Majską? - zapytałem, a starzec skinął głową.

- Tak, Martę Majską. Bo musiała mieć gdzie się zatrzymać. Gdzie czekać. Była tak strasznie samotna, rozumiesz. Nie było nikogo, kto by się nią zajął. Potem. Po wyjeździe siostry i śmierci matki była bardzo bezbronna. Nawet gdyby uniknęła napaści, chybaby nie przeżyła.

Przerwał i patrzył na mnie, jakby oczekiwał odpowiedzi, a ponieważ milczałem, podjął:

- Teraz ty, Adamie, opowiedz mi o swoim życiu. - Spojrzał na mnie badawczo.

Zanim jednak zacząłem się zastanawiać, co powiedzieć, wtrącił się pan Liebermann.

- A może by tak partyjkę szachów? Nim wykończymy naszego gościa?

- Oczywiście, oczywiście. Do stołu! - powiedział pan Śpiewak.

I zaczęliśmy. Byłem zamulony i ucieszyłem się, że najpierw popatrzę, jak oni grają, zanim przyjdzie moja kolej. Mosze Śpiewak był klasą sam dla siebie, to było widać. Widać było także to, że podkłada się, ażeby sprawić przyjemność swojemu przyjacielowi. Nucił pod nosem, czekając na ruchy pana Liebermanna. Gdy partia dobiegła końca, pan Śpiewak skomentował dobre aspekty gry pana Liebermanna.

- Parę dobrych ruchów, Szymonie - powiedział. - Strategia była zasadniczo rozsądna. Parę drobniejszych błędów. Nawet nie błędów, tylko głupich potknięć. Gdyby nie one, wygrałbyś.

Pan Liebermann uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

- Pańska kolej - powiedział i wstał, ustępując mi miejsca.

Chociaż starałem się wykorzystać wszystkie swoje - minimalne - umiejętności, pan Śpiewak z łatwością wygrał. Przez całą partię, za każdym razem, gdy był mój ruch, odchyłał się na krześle do tyłu, jakbym miał mnóstwo czasu na zaplanowanie swojego następnego posunięcia. I od czasu do czasu nieomal czułem, że swoim spojrzeniem kieruje mną, podsuwając konkretny ruch, którego nie potrafiłbym dostrzec.

Później przyjaciele rozegrali kolejną partię, którą ponownie wygrał pan Śpiewak.

- Odpocznijmy i napijmy się herbaty - zaproponował pan Liebermann.

Pan Śpiewak przytaknął skinieniem głowy.

- Tak, napijmy się. Czas na pogawędkę.

21

- Jak na mnie, jest późno - powiedział pan Liebermann i powoli wstał. Gdy i ja się podniosłem, kiwnął ręką, żebym został na miejscu.

- Nie - rzucił - musicie mieć trochę czasu, żeby się poznać. - Delikatnie położył mi dłoń na ramieniu i uklonił się gospodarzowi.

- Proszę jutro do mnie zadzwonić - powiedział. - Może wybierzemy się razem na spacer. - Potem odwrócił się, zwracając się do przyjaciela: - Do przyszłego tygodnia, Mosze. Dobranoc. Trafie do wyjścia. - I wyszedł.

- Jeszcze herbaty? - zapytał pan Śpiewak. Potrząsnąłem głową, a on uchwycił się

oparcia swojego krzesła, żeby wstać. - Przejdźmy do mojego gabinetu. Tam lepiej mi się siedzi.

Pokój po drugiej stronie korytarza był zastawiony książkami, plakatami, stertami dokumentów i książek. Nowy, najwyższej klasy laptop jaskrawo kontrastował z resztą pokoju pochodzącego jakby z innej epoki.

Mój gospodarz usiadł w starym skórzanym fotelu i nacisnął guzik w poręczy, żeby podnieść podnóżek. Skinieniem ręki zaproponował mi krzesło po drugiej stronie małego stoliczka.

- Muzyka? - spytał i nie czekając na moją odpowiedź, wziął ze stolika pilota. Z niewidzialnych głośników cichutko popłynął Chopin, *II Koncert fortepianowy*. Uśmiechnęliśmy się obaj.

- Jestem ci chyba winien wyjaśnienie na swój temat - powiedział, odchylając się w tył i splatając ręce na piersi. - Bo jeszcze pomyślisz, że jestem wariat.

Potrząsnąłem głową.

- Nie zapominaj, że obserwowałem, jak grasz w szachy.

- Ależ wielu wariatów świetnie gra w szachy - powiedział starzec z uśmiechem. - Pozwól więc, że wyjaśnię parę rzeczy. Podsunę ci małą informację na swój temat. - Powoli zamrugał i zauważyłem, jak jego powieki zamykają się na lekko wypukłych oczach. Sprawiało to wrażenie świadomego działania, bardzo powolnego zamykania i otwierania cieniutkiej bladej błony. Nie odzywał się, a muzyka wypełniała niewielki pokój. I gdy pomiędzy częściami utworu nastąpiła pauza, ponownie przemówił.

- Szachy to niezwykła gra. Nie tylko sama gra, ale i to, jak łączy ludzi, którzy poza tym nie mają ze sobą nic wspólnego. Wiek, płeć, język - to wszystko jest nieważne. Nawet rasa. I religia. Właśnie z powodu szachów dzisiaj tu jestem. Przed napaścią Niemiec byłem początkującym mistrzem szachowym. Kimś w rodzaju osobistości na skalę tego miasta, może nawet kraju. Miałem dziewiętnaście lat. Marzyłem o podróżach i myślałem, że dzięki talentowi objadę cały świat. I poniekąd objechałem.

Chwila milczenia i ponownie to powolne przymknięcie powiek, niczym kurtyny, najpierw na dół, potem do góry.

- Kiedyś udzielałem lekcji chłopcu o imieniu Jan. Jego ojciec był znanym pisarzem i filozofem. Poetą. Mogłeś o nim słyszeć.

Wymienił nazwisko, na chwilę zawiesił głos, ale gdy potrząsnąłem głową, wzruszył ramionami i ciągnął dalej.

- Chłopiec był jedynakiem i ojciec chciał włożyć w syna to wszystko, co sam kochał.

Szaleństwo, oczywiście, ale pełne dobrego serca i najlepszych intencji. Chciał między innymi, żeby chłopak nauczył się szachów i pokochał je. Ja z zadowoleniem przyjąłem dodatkowe pieniądze, ale wiedziałem, że chłopak nigdy nie zrozumie istoty gry. Nauczył się grać kompetentnie, ale nie kochać tak jak jego ojciec. Jak ja.

Umilkł i wydawało się, że przez chwilę wsłuchuje się w muzykę.

- Nie mogłem już uczęszczać na uniwersytet i trudno mi było wyprawiać się samemu do tej części miasta, w której mieszkał Jan. Bez formalnego anulowania umowy zaczęło to zamierać, aż zupełnie ustało. Byłem więc bardzo zaskoczony, gdy któregoś dnia otrzymałem list z prośbą o kolejną lekcję. Przesłano po mnie samochód. Gdy stałem w korytarzu, zawiązując szalik na szyi, z kuchni wyszła moja matka, wycierając ręce w fartuch. Przystanęła w progu i patrzyła na mnie, złożony ręce jak do modlitwy, przytykając koniuszki palców do ust. A gdy się odwróciłem, żeby otworzyć drzwi, kącikiem oka zobaczyłem, że wyciąga rękę, jakby chciała mnie powstrzymać. Ale ja, nie patrząc na nią, już mówiłem do widzenia i byłem za drzwiami. Nigdy więcej jej nie ujrzałem.

Pan Śpiewak wziął pilota i zmienił muzykę. Słuchaliśmy w milczeniu, gdy rozbrzmiały pierwsze tony - koncertu skrzypcowego Mendelssohna w nagraniu Heifetza. Podniosłem wzrok na starca, przez chwilę myśląc, że musiał wiedzieć, co dla mnie znaczy ten utwór, ale oczywiście nic nie wskazywało na to, że puścił go dla mnie. Przymknął oczy i wydawało się raczej, że pochłaniają go własne wspomnienia. Potem powoli uniósł powieki, odłożył pilota na stolik i powrócił do swojej opowieści.

- Nigdy się nie dowiedziałem, jak ojciec Jana odkrył, że nasz czas się skończył. Na wieść o nieuchronnej deportacji Żydów musiał zapewne podjąć jakieś staranne przygotowania. Nigdy jednak o tym ze mną nie rozmawiał - ani wtedy, ani potem. Kiedy przyszedłem do ich mieszkania, byli gotowi do drogi i jeszcze tego samego popołudnia wyruszyliśmy. Miałem jechać z nimi do Londynu jako oficjalny korepetytor Jana. I w ten właśnie sposób zostałem jedynym ocalałym członkiem mojej rodziny. Przeżyłem. Ale straciłem życie.

Potem, w Izraelu, żyłem w otoczeniu innych znajdujących się w podobnej sytuacji. Dzieci zaginionych. Ale w przeciwieństwie do większości, nie potrafiłem przyjąć nowości, nadziei. Czuję się już stary i nie mogłem żyć w tym nowym świecie. Zamiast tam osiedliłem się w Ameryce. To też nowy świat, rzecz by można. - Spojrzał na mnie badawczo. - Ale inaczej. Ludzie tam byli bardziej zdesperowani. Mielili marzenia, ale nie łączyło ich jedno wspólne marzenie. Czuję, że mógłbym tam żyć jak dawniej. Powróciłem do gry w szachy, ale moja pasja minęła. Nie tylko pasja do szachów, ale pasja w ogóle. Mimo to to właśnie

dzięki szachom przedstawiono mnie ludziom dobrze sytuowanym i gotowym mi pomóc. I tak właśnie poznałem Kalmana Silbera. A raczej najpierw jego wuja Davida, który był świetnym szachistą. Zaprosił mnie do siebie i przedstawił Kalmanowi - czy Kalowi, jak kazał do siebie mówić - młodszemu ode mnie o dziewięć lat. Poza wujem Kal nie miał żyjących krewnych, David zaś stracił żonę i nieletniego syna. I teraz obaj mężczyźni żyli jak ojciec z synem. Przypuszczam, że byłem jakby kimś pośrednim. Za stary na syna Davida, za młody na ojca Kala.

Pan Śpiewak przerwał.

- W kuchni jest jeszcze piwo w lodówce. Przyniósłbyś mi? Sobie też weź.

Zrobiłem, o co prosił, i wróciłem z dwiema schłodzonymi butelkami i dwiema szklankami. Ale starzec już chwycił butelkę i uniósł ją do ust.

- Ach, trochę zaschło mi w gardle - powiedział. - Od dawna tak się nie rozgadałem. - Pociągnął łyk. - Zaraz, na czym to ja stanąłem? Tak. Mój przyjaciel Kal. Pozwól, że go opiszę. - Spojrzał na mnie i przekrzywił głowę. - Pewnie się zastanawiasz, dokąd zmierzam. Ale wątek jest, przekonasz się. Proszę cię o chwilę cierpliwości. - Upił kolejny łyček piwa.

- Powiedziałem ci, że utraciłem przyszłość. Wojna się skończyła; był początek lat pięćdziesiątych. Wydawało się, że otwiera się tyle możliwości. Wszystko nastawiało się na nieskończenie produktywną przyszłość. A ja po prostu nie potrafiłem się załapać. Natomiast Kal nie miał żadnych związków z przeszłością. Żył przyszłością. Pełen pomysłów, marzeń, planów. Wciągnął mnie do swojego biznesu chyba dlatego, że się uzupełnialiśmy. Jego wuj zbił małą fortunę w branży mody i zainwestował fundusze, żeby Kal mógł założyć niewielką galerię sztuki - początkowo w skromnym miejscu przy Lower East Side na Manhattanie. Zabrał mnie tam któreś niedzieli i oprowadził. Sztuka nigdy nie była moją pasją - bardzo niewiele o niej wiedziałem. Ale Kal studiował sztukę przed wojną, mając nadzieję, że sam zostanie artystą. Teraz wykorzystywał swój talent, robiąc zakupy. Miał dobre oko i bujną osobowość. Ludzie mu ufali - artyści, klienci. Nie mogłem zrozumieć, do czego mnie potrzebował. Patrzyłem na dzieła w galerii, a nic dla mnie nie znaczyły. Kal oznajmił, że to nie ma żadnego znaczenia. Potrzebował mnie chyba do tego, bym równoważył jego żywiołowość. Coś w rodzaju adwokata diabła. A także do zarządzania kontami i finansami.

Dobrze nam się razem pracowało. Chociaż nie udało mi się nabyć żadnej z jego umiejętności oceniania sztuki, to ostatecznie zaczęły do mnie przemawiać konkretne dzieła. Na swój sposób. Stawałem przed obrazem i tropiłem go, skąd pochodził i dokąd zmierzał, potrafiłem rozumieć jego naturę. Tak samo jak przy dobrej partii szachów, wyłaniał się schemat. Rodzaj piękna. Ale to była bardzo osobista reakcja, niemająca chyba nic wspólnego

z tym, jak inni ludzie oceniają sztukę.

Aż któregoś dnia mieliśmy wizytę klientki w podeszłym wieku, która już przedtem kupowała od nas dzieła sztuki. Zaczęła rozmawiać z Kalem o obrazie zapamiętanym z dzieciństwa. Olej węgierskiego artysty Laszlo Mednyanszkyego, pejzaż. Powiedziała, że poprzedniej nocy śnił jej się dom jej dziadków i to przywiodło jej na myśl obraz. Chciała go odnaleźć. „Mając takie stosunki, mógłby pan może przeprowadzić jakieś dyskretne dochodzenie? Sprawdzić, czy dzieło da się wytropić?”. I to - powiedział pan Śpiewak - był początek mojego rzeczywistego zainteresowania sztuką.

Podciągnął się niezdarnie, wspierając na poręczach fotela, nacisnął guzik, żeby opuścić podnózek, i wstał.

- Chodź - powiedział, dając znak, żebym ponownie poszedł za nim do salonu. Szedł powoli przede mną, wreszcie przystanął na środku pokoju.

- Wszystko, co tutaj widzisz na tych ścianach, to wyszabrowane dzieła sztuki. W czasie prosperity naszego oficjalnego biznesu kwitła równocześnie nasza działalność uboczna. Tak się złożyło, że miałem wrodzony talent do prowadzenia dyskretnych poszukiwań. Może skłonność do zagłębiania się w przeszłość. Dobrze służyły mi również moje międzynarodowe koneksje szachowe. A Kal znał się na sztuce, a do tego miał nadzwyczajne podejście do ludzi. Instynktownie rozumiał ich ukryte motywy. Wiesz, to, do czego się zabieraliśmy, wymagało bardzo szczególnej kombinacji umiejętności. Staliśmy się po części detektywami, po części badaczami, po części negocjatorami. A także chyba tworzyliśmy dziwną parę mścicieli. Niespodziewanie okazaliśmy się w tym dobrzy. Na małą skalę. Udało nam się jednak zlokalizować i odzyskać pewną liczbę ważnych dzieł sztuki, w większości polskich, ale także węgierskich.

- Kal już nie żyje, a ja jestem tutaj, w Krakowie. Nasz oficjalny biznes, galeria, nie jest już taki mały, a prowadzi go córka Kala, Barbara, i jej dwoje dzieci, Dan i Rosa. Rosa odziedziczyła urok dziadka i podejście do ludzi, Dan jego dobre oko do sztuki. Galeria ma w tej chwili oddziały w Los Angeles, w Paryżu i w Tokio. Przynosi ładne zyski, rosące z roku na rok. A nasza uboczna działalność wciąż jest tym, czym zawsze była: małym nonprofitowym biznesem na boku. Kiedy wycofałem się do Krakowa, zostałem dozorcą. Dzisiaj biznes jest ciekawszy niż kiedykolwiek. Mały, ale naprawdę bardzo interesujący. Tutaj w moim salonie dzieła znajdują krótkie wytchnienie, odzyskują ciężyznę i przede wszystkim całą swoją godność, zanim ponownie połączą się ze swoimi pierwotnymi właścicielami. Z wyjątkiem tego jednego. Ona jest tutaj o wiele za długo. Chyba po prostu nie potrafię z niej zrezygnować.

Starzec zatrzymał się przed portretem.

- Wiesz, byłem w niej zakochany - powiedział. - Zawsze ją kochałem i zawsze będę kochać. - Wsadził ręce do kieszeni i wbił wzrok w podłogę. Potem badawczo spojrzął na mnie.

- To oczywiście nie ona, ale lubię myśleć, że tak mogło być. Podobieństwo jest bardzo silne. To księżniczka. Księżniczka Renata Habsburg Radziwiłł. Nie moja księżniczka. Nie Marta Majaska. Ale mogę poudawać. Mogę tutaj robić, co mi się podoba. - Wykonał ręką nieokreślony gest, jakby obejmując cały pokój, mieszkanie, kamienicę.

- Odbudowałem ją, moją przeszłość. Lepszą i piękniejszą niż była. I w niej spędzam swój czas, w przeszłości. Tutaj.

Staliśmy obok siebie, patrząc na portret. Nagle poczułem neodparte pragnienie objęcia ramieniem tego starego człowieka, ale on znów zaczął mówić i chwila uleciała.

- Doszedłem do wniosku, że tutaj są ci z nas, którzy potrafią kochać tylko raz. Według mnie tak rzeczywiście jest.

Nie byłem pewien, co odpowiedzieć, ale czułem, że on czeka na odpowiedź.

- Przypuszczam, że ja też do nich należę - odparłem powoli. - W moim życiu była tylko jedna kobieta. Tylko jedna, która się liczyła. A potem była moja córka.

- Ach, dzieci - powiedział pan Śpiewak. - Przypuszczam, że to inny rodzaj miłości. Absolutnej. Nieodwołalnej.

Ponownie podniósł wzrok na portret.

- Kiedyś miałem nadzieję, że jeśli tylko cierpliwie poczekam, ona spojrzy na mnie i zobaczy takim, jakim jestem naprawdę. Nie jakąś zewnętrzną istotę, ale moje płonące, namiętne wewnętrzne ja. Mnie prawdziwego. Myślałem, że miłość tego dokaże. Uczciwie. Że swoją miłością sobie ją zaskarbię, jeśli tylko dam jej czas. Jeśli będę cierpliwy, ujrzy mnie i pokocha. W to wierzyłem.

Patrzyłem na niego, był pochłonięty swoimi myślami. Potem nagle odwrócił się i ponownie na mnie spojrzął.

- Gdyby tylko był czas, może wtedy... - powiedział. - Bo cierpliwość wymaga czasu. To oczywiste, prawda? Czym jest cierpliwość, jeśli nie ma czasu? Jest samą istotą czasu. A mnie on nie był dany. Bez względu na to, na jaką cierpliwość się przygotowałem, bez względu na to, jak bardzo skłonny byłem czekać, aż ta miłość rozkwitnie. Bez czasu była nic niewarta.

Ruszył do przedpokoju, niepewnie i ostrożnie stawiając kroki, potem do kuchni, i wrócił z butelką i dwoma kieliszkami. Poszedłem za nim do gabinetu i znowu zasiedliśmy na

swoich miejscach. Pan Śpiewak napełnił kieliszki, wziął swój i wzniosł za mnie toast.

- Gdybym miał szczęście mieć syna, przypuszczam, że byłby mniej więcej w twoim wieku - powiedział i spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami i dziwnym wyrazem twarzy. Potem dwukrotnie przymknął oczy i chrząknął. - I nauczyłbym go tak grać w szachy, że byłby lepszy niż ty. - Uśmiechnął się i ponownie uniósł kieliszek. Gdy stawiał go na stole, uśmiech na jego twarzy przygasł. Na chwilę pogrążył się w myślach.

- Czy wiesz, co najbardziej rani? Co prześladowało mnie potem przez te wszystkie lata?

Potrząsnąłem głową.

- To, że ją porzuciłem. Wciąż widzę, jak spojrzała na mnie po raz ostatni. Przed drzwiami swego domu. Musiała być wyczerpana po długiej podróży, a wieczorem było bardzo zimno, chociaż to koniec kwietnia. Pożegnaliśmy się, ale ona wciąż stała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Była bardzo blada, a delikatna skóra jej nozdrzy zaczerwieniła się na zimnym powietrzu. Kiedy podniosłem rękę, żeby pogłaskać jej policzek, przytrzymała ją i na krótko przycisnęła moją dłoń do swej twarzy. Spojrzała na mnie tymi jasnymi szarymi oczami, ale nic nie powiedziała. Potem przeżywałem każdą minutę spędzonego razem czasu, analizowałem go, szukając utraconych szans. Rzeczy, które mogłem zrobić inaczej. I zawsze kończyłem tam, przed drzwiami do jej domu. Widziałem jej oczy i przekonywałem samego siebie, że chciała coś powiedzieć, że mógłbym ją zachęcić, gdybym wiedział, co zrobić. Zamiast tego opuściłem rękę. Przytrzymałem ciężkie drzwi, by weszła, i patrzyłem, jak znika w ciemnym korytarzu. Tydzień później znalazłem się w Londynie. Nigdy już jej nie zobaczyłem.

Łykaliśmy spirytus, który zostawiał w moim gardle palącą smugę.

- Absurdalne, że to właśnie ja musiałem odprowadzić ją w tę ostatnią podróż. Skoro to właśnie ja najbardziej nie chciałem, żeby szła. Życie rozdaje nam dziwne karty.

Starzec siedział przez chwilę z przymkniętymi oczami.

- Jej rodzice lubili mnie i ufali mi. Jak mogłem odmówić, kiedy błagała, żebym ją zabrał do Wilna? Oczywiście wiem, dlaczego chciała jechać. Nie miałem żadnych złudzeń. I wiedziałem, że ona nigdy nie będzie mogła wyjechać sama. Moi rodzice pozwolili mi tylko dlatego, iż myśleli, że uciekam. Że jadę w jedną stronę, żeby ratować życie, tak jak Adam i Paweł kilka miesięcy wcześniej. Może Marta myślała, że uda jej się zostać w Wilnie. Ale Wilno było dziwnym rodzajem tymczasowego rajy wyłącznie dla mężczyzn, nie dla kobiet. Nie było mowy, żeby została. A kiedy musiała wracać do Krakowa, jak mogłem pozwolić jej jechać samej? Moi rodzice byli zdruzgotani, widząc mnie z powrotem. Ale w końcu i tak

zostawiłem ich i Martę. Przeżyłem. Oni nie.

Znów wziął pilota. Kolejne wczesne nagranie - *Berceuse* Chopina.

- Rozpoznajesz pianistę? - spytał.

Przez chwilę wsłuchiwałem się bacznie.

- Rosenthal? - rzuciłem.

Starzec uśmiechnął się zadowolony z siebie. I potrząsnął głową.

- Friedman - powiedział. - Czy wiesz, że zainteresował się Adamem? Zaprosił go na swój ostatni koncert, tutaj w Krakowie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Myślę, że byłby ogromnie pomógł Adamowi w jego rozwoju artystycznym. Był bardzo wspaniałomyślnym człowiekiem. I bardzo dumnym Polakiem. Byłby zachwycony, mogąc wspomóc rodaka-muzyka na jego drodze do międzynarodowej kariery. Musiał dostrzec potencjał Adama, jestem pewien. Adam miał talent na światową skalę, nie tylko krakowską czy polską. Chyba obaj byliśmy pewni, że nasze talenty wyprowadzą nas w świat, Adama i mnie. Tyle rzeczy traktowaliśmy jako oczywistość. Jakby sam talent stanowił jakąś gwarancję. Był biletem do przyszłości.

Siedzieliśmy, słuchając muzyki. Stare nagranie było okropne technicznie, ale właśnie dlatego nad wyraz wzruszające. Żadnej gładkości; to, co słyszeliśmy, było całkowicie proste i czyste. Piękne.

- Naiwnie oczekiwałem, że wiele mi da moje zamiłowanie do szachów. Nie tylko podróże i bogactwo. Nie, jak głupi myślałem, że nawet miłość. Myślałem, że z czasem przyniesie mi kobietę, którą kocham. Podobnie jak wielu młodych ludzi, widziałem zależność między zawodowym sukcesem a innymi szczęśliwymi zrządeniami losu. Oczywiście, mrzonki. W końcu nie miałem ani jednego, ani drugiego. - Uśmiechnął się nieznacznie.

- Twoja kolej - powiedział po chwili. - Opowiedz mi o kobiecie, którą kochałeś, Adamie. Kobiecie, którą kochasz.

Miałem wrażenie, że teraz z myślą o mnie zamknął oczy, jakby chcąc mi ułatwić mówienie.

- Na imię ma Cecylia - zacząłem. - Nie widziałem jej od blisko dwudziestu lat.

Sam na chwilę przymknąłem oczy i zobaczyłem nasze pierwsze spotkanie. Młoda blondynka o ciemnych oczach, stałaś i patrzyłaś na mnie z lekką drwiną.

- Spotkałem ją przypadkiem, na recitalu w Sztokholmie. Przypuszczam, że wszystkie pierwsze spotkania są tak czy inaczej przypadkowe. Tego wieczoru nie oczekiwałem absolutnie niczego. Dla mnie był to zwykły studencki recital i nie mogłem się doczekać, kiedy będzie po wszystkim. To było śmieszne pierwsze spotkanie, takie, o jakich się czyta w

głupich romantycznych książkach. Wpadłem na nią. Dosłownie. A potem wystarczyło zaledwie pięć minut, żebym się beznadziejnie zakochał. Gdyby wszystko skończyło się tam i gdybym miał jej już nie zobaczyć, chyba wciąż bym pamiętał. Zawsze. Ale i tak ofiarowała mi rok i teraz już na zawsze we mnie mieszka. Odwzajemniona miłość dała mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Bezzasadnie uznałem, to, że będzie trwać wiecznie. Nie przewidywałem ani początku tej miłości, ani jej końca.

Pan Śpiewak wyciągnął rękę po okulary.

- Cecylia. Wkroczyła w moje życie tak nagle, a ja byłem... Nie wiem, po prostu nigdy nie czułem, że na nią zasługuję. Jej miłość była absolutnie czysta. Byłem całkowicie nieprzygotowany na taki związek. A potem, gdy mnie zostawiła, byłem równie nieprzygotowany. Nie wiem, jak scharakteryzować tę kobietę. Jej miłość. Nie przypominała niczego, czego doświadczyłem przedtem. Z jednej strony, całkowicie niewinna. Bezwzględna. Ale mnie zawsze się wydawało, że tkwi w niej coś, czego po prostu nie mogę pojąć. Świadomie nigdy tego nie rozumiałem, toteż nie mogę jej scharakteryzować.

Spojrzałem na swego towarzysza i poczułem dziwną pewność, że mnie rozumie.

- Kochałem ją. Jeśli w ogóle potrafię kochać, to ją kochałem. Ale zostawiła mnie. Zostawiła mnie z naszym dzieckiem. Dała mi córkę, Miriam.

Starzec nagle szeroko otworzył oczy. Wpatrywał się we mnie, jakby doznał wstrząsu.

- Co zrobiła? - spytał, nieomal krztusząc się słowami.

- Dała mi nasze dziecko.

Potrząsał głową, nie mogąc złapać tchu.

- Jak kobieta może w ogóle zrobić coś takiego? - wykrzyknął, cały czas potrząsając głową, jakby nie mógł zrozumieć, co mu powiedziałem.

- Postawiła mi ultimatum: mogę mieć ją albo dziecko. Nigdy oboje. - Gdy wypowiedziałem te słowa, zrozumiałem, co znaczą. - Wiedziałem, że chce, bym zrozumiał. Zupełnie jakby oczekiwała, że będę czytał w jej myślach. Ale ja oczywiście nie mogłem. Byłem całkowicie zajęty sobą. Moim własnym żalem. Ale nie mogłem tego nie dostrzec. Powinienem był zapamiętać ten pierwszy wieczór, gdy opowiadała o swojej sztuce. Jak bolesne jest dla niej obnażanie swojej duszy w dziele. Jak przez cały spędzony wspólnie czas czułem, że nosi w sobie coś, co mam dostrzec, jeśli tylko będę odpowiednio wrażliwy. Że chciała, żebym zauważył coś, co przerastało moje możliwości. Miałem odkryć coś, czego ona nigdy nie mogła sformułować. I gdy powiedziała mi o dziecku, pomyślałem, że pomimo mojej skrajnej rozpacz w jakimś sensie rozumiem. I to sprawiło, że niemożliwy wybór stał się nie tylko możliwy, ale i akceptowalny.

- Więc się zgodziłeś?

Muzyka się skończyła i słowa starca zawisły w próżni. Wciągnąłem powietrze, ale nie mogłem napęłnić nim płuc.

- Czy nigdy nie zastanowiłeś się nad tym, dlaczego przede wszystkim ciebie postawiła przed takim właśnie wyborem? Dlaczego nie dokonała go sama?

Miałem trudności ze złapaniem tchu, z przelitykaniem. Wyciągnąłem rękę, żeby pociągnąć kolejny łyk wódki, ale przypadkowo potrąciłem kieliszek. Pan Śpiewak ze zniecierpliwieniem machnął ręką, gdy chciałem wstać. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł rozlany trunek. Otworzył butelkę i ponownie napęłnił mi kieliszek, kiwając głową zachęcająco.

Czułem, że policzki mi płoną, a w ustach robi się sucho.

- Przez te wszystkie lata nie, nigdy - powiedziałem. - Wiedziałem, jak mnie kocha. Znałem jej żal. Więc z powodów, których w pełni nie umiem wyjaśnić, zgodziłem się, ponieważ instynktownie czułem, że ona nie ma wyjścia. Że poza alternatywą, którą mi przedstawiła, nie ma wyboru. Upłynęło wiele czasu, zanim pomyślałem, że być może mogłem to zmienić. Wprowadzić inną alternatywę. Że może mogłem jej pomóc podjąć inną decyzję. Gdybym tylko z nią porozmawiał. Zadał właściwe pytanie. Dopiero niedawno zacząłem się nad tym zastanawiać.

Starzec skinął głową.

- Niektórzy z nas mają cierpliwość, inni czas. My jednak potrzebujemy jednego i drugiego, nieprawdaż? I potrzebujemy słów. Potrzebujemy rozmowy.

Nagle poczułem się wyczerpany i zaczęły mnie piec oczy. Odchyliłem się w fotelu i przymknąłem powieki.

- Mam gościnne łóżko przygotowane w mieszkaniu panny Majskiej. Chyba nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś dziś w nocy się w nim przespał - usłyszałem głos starca. - Wie, że ją kocham i że kocha ją każda wpuszczona tam osoba. Ufa mi.

Wstałem więc i skończyło się na tym, że spędziłem moją pierwszą noc w mieszkaniu Marty Majskiej. W jakimś sensie czułem się trochę jak dzieło sztuki w salonie Mosze Śpiewaka. Zupełnie jakbym dostał chwilę wytchnienia, czas, żeby się przystosować do nowego życia. Nowego miejsca.

Leżałem w wąskim łóżku w nakrochmalonej pościeli i obserwowałem wzorek, jaki tworzyło na suficie światło latarń przenikające przez nagie gałęzie drzew pod oknem. Myślałem o kobiecie, w której sanktuarium przebywałem. Siostrze mojej matki. Miłości Mosze Śpiewaka. Ale gdy w końcu przymknąłem oczy, to nie twarz Marty Majskiej ujrzałem.

Ujrzałem twoją twarz, Cecylio.

III

ŚCIANA

Odwróciła twarz do ściany

*przecież mnie kocha
dlaczego odwróciła się ode mnie*

*więc takim ruchem głowy
można odwrócić się od świata
na którym ćwierkają wróble
i młodzi ludzie chodzą
w krzyczących krawatach*

*Ona jest teraz sama
w obliczu martwej ściany
i tak już zostanie*

*zostanie pod ścianą
ogromniejącą
skręconą i małą
z zaciśniętą pięścią*

*a ja siedzę
z kamiennymi nogami
i nie porywam jej z tego miejsca
nie unoszę
łżejszej niż westchnienie.*

TADEUSZ RÓŻEWICZ

- Pójdziemy do mnie? - spytałaś.

Wracaliśmy do twojego mieszkania w Gärdet.

Dochodziła północ i znowu sypał śnieg. W powietrzu wirowały drobniutkie suche płatki i nasze kroki zostawiały świeże ślady na nietkniętym białym całunie pokrywającym ścieżkę. Sunąc niemal bezgłośnie, przejechał przypadkowy samochód.

Nie wiedziałem, czego mam się spodziewać, ale mieszkanie było na ostatnim piętrze trzykondygnacyjnej kamienicy z lat trzydziestych, jednym z czterech bloków ustawionych frontem wokół małego parku. Szedłem za tobą schodami w górę. Otworzyłaś przede mną drzwi. Miejsce odsłoniło się natychmiast: wąski przedpokój wychodzący na salon z kuchenką. Jedno duże okno i drzwi na mały balkon. Umeblowanie zredukowane do tego, co podstawowe: niskie podwójne łóżce, właściwie materac na podłodze, i duże biurko z krzesłem. Blejtramy oparte o sztalugi. Żadnych zasłon, dywaników, roślin - żadnej słabości. Gołe mury, chociaż, zwrócone twarzą do ściany, stały przy nich poukładane jeszcze inne płótna. Tak właśnie odebrałem to po raz pierwszy. Surowe i smutnawe, całkowicie prywatne, ale niedające nam żadnych wskazówek do prywatności.

Rzuciłaś płaszcz na krzesło, otworzyłaś drzwi na balkon i patrzyłaś, odwrócona do mnie tyłem.

- Masz ochotę na kieliszek wina? - spytałaś, nie odwracając się. W parku pod oknem ciemniał okrągły placzyk, który mógłby być stawem, ale teraz był tylko miękkim wgłębieniem w śniegu. Stojące wokół ławki wyglądały tak, jakby były z waty, miały niewyraźne kształty. Chłodne powietrze stało nieruchomo. Wziąłem głęboki oddech, a potem wyciągnąłem rękę i dotknąłem twoich włosów.

Odwróciłaś się i pocałowałaś mnie, szeroko otwierając oczy. Uniosłaś ręce i przez chwilę myślałem, że mnie obejmiesz, ale ty tylko przesunęłaś palcami po moim ramieniu, jakby szkicując w powietrzu zarys mojego ciała. Kiedy chciałem przyciągnąć cię bliżej, cofnęłaś się, odwróciłaś i zamknęłaś drzwi na balkon. Potem minęłaś mnie, przeszłaś przez pokój i zgasiałaś światło. Początkowo ledwie dostrzegałem twoją sylwetkę, gdy bezszelestnie ruszyłaś na środek pokoju, przystanąłaś i rozebrałaś się ze spokojną dokładnością. Mój wzrok przywykł już do ciemności i zauważyłem, że patrzysz mi w twarz, a ubranie leży rzucone na podłodze wokół twoich stóp. Twoja blada skóra jakby świeciła w ciemności rozpraszaną

jedynie przez światło odbite od śniegu i blask odległych latarni. Zdjęłaś klamrę spinającą twoje włosy i potrząsnęłaś głową. Nie spuszczałaś ze mnie wzroku. Powoli zacząłem rozpinąć koszulę, ale czułem, że palce mam sztywne i niezdarne. Nie próbowałaś mi pomóc, tylko stałaś spokojnie, wpatrując się we mnie.

Potem, gdy leżałem z otwartymi oczami, wsłuchując się w twój nierówny oddech, patrząc na twoje plecy, starałem się nie zaprzętać niczym myśli. Ale gdy przebiegłem oczami po twoich plecach, od smukłej odkrytej szyi na poduszce, bezbronnych łopatek, poprzez łagodną linię prowadzącą do wpół odsłoniętych krągłości twoich pośladków, uświadomiłem sobie, że jest już za późno. W ciągu zaledwie kilku godzin nieodwołalnie wkroczyłaś w moje życie.

Odkąd zgasiłaś światło, nie zamieniliśmy ani słowa. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, gdy się rozebrałaś, ale wyciągnęłaś rękę i lekko przykryłaś mi dłonią usta, uciszając mnie. Położyłem się, a ty siadłaś na mnie okrakiem, pieszcząc rękami moje ciało. Zanim znowu mnie pocałowałaś, przesunęłaś palcami po moich wargach. Zupełnie jakbyś coś stwarzała: mnie stwarzała. Ale nie odzywałaś się. I przez cały czas, gdy się kochaliśmy, miałem wrażenie, że jestem obiektem, a nie partnerem. Nie to, że nie dbałaś o moją przyjemność, wręcz przeciwnie, ale że czułem się pozostawiony na zewnątrz. Z taką pasją ofiarowałaś mi całe swoje fizyczne „ja”, ale nie dałaś mi ani cząstki swojej duszy. Oczy miałaś zamknięte, podobnie jak ja, ale tak, jakby były ze szkła - pozwalały patrzeć od wewnątrz, ale nie dawały wglądu.

Potem otoczyłaś się ramionami, zakrywając piersi, jakby obejmując siebie samą, odwróciłaś się do mnie plecami i zasnęłaś. Wyglądałaś tak nieznośnie samotnie, że aż łzy napływały mi do oczu.

Pewna siebie i tajemnicza, leżałaś na boku, odwrócona ode mnie, trzymając samą siebie w ramionach. Po jakimś czasie z twoich warg wymknął się jakiś dźwięk. Przytłumiony, smutny, niezrozumiały. I całkowicie prywatny.

Wysunąłem się z pościeli i w milczeniu ubrałem. Śnieg padał coraz mocniej, za oknem widać było biały kłęb. Świat na zewnątrz wyglądał bezpiecznie, jak na widoczku zamkniętym w śnieżnej kuli. Nie zapalając światła, wyciągnąłem płaszcz, potem namacałem w kieszeni pióro.

W mroku nagryzmołem na wizytówce krótki liścik, prosząc cię, żebyś zadzwoniła, i wychodząc, położyłem go na półce sztalugi.

Nadal nie mogę uwierzyć w to, że mieliśmy tak mało czasu.

Te dziewięć miesięcy całkiem unieważniły dla mnie wszystko, co wydarzyło się przedtem. Po raz pierwszy w życiu czułem, że zdecydowanie mam swoje miejsce. Wreszcie żyłem. Pamiętasz te niedzielne spacerunki w stronę Djurgården? Była chłodna zima, z mnóstwem śniegu, który wciąż padał, ofiarowując nam nieskazitelnie białe, wydawało się, wieczne przestrzenie. Od czasu do czasu odwracałaś twarz i patrzyłaś na mnie, jakby chcąc się upewnić, że wciąż jestem. Odczuwałem tę samą potrzebę i chwytałem cię za rękę czy ramię, po prostu żeby się upewnić. I wydawało się, że raz po raz jednocześnie zatrzymujemy się tylko po to, by na siebie popatrzeć.

Na Boże Narodzenie kupiłem ci hiacynt w doniczce. Po raz drugi stanąłem w progu twojego mieszkania i poczułem się jak idiota, podając ci zawiniętą roślinę. Ale ty uśmiechnęłaś się i wzięłaś ją, a kiedy zobaczyłem, jak ją troskliwie odwijasz, wiedziałem, że jest w porządku. Już nigdy nie przyniosłem ci kwiatów. Tylko ten jeden raz. Oboje znaleźliśmy znaczenie drobnego pachnącego białego kwiatka. Kiedy zwiędł, wstawiłaś doniczkę do szafki w kuchni i powiedziałaś, że przechowasz go do następnego roku. Czy kiedykolwiek jeszcze zakwitł?

Czy pamiętasz pierwszy koncert, na jaki poszliśmy? Młodego skrzypka Mintza, zaledwie dwudziestosześcioletniego, a już gwiazdy. Powiedziałaś mi, że nie masz pojęcia o muzyce, że doświadczenie w tej dziedzinie umarło razem z twoim ojcem. Tym bardziej więc byłem ci wdzięczny, że przyszłaś. Siedziałem obok ciebie w nabitym Konserthuset w Sztokholmie i było to tak, jakbym także po raz pierwszy słuchał muzyki. Gdy solista zaczął grać, odwróciłaś się do mnie na chwilę i uśmiechnęłaś, potem poszukałaś mojej ręki. Od czasu do czasu podczas występu rzucałem na ciebie szybkie spojrzenie, ale ty z najwyższą uwagą wpatrywałaś się w skrzypka i ani razu nie odwzajemniłaś spojrzenia, tylko trzymałaś mnie za rękę.

Ilekróć później słuchałem *Koncertu skrzypcowego* Czajkowskiego, zawsze przychodził mi na myśl twój spokojny profil. W końcu obraz ten stał się zbyt bolesny i zupełnie unikałem tego utworu. Dopiero niedawno znowu go wysłuchałem.

Słucham z zamkniętymi oczami i wciąż widzę twoją twarz.

To ciągle rani. Ponieważ to nie tamte sceny najpierw stają mi przed oczyma, lecz ta, w której wszystko się skończyło.

Kiedy tego ranka opuściliśmy twoją wyspę, pomyślałem, że już nigdy jej nie ujrzę.

- Decyduj - powiedziałaś.

Poszukaliśmy schronienia w starym hangarze na łodzie, zostawiając drzwi szeroko otwarte na deszcz, który wisiał w futrynie jak zasłona.

- To twoja decyzja.

Odwrociłaś się i spjrzałaś na mnie, a twoja twarz wydała się dziwnie blada, szara. Wiedziałem jednak, że w tygodniu opalałaś się intensywnie w letnim słońcu. Szukałem słów, właściwych słów. Słów, które zmieniłyby to, co, jak czułem, zamierzałaś powiedzieć. Powstrzymać cię od powiedzenia tego, co - jak wiedziałem - miało nastąpić. Albo żebyś wycofała te słowa, anulowała, gdyby miały zostać wypowiedziane. Wiedziałem, że muszą istnieć inne słowa, które by wystarczyły. Musiały istnieć. Ale słowa nigdy nie były moim medium. Ja nauczyłem się milczenia. W dziedzinie milczenia byłem specjalistą. I gdy bardziej niż kiedykolwiek w życiu potrzebowałem słów, one mi umykały.

Nic nie powiedziałem.

Zamiast tego wyciągnąłem ramiona i objąłem cię, delikatnie odwracając ku sobie. Nie stawiałaś oporu, ale też nie wyszłaś mi naprzeciw. I po krótkiej chwili musiałem cię puścić.

Słychać było cichy szum nieustannego, padającego równo deszczu i niepewne, migotliwe światło ustąpiło miejsca smutnej surrealistycznej szarości.

- To niemożliwe. To teraz niemożliwe. I nigdy nie będzie możliwe. - Oczy miałaś utkwione w wodę, gdzie maleńka rybka rzucała się spazmatycznie na wszystkie strony. Potem wyprostowałaś się i znów na mnie spjrzałaś.

- Żałuję, że nie mogłeś mnie zrozumieć - powiedziałaś powoli, wbijając wzrok w moją twarz. Powinienem był usłyszeć ogromne brzemienie każdego słowa. Powinienem był wiedzieć, co zrobić.

Wsluchuję się teraz w te słowa i wiem, że brzmiały jak błaganie, ale wtedy, gdy było to ważne, nie słyszałem, prawda? Nie rozumiałem. I pozwoliłem umknąć tej chwili. Nie odezwałem się, zajęty sobą, bo przeszedł mnie dreszcz strachu. Odwróciłaś wzrok na wodę pod naszymi stopami i twój głos zamienił się w szept, tak, jakbyś nie wierzyła, że będzie słyszalny.

- Kocham cię, Adamie. Nigdy nikogo jeszcze nie kochałam. Kocham cię od chwili, gdy po przeprosinach pochyliłaś się, żeby mnie wysłuchać. Nie, od pierwszej chwili, gdy

zobaczyłam cię na scenie. Zanim jeszcze wiedziałam, kim jesteś. Od tamtego pierwszego wieczoru cię kocham. Wszystko, co ciebie dotyczy. Twoje żyjące we mnie ciało. Twoje gesty. Twoje oczy. Ręce. Twój zapach.

Jakby na potwierdzenie tych słów uniosłaś ręce i niemal mnie dotknęłaś; potem opuściłaś je i złożyłaś na kolanach. Bez nadziei patrzyłem, jak opuszczasz głowę i zakrywasz twarz rękoma. Wiedziałem, że nie płaczesz. Zupełnie jakby twój smutek był jeszcze głębszy. Jakby nie mógł znaleźć wyrazu. Długi czas potem, gdy ponownie mogłem patrzeć na te sceny, myśleć o tobie, uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie widziałem, jak płaczesz.

Pozostałaś dokładnie tam, gdzie siedziałaś, przyciśnięta udem do mojego uda, machając stopami nad powierzchnią wody, ale czułem się tak, jakby drobinami narastał między nami dystans - zbyt małymi, by je dostrzec, lecz absolutny i nieodwołalny. I wbrew postanowieniu, by tego nie robić, to właśnie ja zacząłem płakać. Zaciśnięte ręce na krawędzi szorstkich drewnianych desek, aż pobiełały mi knykcie, ale łez nie potrafiłem powstrzymać.

Słyszałem, jak nabierasz powietrza.

- Musisz wybrać, Adamie.

Ale jak miałem wybierać? Postawiłaś mnie przed niemożliwym wyborem. Jak miałem wybierać między tobą a tym nowym życiem? Twoje przejrzyste oczy załśniły ciemno i nie było w nich miejsca na kompromis. I zanim otworzyłem usta, uświadomiłem sobie potworność tego, co zamierzam powiedzieć. Jak pod wpływem kilku prostych słów drzwi do tego wszystkiego, co sprawiało, że warto mi było żyć, zamknęły się cicho i już nigdy z powrotem nie miały otworzyć. Ale rozchyliłem wargi i pojawiło się słowo. Kilka błahych słów, które w jednej chwili zmieniły moje życie.

- Zgadzam się, Cecyljo - szepnąłem. - Wezmę to na siebie. - Spojrzałem na wodę w dole. - Zostanę ojcem twojego dziecka.

Nie odezwałaś się. Podciągnąłem nogi na podest i niezdarnie wstałem. Wyciągnąłem rękę, pomogłem ci się podnieść i stanęliśmy naprzeciw siebie. Zajrzałaś mi w oczy, potem powoli kiwnęłaś głową.

- Musisz mi obiecać, że odejdziesz. Nigdy nie będziesz próbował nawiązać kontaktu. Tak właśnie ma to wyglądać - powiedziałaś.

Teraz ja kiwnąłem głową i poczułem łzy spływające mi po twarzy.

- Urodzę ci twoje dziecko, Adamie, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci liczyć na to, że zostanę jego matką.

Na pewno istniały słowa, które mógłbym wypowiedzieć. Pytania, które mógłbym zadać. Prośby. Ale moje zdrętwiałe wargi pozostały zaciśnięte. Trzymałem cię za nadgarstki,

jakby chcąc, żeby moje uczucia przeniknęły przez twoją skórę. Żebyś zrozumiała głębię mojego żalu. Żebyś wiedziała, że innego wyboru nie mogłem dokonać, ale że to poświęcenie jest nie do zniesienia. O sobie myślałem, nie o tobie. Chciałem, żebyś się zlitowała nade mną i zmieniła zdanie. Nad tobą nawet nie próbowałem się zastanawiać. Toteż przegapiłem moment, gdy istniała być może jeszcze możliwość dotarcia do ciebie.

Wyrwałaś się, gwałtownie odwróciłaś, przecięłaś pomieszczenie i wyszłaś w deszcz. Padłem na kolana i zwinąłem się, wcisnąwszy ręce między uda. W końcu dałem upust swojej rozpacz i zapłakałem głośno, szlochając w deszczu bez opamiętania.

Nazajutrz rano wyjechaliśmy. W nocy deszcz ustał i gdy odwiązaliśmy cumy i odbiliśmy od kei, słońce sączyło się przez rozwiewające się chmury. Ciemne skały wzdłuż nabrzeża chłoneły ciepło i parowały, a w powietrzu utrzymywał się zapach deszczu. Obserwowałem dwa łabędzie zamieszkujące małą wysepkę po drugiej stronie zatoki, powoli sunące obok siebie po spokojnym morzu. Powiedziałaś, że co roku wracają do tego samego gniazda, żeby złożyć jedno jedyne jajo, z którego nigdy się nic nie wykluwa.

Płynęliśmy powoli, jakbyśmy oboje chcieli, by ta podróż trwała jak najdłużej. Obserwowałem wybrzeże mijanej wyspy. Z tej perspektywy wyglądała inaczej - bardziej zamknięta w sobie, nie tak zachęcająca. Wiedziałem, że już nigdy jej nie ujrzę. I byłem wdzięczny za tę pierwszą stratę. Za jej błahość. Za to, że małymi krokami mogą się uczyć akceptowania tego, co nieakceptowalne. Miałem nadzieję, że stopniowo zbuduję w sobie siłę, odporność, której będę potrzebował. Ponieważ niebawem musiałem się zdobyć na nieznośne poświęcenie.

Ciebie, Cecylio.

25

Rano po tej pierwszej nocy Mosze powiedział, że mogę się zatrzymać w mieszkaniu Marty. Przeniosłem się więc do domu stworzonego przezeń dla kobiety, którą kochał.

Wkrótce ustaliliśmy porządek dnia. Mosze z powodu swojego upośledzenia rzadko wychodził. W kamienicy nie było windy, a on tylko z ogromnym wysiłkiem mógł przebrnąć przez schody. Trzy razy w tygodniu przychodziła rano kobieta, żeby posprzątać i pozałatwiać sprawunki, ale przez resztę czasu starzec wiódł swoje życie samotnego cienia z wymagowaną rodziną. Wydawało się, że nie odwiedza go nikt oprócz pana Liebermanna, ale często siedział przy laptopie albo telefonie.

Co wieczór rozgrywaliśmy dwie partie szachów, nigdy więcej. Grałem już lepiej, ale często, gdy zastanawiałem się nad ruchem, napotykałem rozbawione spojrzenie Moszego, który łagodnie potrząsał głową. Słuchaliśmy muzyki i stwierdziłem, że ma imponującą kolekcję płyt CD.

W kolejną środę jak zwykle zasiedliśmy w gabinecie, sącząc wódkę i słuchając płyty, którą podarowała mi kobieta w sklepie muzycznym na Wawelu. *Passacaille* Szymona Laksa. Gdy muzyka ucichła, Mosze odwrócił się do mnie.

- Poznałem go, wiesz? W Paryżu. Niezwykły człowiek. Znasz jego książkę? *Melodie z innego świata*. Wyszła we Francji, ale wiele lat upłynęło, zanim w końcu ukazała się tu, w Polsce. Reżim komunistyczny uznał, że opisy obozowego życia są u Laksa za bardzo... pozytywne. Fakt, że pozwolono mu żyć, bo muzyka, którą potrafił tworzyć, jakoś ucłowieczała go w oczach Niemców. Rozmawiałem dzisiaj z Szymonem - ciągnął. - To znaczy z naszym Szymonem, oczywiście. Dostał list, a raczej mały pakiet listów. Od swojej przyjaciółki Klary. Klary Fried. Fried wysłała je Szymonowi, bo nie była pewna, czy je będziesz chciał. Chciała ci dać wolną rękę, jeśli nie zechcesz ich czytać. Ale Szymonowi powiedziała, że należą do ciebie.

Już chciałem odpowiedzieć, ale starzec powstrzymał mnie gestem.

- Prześpij się z tym - powiedział. - Czasami najlepiej jest nie wiedzieć. Czasem los przefiltrowuje informacje dla nas.

Wziął pilota i ponownie rozbrzmiała *Passacaille* Laksa.

- Ale kimże jestem, żeby udzielać rad? - dodał z lekkim uśmiechem, gdy muzyka umilkła. - Odtworzyłem własną przeszłość, ponieważ teraźniejszość okazała się zbyt trudna, żebym mógł z nią żyć. Prowadzę życie tchórza. Jeśli można to nazwać życiem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Ale ty przyjechałeś tu po to, żeby odkryć przeszłość, nieprawda? Prawdziwą przeszłość.

- Tak, chyba tak. Może dlatego, że podobnie jak ty żyłem w stworzonym przez siebie świecie. A przeciwnie niż ty nie mam na czym oprzeć swojej wersji przeszłości. Przez lata moją ucieczką była muzyka. Moja własna i innych. Muzyka, którą odtwarzałem, i ta, którą komponowałem, ostatecznie złożyła się na historię, której nigdy nie miałem. Przekonywałem sam siebie, że muzyka, którą najbardziej kocham, w jakiś tajemniczy sposób wiąże się z moją przeszłością. Potem jednak, gdy spotkałem Cecylię, wszystko się zmieniło. Tak jakbym się przebudził z trwającego całe życie snu. Wszystko wokół mnie nabrało nowego koloru, nowej konsystencji, nowego zapachu. Zabierałem ją na koncerty i każdy utwór brzmiał po nowemu.

Tej wiosny poszliśmy słuchać Shlomo Mintza, który grał Czajkowskiego. Muzyka brzmiała tak, jakby się jej słuchało po raz pierwszy. Przedtem za każdym razem szukałem wspomnień, związku z przeszłością, a teraz słuchałem z myślą o przyszłości. Zmiana perspektywy przyniosła nadzwyczajny skutek.

Patrzyłem na starca, zastanawiając się, co rozumie z mojego gadania, ale on tylko skinął głową, żebym kontynuował.

- Trwało to mniej niż rok. Od grudnia do sierpnia. Dziewięć miesięcy. Ale moje życie aż do tej grudniowej nocy, gdy spotkałem Cecylię, wyobrażam sobie jako cienką szarą kreskę, jaką zostawia ołówek. Potem eksplozja barw i smaków otworzyła jaskrawy, wszechogarniający, jasny świat. A potem, równie gwałtownie, znowu cienka smuga. Po tym wszystkim zachowałem wspomnienie światła. I Mimi, moją córkę Mimi. Musiałem skorygować swój punkt widzenia. Nie było już tak jak przed Cecylią. Trudno opisać pełną zamieszania podróż emocjonalną, jaką odbyłem w tym czasie, podróż, po której nastąpiła ta bolesna jesień i wczesna zima poprzedzające narodziny Mimi i nasz wyjazd ze Szwecji. Wyjechałem jak najdalej. Być może dlatego, iż się obawiałem, że inaczej nie zdołam dotrzymać swojej obietnicy. Musiałem odejść fizycznie jak najdalej. To był czysty przypadek, że akurat wtedy zaproponowano mi stanowisko w szkole muzycznej w Auckland. I to właśnie tam musiałem stanąć w obliczu śmierci, a równocześnie narodzin. Każde radosne uniesienie na myśl o córce niesło smutek z powodu utraty jej matki. Gdy tylko czułem ukłucie smutku, ogarniało mnie poczucie winy, ponieważ miałem wszelkie powody do szczęścia, mając córkę. Nie sposób było tego pogodzić.

26

Postanowiłem odwlec o tydzień swój wyjazd z Krakowa.

Napisałem do ciebie, wyjaśniając, że nieprzewidziany rozwój zdarzeń spowodował odłożenie przyjazdu. Nie całkiem rozumiałem, dlaczego napisałem, zamiast zadzwonić. Może potrzebowałem trochę więcej czasu na zastanowienie się, jak wyjaśnić to, co się stało.

Gdy nazajutrz wieczorem przeszedłem przez podest na klatce schodowej i zadzwoniłem do drzwi Moszego, podjąłem decyzję w sprawie listów.

Ze względu na mnie nie zamykał drzwi na klucz i wszedłem, nie czekając, aż mi otworzy. Słyszałem muzykę dobiegającą z gabinetu, ale gdy zajrzałem do środka, Moszego nie było. Ponownie leciała moja płyta CD, *Passacaille*. Poszedłem dalej korytarzem i

zastałem go w salonie. Pokój, w którym wisiał portret, był pusty, a sam obraz stał na podłodze oparty o ścianę.

- Już pora - powiedział, nie odwracając się. - Powinna iść do swego domu. - Odwrócił się i zobaczyłem, że szybko ociera oczy, potem ściska palcami nasadę nosa. Odwróciłem spojrzenie.

- Załatwiłem, żeby jutro ją zabrano. Czy mógłbyś zanieść do gabinetu? - Starzec pochylił się z ogromnym wysiłkiem i z najwyższą troską podniósł obraz. Trzymał go trochę pochyło i chwilę nań patrzył, po czym wyciągnął go do mnie. Skinąłem głową, podszedłem i wziąłem go z jego rąk. Nie ważył prawie nic. Gdy weszliśmy do gabinetu, Mosze poprosił mnie, żebym zdjął dużą mapę w ramce wiszącą nad biurkiem i na jej miejscu umieścił obraz.

- A ja podjąłem decyzję w sprawie listów - powiedziałem. Teraz z kolei Mosze skinął głową.

Usiedliśmy na tych samych krzesłach, co zwykle.

- Mendelssohn? - spytał starzec. Uśmiechnąłem się i włączyłem muzykę.

Przez chwilę słuchaliśmy. Mosze nalał nam obu po kieliszku wódki. Łyknęliśmy.

- Wiedziałem, że zechcesz je mieć - powiedział spokojnie. - Po prostu pomyślałem, że powinieneś starannie to przemyśleć. Przygotować się. Tam są. - Pokazał na swoje biurko, a ja wstałem i podszedłem. Na wypolerowanym blacie leżał niewielki stosik przewiązanych błękitną wstążką listów. Stałem i patrzyłem na nie.

- No, śmiało - rzucił Mosze. - Mój gabinet jest do twojej dyspozycji, ale może chcesz je przeczytać w drugim mieszkaniu.

Wahałem się.

- Pójdę przygotować kolację. - Nie czekając na odpowiedź, podniósł się z fotela i odwrócił, żeby odejść. Wciąż nie mogłem zmusić się do tego, żeby dotknąć listów. Spojrzałem na obraz. Potem od drzwi usłyszałem głos starca:

- Dlaczego nie siądziesz wygodnie w moim fotelu? - Podszedł do odtwarzacza CD i wsunął kolejną płytę, nacisnął pilota i zostawił mnie samego. To był utwór na fortepian i skrzypce, ale nie rozpoznałem go.

Wziąłem listy i usiadłem w miękkim skórzanym fotelu. Poczulem się pusty, pozbawiony uczucia, jakbym unosił się ponad i poza wszystkim, co mnie otaczało. Moje ręce były sztywne i niezdarne, gdy powoli odwiązywałem wstążkę. List na wierzchu był zapieczętowany i zaadresowany, ale nie miał znaczka. Przekartkowałem stosik i zauważyłem, że żaden nie ma. Tych listów nigdy nie nadano. Tylko je napisano. Wszystkie zaadresowane do Adama Lipskiego, na adres, który wyglądał na nazwę instytucji, może szkoły, w Wilnie.

Odłożyłem listy, wstałem i podszedłem do biurka, szukając noża. Niewłaściwe wydało mi się rozrywanie kopert palcami.

Nóż do papieru znalazłem na biurku Moszega pośród piór. Ostrożnie przesunąłem ostrzem wzdłuż krawędzi koperty. Otworzyłem ją. Ale zamiast wyjąć list, odłożyłem otwartą kopertę z powrotem na stos, który umieściłem obok na stoliku. Wyszedłem do kuchni i stanąłem w drzwiach, obserwując Moszega. Po chwili poczuł mój wzrok i odwrócił się.

- Chyba pójde do drugiego mieszkania, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziałem.

Uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową.

- Czy znasz treść tych listów? - spytałem.

- Jakim sposobem? - odparł. - Nikt ich nigdy nie otwierał.

- Ale masz jakieś wyobrażenie? - nalegałem.

Przekrzywił głowę i spojrzał na mnie.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedział. - Są teraz twoje. Idź i czytaj.

Gdy przechodziłem przez korytarz, zawołał za mną:

- W razie potrzeby będę tu.

Zabrałem listy z gabinetu i wyszedłem.

Drugie mieszkanie było pogrążone w ciemności. Wkroczyłem do małego salonu i usiadłem na fotelu przy oknie. Nie było całkiem ciemno, był widny, wiosenny wieczór. Mimo to nie było dość jasno, by czytać, więc włączyłem lampę. W środku panowała cisza, ale przez uchylone okno słyszałem śpiew kosa.

Wyjąłem pierwszy list i zacząłem czytać.

27

Datowano go w kwietniu 1940 roku. Pismo eleganckie i delikatne, jakby młodzieńcze.

Kraków

Kwiecień 1940

Mój Najdroższy,

Do domu dojechałam bezpiecznie. Bezpiecznie. Bezpieczna. To słowa, które straciły wszelki sens. Nie ma dla nas bezpieczeństwa, a nasz dom nie jest już

domem.

Mosze odprowadził mnie do granicy. Noc spędziliśmy w bezpiecznej kryjówce. Znowu to słowo. Prawda jest taka, że nikt już nie czuje się bezpieczny. I chyba nikt już nie sypia. Zupełnie jakbyśmy wykonywali znane rutynowe czynności, które jednak utraciły swój pierwotny cel. W nocy kładziemy się, zamykamy oczy, naciągamy na siebie koce. Nie śpimy jednak w ciszy. Wsluchujemy się i wpatrujemy w zbitą ciemność. W ciszy stajemy się bardziej czujni, trzeźwi. Dźwięki, które kiedyś dodawały otuchy, nabrały złowrogiego znaczenia. Stukot obcasów na płytach chodnikowych, który sygnalizował kiedyś nadejście ukochanego, teraz zapowiada zbliżające się niebezpieczeństwo, dudniące w napiętych bębenkach uszu. Drzwi otwierające się nocą wpuszczają do środka nie kochanka, tylko zło. Skrzypiące zawiasy wywołują napięcie mięśni, jakby przygotowując nas do ucieczki. Nawet rano głosy ptaków wzbijających się w czyste powietrze, trzepot skrzydeł, przenikliwe piski - nie są już dźwiękiem wstającego nowego dnia; to dźwięk desperacji, przerażenia. I bezpiecznie nie jest nigdzie.

Ale tutaj mam moją Wandę, która się o mnie troszczy. Wiesz, jaka jest bystra, jaka silna. Ojciec nie wrócił ze swojej ostatniej podróży zagranicznej i matka się martwi. Często przez cały dzień siedzi w swoim pokoju. Wanda przynosi posiłki i siedzi przy jej łóżku, ale nawet ona nie może zmusić matki do jedzenia. Nie ma muzyki. Już nie gramy. Prawie nie rozmawiamy. Tak jakbyśmy stąpały na czubkach palców, ostrożnie, żeby nie zakłócać panującego tutaj kruchego spokoju. Czasami siadam przy fortepianie. I puszczam palce po klawiaturze, przypominając sobie, jak kiedyś razem graliśmy. Ale tutaj nie ma komu nastroić fortepianu, a ja nie mogę znaleźć włosia do smyczka. Nasza droga Sofia wyjechała i kurz osiada na jej fortepianie i wszędzie. Chodzę po mieszkaniu i wiem, że powinnam być wdzięczna. Wdzięczna za to, że tu jestem. Za to, że żyję, że jestem z moją kochaną matką i z Wandą, tutaj, w naszym domu. Ale widzę tylko to, czego tutaj już nie ma. Ojca. Moszego. Ale najbardziej widzę, kochanie moje, Ciebie.

Już nie spacerujemy po parku i nie przyjmujemy gości. Wanda mówi, że Twoi rodzice wyjeżdżają i Klara pójdzie ich śladem. Mam taką nadzieję. Mam nadzieję, że będą bezpieczni.

Wanda mówi, że wie, jak dostarczyć Ci ten list, i ufam jej. Najdroższy, już

widzę Twoje ręce, jak rozkładasz tę kartkę. Twoje piękne, przepiękne ręce. I tęsknię za tym, żeby ponownie je trzymać, ogrzewać je oddechem.

Twoja Marta

Były jeszcze dwa inne podobne listy, oba datowane w maju. A potem jeden z czerwca:

Kraków

Czerwiec 1940

Mój Najdroższy,

Jest lato. Wyglądam przez okno i widzę, jak z kasztanowców opadają kwiaty. Płatki unoszą się na wietrze i przypominają śnieg. Aż dziwne, że takie rzeczy wciąż się dzieją. Takie letnie, rozkoszne, zwykłe rzeczy. Że w ogóle jest lato.

W tych dniach nie wychodzę. Wanda wyrusza rano i czasami wraca dopiero po zmierzchu. Nie pytam, gdzie była ani co robiła, a ona nigdy nie śpieszy z informacją. Po prostu w milczeniu wieszka płaszcz w przedpokoju i siada na sofie przy kominku, gdzie zdejmuje buty i rozciera stopy, trąc jedną o drugą. Schudła. Pierwszego dnia, gdy zauważyłam, że ma na sobie jedną z moich sukienek, zrobiło mi się przyjemnie. Tak, jakby Wanda zarabiała na nas wszystkich. Często wcale nie zawracam sobie głowy ubieraniem się, tylko błąkam się w szlafroku po zmartwiałym mieszkaniu, w którym już nic nie jest żywe. Nie czuję się dobrze, i nie mogę utrzymać tego, co zjem.

Matka nie opuszcza łóżka, a nie możemy tu sprowadzić doktora Katza. W rzeczywistości w ogóle nie możemy sprowadzić lekarza. Wanda dogląda matki, ale myślę, że już nic nie można dla niej zrobić. Myślę, że matka modli się o swoją śmierć. Kochanie moje, narzekam, kiedy tak naprawdę powinnam być wdzięczna!

W ostatnią sobotę były moje urodziny, skończyłam dwadzieścia jeden lat i wiesz, co moja kochana Wanda dla mnie przygotowała? Ciasto! Wytrzasnęła cztery świeże jaja, białą mąkę i cukier. Nawet śmietankę! Próbowwała zrobić napoleonki. Kucharką jest okropną, ale próbowała. Po prostu, żeby mi sprawić radość. Usiadłyśmy w salonie i zapaliłyśmy świecę, i tak bardzo próbowałam pokazać, jak jestem jej wdzięczna, ale łzy napłynęły mi do oczu i wszystko uwięzło

w gardle. Wanda też odsunęła talerz i skinęła na mnie, żebym usiadła obok niej na sofie. Położyłam się, kładąc głowę na jej kolanach. Ani drgnęła, chociaż łzami zmoczyłam jej sukienkę. Po prostu pogłaskała mnie po włosach i powiedziała: „Cicho, cicho, Martusiu, nie płacz. Wszystko będzie dobrze”.

Ale nie będzie, prawda? Nic już nie będzie dobrze.

W nocy leżę w łóżku i czasami widzę siebie z góry. Widzę cały pokój: łóżko, małą szafkę nocną i mały dywanik, kupiony dla mnie przez ojca we Włoszech, gdy skończyłam dwanaście lat. Pamiętasz wzór? Piękny jeleń naturalnej wielkości i delikatne kwiaty?

Wiem, niemądra jestem. Jak mogłeś zapamiętać? Powinnam pomyśleć, że wchodząc do mojego pokoju, zauważyłeś mnie, a nie jakiś stary chodnik! Ale leżę w łóżku z zamkniętymi oczami i widzę go przeraźliwie wyraźnie, bo wiem, że niebawem go utracę. Przy oknie stojak na nuty, na biurku sterta nut. Ten pokój, ten dom i miasto już mnie nie dotyczą. Ciało pod czerwonym kocem nie należy już do mnie. Ale czuję, że jestem bliżej Ciebie niż za dnia. I że tylko to jest ważne.

*Bądź bezpieczny, kochanie moje,
Marta*

I jeszcze przedostatni list:

*Kraków
Lipiec 1940*

Mój Najdroższy,

Jest bardzo gorąco. I nie dochodzi żaden dźwięk. Wstrzymujemy oddech. Okno mam otwarte, ale żadnego wytchnienia od upału. Panuje okropny bezruch. Wydaje się, że nie ma ptaków, ludzi. Czasem, gdy Wandy nie ma, a matka śpi, czuję się tak, jakby poza mną nikogo tutaj nie było. Tutaj w Krakowie i na świecie.

Wcale by mi to nie przeszkadzało, gdybym tylko mogła czuć Twoją obecność. Ale Ciebie już tu nie ma, tutaj na świecie. Wiem to z okropną pewnością.

Kiedyś, gdy się zbierałam, żeby do Ciebie napisać, byłam smutna, ale równocześnie też czułam się najszczęśliwsza, gdy pióro biegło po papierze. Słowa

pływały łatwo i przez cały czas czułam, że dotrą do Ciebie. Że nas połączą. Z uczuciem szczęśliwego smutku myślałam, wyobrażałam sobie, jak trzymasz tę kartkę i czytasz moje słowa. Teraz niczego nie czuję. Nie widzę już Twoich rąk dotykających tej kartki i słowa już nie płyną. Nieznośnie trudno je znaleźć. I czuję się tak, jakbym pisała je w próżnię.

Ale to jest ostatni list i muszę go napisać.

Jestem w ciąży, Adamie. Rośnie we mnie nasze dziecko. Gdy Wanda mi to powiedziała, nie mogłam uwierzyć. Po tygodniu jednak zaakceptowałam to. Ale to nie radość mnie przepelnia. Nie, to strach. Kocham nasze nienarodzone dziecko. Kocham jego nieznanne rysy. We śnie słyszę jego głos. Ale jest to miłość, jaką się czuje do utraconej osoby. Zabarwia ją taki smutek, że jej odczuwanie jest torturą, jestem pełna złych przeczuc i czuję się taka samotna.

Tak nie powinno być. Tutaj nic nie powinno się rodzić. Nie tutaj, nie teraz.

Wanda każe mi zmuszać się do jedzenia i mówi, że gdy jest pogoda, muszę siedzieć przy oknie twarzą do słońca. Kupuje dla mnie jedzenie, a ja wiem, że powinnam być wdzięczna. Ale odrzuca mnie od jedzenia, a ostre słońce razi mnie w oczy. Tęsknię za cieniem w pokoju.

Matka jest bardzo słaba i myślę, że niebawem ją utracimy. Gdy do niej mówię, nawet nie otwiera oczu i nie jestem pewna, czy mnie słyszy. Siadam przy jej łóżku i patrzę na jej twarz, na której nie ma już życia. To maska, i moja matka ma je już chyba za sobą. Chyba już umarła. Żałuję, że nie mogę iść za nią.

Już brak mi słów.

Jeśli dziecko będzie żyć, dam mu na imię Adam. Jestem pewna, że to chłopiec. Nadam mu Twoje imię, ponieważ wiem, że mogę, teraz. Wiem, że już nie jesteś ze mną.

Marta

Był jeszcze jeden list, ale pismo inne, pewniejsze, z ostrymi ogonkami i laseczkami.

Kraków

Styczeń 1941

Drogi Adamie,

Nie wiem, czy ten list kiedykolwiek dotrze do Ciebie, ale uznałam za swój

obowiązek spróbować po raz ostatni skontaktować się z Tobą.

Masz syna. Daliśmy mu na imię Adam. Próbowałam przekonać moją siostrę, że to niestosowne, ale nalegała. I rzeczywiście było tak, jakby wszystkie swoje siły skoncentrowała na tym właśnie aspekcie jego narodzin. Całkowicie ją to wyczerpało, a i przedtem nie była za silna. Jest bardzo słaba i obawiam się o jej życie.

Kiedy ten list dotrze do Ciebie, jeśli dotrze, wyjadę już z Polski, a Twój syn ze mną. Wykorzystałam kontakty mojego ojca i jestem pewna, że będziemy bezpieczni. Co do Marty, nie będę miała jak dowiadywać się o jej losie. Musiałam podjąć kilka praktycznych decyzji. Nie da się uratować nas wszystkich. Życie rzuca nam wyzwania, a my z odwagą i pragmatyzmem musimy im sprostać. Musimy zdobywać się na poświęcenia, a potem bez żalu akceptować wynik. Moje osobiste poświęcenia były znaczne, ale konieczne dla ratowania życia mojego i dziecka mojej siostry. Twojego dziecka.

Jeśli kiedyś będziesz mógł skontaktować się z nami, napisz, proszę, do prawnika mojego ojca w Wiedniu. Załączam adres. Mów o mnie jako pani Anker, a o dziecku jako Adamie Ankerze.

W przeciwieństwie do mojej siostry nie jestem osobą mającą skłonności do nierealnych marzeń i nadziei. Żyję teraźniejszością.

Jednakże - [nieczytelne, słowa wykreślone] każdy ma marzenia. Chodzi właśnie o to, że niektórzy sobie folgują i pozwalają, by marzenia zajęły miejsce rzeczywistości. Inni muszą być realistami. W imię nas wszystkich.

Czule

Wanda Anker, z domu Majaska

Po omacku wyciągnąłem rękę i zgasilem światło. Siedziałem w półmroku salonu z listami na kolanach. Za oknem wciąż śpiewał kos.

Marta. Piękna, bezbronna Marta.

Moja matka.

Matka. Miałem wrażenie, że w mgnieniach widywałem ją przez całe życie. Ulotny obraz czegoś, kogoś. Krucha kobieta o ciemnoszarych oczach. Moja matka.

Z trudem oddychałem.

Po chwili zebrałem koperty, wszedłem do sypialni i otworzyłem walizkę. Wyjąłem

teczkę z fotografiami, potem usiadłem na łóżku i wertowałem je, aż znalazłem dwa zdjęcia Marty. To, na którym stała obok Adama, włosy rozwiane wokół twarzy, a wzrok utkwiony w coś poza kadrem. I to, gdzie stoi z długimi, przewieszonymi przez pierś warkoczami, stopy złączone razem, poważna. Dziewczęce przymrużone ciemne oczy wpatrzone we mnie jak poprzednio, które tym razem jednak przemawiają. I mówią, że mnie kocha. Że to ona była moją matką.

Nagle zrozumiałem, co Wanda zobaczyła, gdy wysiadła z pociągu w Wiedniu. Nie mnie i Magdę, tylko mężczyznę, którego kocha, i kobietę, którą on kocha. Adama i Martę. Moich rodziców.

Leżałem na łóżku, trzymając kurczowo zdjęcia. Wciskając twarz w poduszkę, na próżno usiłowałem uciszyć łkania. Ale było to tak, jakby nagromadzony przez całe życie żal w końcu znalazł sobie ujście. Krzyczałem, płakałem, aż smutek stał się znośny. Potem leżałem, wpatrując się w pustkę.

Aż w końcu zapadłem w głuchy sen.

28

Pukanie do drzwi. Obudziłem się zdezorientowany. Leżałem wciąż w ubraniu i czułem się wyczerpany, pomimo całonocnego nieprzerwanego snu. Było dziesięć po ósmej. Wstałem i otworzyłem.

- Przegapiłeś kolację, więc przygotowałem odpowiednie śniadanie - powiedział Mosze. - Przyjdź, kiedy będziesz gotowy. - Odwrócił się i poszedł z powrotem do swojego mieszkania.

Stół w salonie nakrył dla dwóch osób. Były jajka na twardo, pomidory w plasterkach i ogórek. Tuńczyk w majonezie, pikle. Dwa rodzaje świeżego pieczywa. Ser. Dżem i masło. Miseczka owoców. Mosze wszedł z czajnikiem, pytając, czy wolę kawę, czy herbatę.

- Przygotowałem jedno i drugie, tak dla pewności - powiedział i uśmiechnął się.

Usiedliśmy naprzeciw siebie. Patrzyłem badawczo na starca i próbowałem sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać jako młody człowiek, bezpiecznie eskortujący moją matkę z Wilna tego zimnego kwietniowego wieczoru. Beznadziejnie w niej zakochany.

- Czy masz w ogóle jakieś zdjęcia sprzed wojny? - spytałem. Potrząsnął głową.

Z kieszeni na piersi wyjąłem dwa zdjęcia Marty. Powoli odłożył serwetkę i wziął je. Przez dłuższy czas bez słowa uważnie oglądał obie fotografie.

- Ona... - zaczął, ale przerwał. Położył zdjęcia na stole, wyjął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos.

- Zrobię ci odbitki - obiecałem.

- Wiesz, ten młody człowiek tam - powiedział - to ja.

Wziąłem z powrotem grupowe zdjęcie i przyjrzałem mu się bliżej. Młodym człowiekiem, który siedział po lewej, przed Martą, uśmiechając się do kamery, to był siedzący teraz przede mną starzec. Łatwo było dostrzec podobieństwo. Oczy - te wielkie, lekko wypukłe, inteligentne oczy.

- Wszyscy należeliśmy do klubu kolarskiego, z wyjątkiem Adama. Nie wiem, jak to się stało, że tamtego dnia się tam znalazł - powiedział Mosze ze wzrokiem wbitym w zdjęcie.

- To był taki przyjemny dzień. Wszystko jeszcze wydawało się możliwe. Rok później już nic.

- Położył zdjęcie na stole.

- Zrobię ci odbitki - powtórzyłem. Ale Mosze potrząsnął głową.

- Nie, nie są mi potrzebne. Dziękuję; wszystko jest tutaj. - Wskazał na czoło. - Przez lata zgromadziłem tu mój własny album fotograficzny i wszystkie zdjęcia są wyłącznie moje. To wszystko, czego mi trzeba.

Usiedliśmy w milczeniu. Obrąłem jajko, Mosze nalał mi kawy, a sobie herbaty.

- Dlaczego ona to zrobiła? - spytałem.

- Kto? Marta? - odpowiedział.

Potrząsnąłem głową.

- Nie, Wanda.

- Ach, Adamie, tego nigdy się nie dowiemy, prawda? Kochała go, oczywiście. Była zakochana w Adamie. Ale co ją skłoniło do tego, żeby ciebie zabrać? I zostawić Martę? Może poczucie odpowiedzialności? Rodzinna lojalność? Miłość? Zazdrość? Nigdy się nie dowiemy. Czasami nasze decyzje mają więcej niż jeden powód. Powody często bywają złożone i sprzeczne. I często nie uświadamiamy ich sobie.

- Wiedziałeś? - spytałem. - Czy wiedziałeś, co się stało?

Starzec spojrzał na mnie, zwijając serwetkę w palcach.

- Będąc w Londynie, próbowałem za wszelką cenę się dowiedzieć, czy moi rodzice jeszcze żyją. Gdzie są. I co się stało z Martą. Niebawem odkryłem, że moich rodziców zabrano do Auschwitz i w końcu powiedziano mi, że mój ojciec nie żyje. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że matka także zginęła. Nie miałem jednak żadnej wiarygodnej informacji o tym, co się stało z Martą. Wiele lat później w Nowym Jorku spotkałem doktora Katza. Co sobotę zacząłem grywać w szachy z pensjonariuszami domu starców. Początek był taki, że

wylądował tam pewien mój przyjaciel w podeszłym wieku. Po jego śmierci grałem dalej. Któregoś dnia przedstawiono mnie nowemu pensjonariuszowi. Powiedział, że nazywa się Josef Katz - doktor Katz - i szybko ustaliliśmy, że obaj jesteśmy z Krakowa. I, podobnie jak ty, zaczęliśmy się doszukiwać powiązań. Trwało to długo, nim dotarliśmy do rodziny Majskich. Wtedy opowiedział mi o wszystkim.

Obaj zajęliśmy się chlebem i masłem. Mosze dołał kawy i herbaty.

- Zaraz po napaści Niemiec doktor Katz został pozbawiony prawa do wykonywania zawodu lekarza i przeprowadził się do rodziców, którzy tuż pod Krakowem mieli mały sad. Któregoś dnia późnym wieczorem w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku otrzymał wiadomość od jednej ze swoich dawnych pacjentek, panny Majskiej, że ta rozpaczliwie potrzebuje jego pomocy. Była gotowa wynagrodzić go naprawdę bardzo szczerze, gdyby zgodził się przyjechać do jej domu. Zgodnie z zapowiedzią samochód czekał na ulicy. Powrót do miasta, jeśli w ogóle możliwy, wiązał się z poważnym osobistym ryzykiem, ale w liście było zapewnienie, że wszelkie tego rodzaju ryzyko wyeliminowano. Dlatego zdecydował się jechać.

Poczułem mrowienie w palcach, a w ustach mi zaschło. Pociągnąłem kolejny łyk kawy.

- Powiedział mi, że tej czarnej styczniowej nocy w mieszkaniu Majskich na Bernardyńskiej pomógł przy narodzinach zdrowego chłopca.

Starzec spojrział na mnie.

- Dzieciak był w dobrym stanie, ale matka bardzo słaba. Doktor Katz wyjechał od nich nad ranem. W korytarzu rozmawiał z inną kobietą. Wandą Majską. Powiedział jej, że siostra wymaga opieki. Normalnie, mówił, załatwiłby jej szpital. Ale w tej sytuacji mógł ją jedynie zostawić pod opieką siostry. Wanda powiedziała mu, że boi się, że siostra nie pożyje długo, że nie ma woli życia. I poprosiła, żeby wydał dokument stwierdzający, że to ona jest matką dziecka. Zapewniła go, że bierze pełną odpowiedzialność za chłopca i że będzie mieć o wiele większe szanse na uratowanie mu życia, mogąc przedstawić go jako własne dziecko.

Mosze wypił łyk herbaty.

- Musisz pamiętać, że to były straszne czasy. Życie wydawało się mieć niewielką wartość, ale widziane z innej perspektywy było bezcenne. Doktor Katz chyba to wyczuwał. Pewnie myślał, że dziecko, które dopiero co odebrał, może nazajutrz zginąć; z drugiej strony pewnie przepełniały go wszystkie uczucia, które towarzyszą - czy powinny towarzyszyć - narodzinom. Poczucie, że się jest świadkiem cudu, początku nowego życia. Powiedział mi, że nie wahał się długo i zrobił to, o co go prosiła Wanda. Jego nagrodą za nocną pracę był

bezpieczny wyjazd z Polski. Wyjechał w następnym tygodniu i udało mu się uratować siebie i swoich rodziców. Wanda Majaska miała niezwykle możliwości, powiedział. Znajomości.

- Czy kiedykolwiek dowiedziałeś się, co się stało z Martą? - spytałem.

Starzec przyknuł oczy, jakby szukając chwili prywatności, zanim odpowie na pytanie. W końcu skinął głową.

- Tak, dowiedziałem się. Tak.

Spojrzał na mnie niemal błagalnie. Jakby to, co miał mi przekazać, było za trudne do wypowiedzenia. Ale potem przemówił.

- Marta nigdy nie opuściła mieszkania. W marcu miasto zostało „oczyszczone” z nielicznych pozostałych żydowskich mieszkańców. Wanda, mimo że mogła zapewnić sobie i bliskim protekcję, zniknęła razem z dzieckiem. Kiedy wyjechała do Niemiec? Tak naprawdę nigdy się nie dowiemy, jak to się stało. Może bez żadnego dramatyzmu. A może zabrała dziecko na spacer, wróciła i stwierdziła, że w domu jest kocioł. Nie wiadomo. Ale kiedy Niemcy wtargnęli do mieszkania, znaleźli panią Majaską martwą w łóżku. Marta nie chciała opuścić jej sypialni i zastrzelili ją.

Starzec wstał powoli i niezdarnie, i podszedł do okna, gdzie przystanął odwrócony do mnie plecami.

- W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Wanda wyszła za mąż za współnika swojego ojca, Karla Anкера. Był bardzo wpływowym niemieckim biznesmenem, znacznie starszym od Wandy, bliższym wiekiem jej ojcu. Przed laty oświadczał się Wandzie, ale jak wiesz, ona kochała kogoś innego. Podobnie jak moja, jej miłość była nieodwzajemniona. I Karl Anker stał się jej biletem pozwalającym na wyjazd z Polski. Biletem do przeżycia. Dokonała wyboru. Czy mamy prawo ją osądzać?

Nagle poczułem się źle. Do gardła napłynęła mi żółć. Wstałem i pośpiesznie wybiegłem do łazienki, gdzie pochyliłem się nad toaletą, wymiotując, a łzy napłynęły mi do oczu.

Po chwili spryskałem twarz zimną wodą i wróciłem do salonu. Mosze wciąż stał przy oknie. Dołączyłem do niego i wraz z nim wyglądałem przez dość brudną szybę. Patrzyliśmy na żydowski cmentarz, gdzie pomiędzy nagrobkami dostrześliśmy ślady pozostawione przez turystów na jaskrawozielonej wiosennej trawie i wysokie zielska rosnące wzdłuż muru.

- Dlaczego nigdy ze mną nie porozmawiała? - spytałem.

- Tego także oczywiście nie sposób się dowiedzieć. Nigdy się nie dowiemy. Ale musimy wierzyć, że miała uzasadnione powody. Że zrobiła, co mogła. To, co uznała za najlepsze. Musisz w to wierzyć.

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na mnie badawczo. Potem wyciągnął ręce i przytrzymał mnie za ramiona.

- Teraz wiesz. I musisz z tym żyć. Musisz dostosować swoje życie, żeby przyjąć prawdę. A ja myślę, że tym, co najważniejsze, tym, co jedynie ważne, jest to, że teraz wiesz, że tyle było w tym miłości. Że Marta była otoczona miłością. I że miłość otaczała ciebie. Pamiętaj o tym zawsze, Adamie.

29

Nazajutrz znów obudziło mnie ciche pukanie Moszego.

- Śniadanie gotowe - powiedział.

Kiedy chwilę później dołączyłem do niego, wręczył mi dużą kopertę.

- Myślę, że ty, podobnie jak portret, jesteś gotowy do przeprowadzki do swojego prawdziwego domu - powiedział i spojrzał na mnie z cieniem uśmiechu. - Czasami w życiu zdarzają się nadzwyczajne zbiegi okoliczności. Któregoś dnia usłyszałem o mieszkaniu na sprzedaż. - Skinieniem głowy wskazał kopertę. - Posprawdzałem i myślę, że moglibyśmy wynegocjować bardzo rozsądną cenę. To znaczy, jeśli jesteś zainteresowany.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem jakieś dokumenty. Wszystkie były po polsku - opis mieszkania, także plan i parę zdjęć. Jedno ukazywało niezwykle widok na Wisłę.

- Czy wiesz, czyje to mieszkanie? - zapytał, przekrzywiając głowę, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Gdy nie odpowiedziałem, ciągnął dalej: - To mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy na rogu Bernardyńskiej i Smoczej. Dawne mieszkanie Majskich.

Byłem oszołomiony.

- Jeśli nie jesteś zainteresowany, to absolutnie nie ma sprawy - powiedział Mosze. - Ale gdybyś chciałby je obejrzeć, z radością to załatwię.

Odpowiedziałem uśmiechem i skinąłem głową.

- Chciałbym - powiedziałem. - W moim domu w Nowej Zelandii mieszkam od prawie piętnastu lat. Ale kiedy... kiedy Mimi umarła, uprzytomniłem sobie, że ten dom bardzo niewiele dla mnie znaczy. Przynajmniej tak to teraz czuję. Moje odczucia mogą się oczywiście zmienić. I proszę - mogę wrócić. Wrócę. To niezwykle miejsce. Gdybym je opisał, pomyślałbyś, że jestem szalony, rozważając rezygnację z niego. Ale teraz nic nie wiąże mnie z tamtym miejscem. Myślę, że chcę wrócić do domu. A więc tak, bardzo chciałbym pójść i obejrzeć.

- W takim razie postanowione. Dzwonię do agentki.

Mosze zamówił taksówkę, żeby zabrała nas pod podany adres. Dzień był słoneczny i cieplejszy niż poprzedni. Był to dzień, gdy bladozielone pąki na drzewach jakby wreszcie uznały, że czas się otworzyć. Cud, tak samo niezwykły co roku. Staliśmy na chodniku i patrzyliśmy na fasadę. Była to elegancka czteropiętrowa kamienica z wieżyczką na rogu. Trochę zniszczona, ale z resztkami świetności. W każdym narożnym pokoju wykuszowe okno, z wyjątkiem pokoju na ścianie szczytowej, w którym z kolei był balkonik wychodzący na rzekę.

- Tam właśnie pożegnałem Martę owego bardzo nietypowego kwietniowego dnia. Tak zimnego i tak niewiele obiecującego. - Starzec z wysiłkiem uniósł głowę, żeby spojrzeć w niebo. - A dzisiaj tak pełnego obietnic - powiedział.

Podaliśmy mu ramię i weszliśmy do środka.

W końcu dotarliśmy do podestu na czwartym piętrze. Agentka nieruchomości stała przy otwartych drzwiach. Gestem zaprosiła nas, byśmy weszli do pustego mieszkania. Parkiet głośno skrzypiał, gdy przechodziliśmy przez pokoje. Towarzysząca nam kobieta w średnim wieku dobrze mówiła po angielsku.

- Naturalnie może pan zażyczyć sobie remontu. Łazienka i kuchnia wymagają renowacji - oznajmiła. - Ale muszę podkreślić, że to niepowtarzalna okazja. Nieczęsto tego rodzaju nieruchomości pojawiają się na rynku. Na szczęście zna pan pana Śpiewaka - powiedziała, pokazując w szerokim uśmiechu rzucające się w oczy dwa złote zęby. - Pan Śpiewak jest dobrym przyjacielem. Kiedy okazał zainteresowanie, chciałam, żeby najpierw on rzucił okiem. - Zwróciła się do Moszego i powiedziała coś po polsku, po czym znów uśmiechnęła się do mnie, mówiąc, że mogę sobie bez pośpiechu zwiedzić pokoje.

Z holu wchodziło się do dużego salonu, z niego z kolei do jadalni. Korytarz prowadził do trzech sypialni i przestronnego gabinetu. Gdy przystanęłam w progu, zaglądając do najmniejszej sypialni, Mosze delikatnie dotknął mojego ramienia.

- To pokój Marty. Myślę, że właśnie tu się urodziłeś - powiedział.

Usiłowałam przeanalizować swoje uczucia, ale na próżno. Czułam się tak, jakbym przestał mieć styczność z podłogą. Odplynałam z teraźniejszości i dryfowałam w stronę przeszłości. Wszedłem do środka i zbliżając się do okna, sunałem ręką po ścianie. Wyrząłem przez okno. Pokój wychodził na Wawel, na lewo mignęła mi rzeka. Gdy odwróciłem się plecami do okna i przebiegłem spojrzeniem po gołej podłodze, wydało mi się, że na parkiecie pod ścianą dostrzegam ślady pozostawione przez jakiś ciężki mebel. Może fortepian. Próbowałam wyobrazić sobie pokój umeblowany, na podobieństwo mieszkania, które

stworzył Mosze i w którym się zatrzymałem. Łóżko z baldachimem. Włoski dywanik z myśliwskim motywem. Na ścianach obrazy. Muzyka. Książki. Głosy. Kroki po podłodze. Zapachy jedzenia, perfum, kwiatów. Życie. I młoda kobieta, która zajmowała ten pokój. Moja matka. Tu mnie urodziła. I tu umarła. Trąc usta i gładząc podbródek, głęboko wciągnąłem nieruchome, suche powietrze. Parę razy przeszedłem pokój wszerz i wzdłuż, zanim ponownie zatrzymałem się przy oknie.

Wtedy poczułem na ramieniu lekkie klepięcie ręki Moszego. I powoli ruszyłem za nim do salonu, gdzie czekała na nas agentka.

- Jak pan widzi, mieszkanie w pewnym okresie było podzielone na dwie części, ale teraz idzie do sprzedaży jako całość. Naprawdę myślę, że to wyjątkowa okazja.

Uścisnęliśmy sobie ręce i umówiliśmy się na kontakt nazajutrz. Poprosiłem, żeby wezwała nam taksówkę.

Na ulicy staliśmy obok siebie, czekając na samochód. Nagle odwróciliśmy się jednocześnie. Spontanicznie uściskałem starca.

- Dziękuję ci - szepnąłem mu nad ramieniem.

Nic nie odpowiedział. Puściłem go. Odwrócił się, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

- Chyba wybiorę się na spacer - powiedziałem. - Muszę pomyśleć.

Mosze wciąż się nie odzywał, tylko kiwnął głową, zajęty składaniem chusteczki. Gdy samochód podjechał, pomogłem mu wsiąść.

Przeszedłem przez ulicę i pokrytym trawą zboczem ruszyłem pod górę na Wawel. Muzyczny sklepik był czynny. Wszedłem do środka. W środku była ta sama kobieta. Uśmiechnęła się, rozpoznawszy mnie.

- Dziękuję, że poleciła mi pani swoją płytę - powiedziałem, wyciągając ją z kieszeni. - Sprawiała mi mnóstwo przyjemności. - Wciąż się uśmiechała, ale bez słowa.

- Chciałbym pani to podarować - powiedziałem i wyciągnąłem drugą płytę. Wzięła ją i obejrzała. Była to pozbawiona etykiety płyta CD w białej papierowej kopercie.

- To kawałek, który sam skomponowałem - powiedziałem wskazując na siebie. - Napisałem to w zeszłym roku. Dla córki. Proszę to przyjąć w prezencie.

- *You?* - spytała, unosząc brwi. Kiwnąłem głową, a ona wyciągnęła płytę z obwoluty. Odwróciła się i włożyła ją do stojącego za nią odtwarzacza. Kiedy rozbrzmiała muzyka, zapadłem się w fotel obok lady. Słuchałem tego po raz pierwszy, odkąd zostało nagrane tuż przed moim wyjazdem z Nowej Zelandii. Nigdy nie słyszałem tej muzyki poza swoim studiem. Sam jej nie puszczałem - jeden ze zdolnych absolwentów szkoły muzycznej grał na

skrzypcach, a na fortepianie mój rosyjski przyjaciel. Teraz czułem się dziwnie, jakby muzyka przeniosła się do własnej przestrzeni i zaczęła żyć własnym życiem. Przymknąłem oczy. Oczekiwałem łez, ale zamiast tego ogarnęło mnie uczucie spokoju. Muzyka płynęła, a moje mięśnie jakby się rozluźniały i czułem, jak wypogadza mi się twarz.

Pierwsza część dobiegła końca i podniosłem wzrok.

Kobieta za ladą stała plecami do mnie. Głowę miała pochyloną, a twarz chyba ukryła w dłoniach. Zanim cokolwiek powiedziałem, drzwi się otworzyły i wszedł inny klient. Patrzyłem, jak kobieta prostuje się, odwraca, i uprzytomniłem sobie, że płakała.

- Dziękuję - powiedziała. Skinąłem powoli głową.

- Idę - rzuciłem. - Ale wrócę.

Spojrzała na mnie i nie byłem pewien, czy rozumie. Wtedy odwróciła się, wyjęła płytę z odtwarzacza i wsunęła ją z powrotem do okładki.

- *My?* - spytała z nieśmiałym uśmiechem, przykładając rękę do piersi. Pokazałem, że tak. Kobieta podniosła z podłogi swoją torebkę i włożyła do niej płytę. Potem wyciągnęła rękę przez ladę, a ja ją przytrzymałem.

- *Come back* - poprosiła.

Kiwnąłem głową i zanim zwróciła się do drugiego klienta, uśmiechnęliśmy się do siebie.

Wieczorem jak zwykle graliśmy w szachy z Moszem i panem Liebermannem.

- Myślę, że Adam wkrótce nas opuści - powiedział Mosze, gdy skończyliśmy posiłek. Spojrzałem na niego zaskoczony. Z pewnością nie sygnalizowałem mojego rychłego wyjazdu. Nawet o nim jeszcze nie pomyślałem. Mosze uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz, jeśli się myślę, Adamie - powiedział.

Powoli potrząsnąłem głową i odwzajemniłem uśmiech. Uświadomiłem sobie, że nadszedł czas wyruszyć do Sztokholmu.

- Oczywiście masz rację. Twoja zdolność czytania w moich myślach zaczyna mnie niepokoić - stwierdziłem z uśmiechem.

- Logika, tylko logika - odparł. - Podobnie jak szachy. Czysta logika. Tutaj skończyłeś swoje zadanie. Wreszcie masz dom. A w Szwecji masz do zrobienia ważne rzeczy. Musisz wyjechać. Ale wrócisz, prawda?

Skinąłem głową. I uświadomiłem sobie, jaką przyjemność sprawiła mi myśl o powrocie. O możliwości kupienia mieszkania. O moich dwóch przyjaciółach.

- Panowie, pora na poważną partię szachów. Pokażmy Szymonowi, jakie postępy zrobiłeś w grze - powiedział Mosze.

Rozegraliśmy nasze partie. I Mosze, jak zwykle, wygrał.

30

W następny poniedziałek poleciałem do Sztokholmu.

Gdy zbliżaliśmy się do lotniska Arlanda, ze swojego miejsca przy oknie obserwowałem ziemię w dole. Wciąż jednobarwny pejzaż, odcienie szarości. Na pograżonych w cieniu przestrzeniach widać było połacie śniegu, na jeziorach lód.

Gdy przechodziłem przez bramkę, Ben Kaplan już czekał. Uśmiechał się, szczerząc te swoje wystające zęby, i chociaż spotkałem go zaledwie dwa razy w życiu, jakoś wyglądał na starego przyjaciela. Na twarzy krzepiący uśmiech. Uparł się, że mnie podrzuci, i zaproponował, żebym zatrzymał się u niego.

- Odkąd żona odeszła, przestrzeni mam o wiele za dużo, a jestem zbyt leniwy albo zajęty, żeby rozejrzeć się za czymś innym. Mnóstwo przestrzeni, oczywiście, dla gości - powiedział, kiedy zadzwoniłem z Krakowa. Zastanawiałem się nad propozycją, ale w końcu postanowiłem się zatrzymać w małym hoteliku przy Slussen, niedaleko od jego mieszkania. Ale od propozycji podwiezienia nie miałem jak się wykręcić. I oto pojawił się.

- Nie zaplanowałem niczego na dzisiejszy wieczór - powiedział, gdy jechaliśmy na południe w stronę Sztokholmu. - Nie byłem pewien, czy będziesz wolał samotnie spędzić spokojny wieczór, czy będziesz mieć inne plany. Jeśli masz ochotę, zapraszam serdecznie na kieliszek wina. Poopowiadałbym ci, co myślę o tym nowym filmie. A ty może przedstawiłbyś mi swoje nowe projekty.

Wahałem się, próbując się rozeznac w swoich uczuciach. Czy swój pierwszy wieczór ponownie w Sztokholmie naprawdę chcę spędzić z tym człowiekiem? Przecież to nieznajomy. Ale słowa pojawiły się, zanim się zastanowiłem, jak odpowiedzieć.

- To brzmi bardzo zachęcająco. Chętnie.

Ben uśmiechnął się i skinął głową.

Wysadził mnie przy hotelu i dał wskazówki, jak dojść do jego mieszkania, pięć minut spacerkiem.

W pokoju rozpakowałem rzeczy, usiadłem na łóżku i chwyciłem za telefon.

Odebrałaś po drugim sygnale, tak, jakbyś się spodziewała telefonu. Nasza rozmowa była krótka i błaha, po prostu zwykła wymiana praktycznych informacji. Uzgodniliśmy, że przyjadę dwa dni później. Spytałem, czy chcesz, żebym coś przywiózł. I tyle. Przez chwilę

siedziałem dziwnie rozstrojony. Czy oczekiwałem, że będziesz rozmowniejsza? Czy miałem rozmawiać inaczej? Czy powinienem zadzwonić ponownie?

Wstałem i przed wyjściem z hotelu poszedłem wziąć szybki prysznic.

Później siedziałem w kuchni Bena Kaplana. Mieszkanie znajdowało się w pobliżu kościoła Katariny i właśnie rozbrzmiały dzwony. Pomimo chłodu na dworze okno było lekko uchylone, a powietrze świeże.

- Córka umarła w ubiegłym roku - odparłem, odpowiadając na jego pytanie. Nie miałem pojęcia, dlaczego te słowa padły. Oprócz krótkiego stwierdzenia faktu, że nie żyje, nigdy z nikim o niej nie rozmawiałem. Sam z siebie z pewnością nic nie mówiłem. A tu proszę. A on tylko zapytał, co porabiałem w zeszłym roku.

Stał przy kuchennym blacie, układając ser na drewnianej desce. Przez dobrą chwilę milczał, a jego plecy nie wyrażały niczego. Potem podszedł do mnie i usiadł przy stole. Pociągnął mały łyk czerwonego wina.

- Mój syn zmarł, gdy miał cztery lata. Lukas.

Znów zamilkł na dobrą chwilę.

- Na imię miał Lukas. Przez długi czas w ogóle o nim nie rozmawiałem. Ale wiesz, czasami niemówienie o tym, co cię całkowicie pochłania, to niedobry pomysł.

Odstawił wino na stół i splótł ręce.

- Przez jakiś czas w ogóle nie rozmawialiśmy o śmierci Lukasa. Nigdy. Wznowiliśmy nasze życie towarzyskie, ale nigdy nie rozmawialiśmy o naszym synu, a on nieustannie zajmował nasze myśli. To było surrealistyczne. Na powierzchni nasze życie rozpoczęło się na nowo, a pod spodem panował kompletny zamęt. Ale wtedy właśnie moja żona zaczęła o tym mówić. I nie mówiła już o niczym innym. Po śmierci Lukas zaczął absorbować ją bardziej niż kiedykolwiek za życia. Przedtem podrzucała go do przedszkola. Załatwiała opiekunki. Kazała mu przesiadywać ze swoimi albo moim rodzicami. A po śmierci nie mogła odstać od niego nawet na sekundę. Zabierała go ze sobą wszędzie, gdziekolwiek szła. Nawet w nocy. Reszta świata stopniowo dla niej zniknęła, aż pozostał tylko Lukas. I jego śmierć.

Pociągnął kolejny łyk wina i zachęcił mnie, żebym spróbował sera.

- Nasza wina obejmowała wszystko. Żona była na górnym balkonie i bawiła się z Lukaszem, gdy zawołałem, żeby zeszła na dół i pomogła mi osadzić w zawiasach kuchenne okno. Pokój pachniał farbą i rozcieńczalnikami, których użyłem, malując ramę okienną. Zeszła na dół i podnieśliśmy okno, usiłując równo ustawić zawiasy. Było ciężkie i gdy skoncentrowani na swoim zadaniu z trudem utrzymywaliśmy je w równowadze, on wypadł. Na naszych oczach, jakby w zwolnionym tempie. Lena krzyknęła i okno runęło na podłogę.

„Nieeeee!!” - krzyczała błagalnie, chcąc go zatrzymać. Wydawało się, że łoskot rozbijanego szkła zagłuszył odgłos upadku jego drobnego ciała na chodnik. Ale chyba tak nie było. Chyba najpierw słyszeliśmy, jak upadł. Zginał na miejscu.

Nie odezwałem się: wydawało mi się, że nie ma właściwej odpowiedzi.

- Potem nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy nie wspominaliśmy o taborecie, który pozostał na balkonie. Lena nigdy nie powiedziała, że to moja wina, bo ją odwołałem. Ale ja wiedziałem. I kiedy Lena przeżyła, trzymając się naszego syna, ja przeżyłem, grzebiąc go. Rzuciłem się w realizację projektu filmowego, nad którym pracowałem. Tego roku nakręciłem *Let Your Longing Rest*, nominowany do Oscara za najlepszy film zagraniczny. Funkcjonowałem w wirze rozszalałej burzy i nie musiałem myśleć. Kiedy w końcu ponownie wszedłem w swoje życie, przypominało ono pustynny pejzaż. Żadnych kształtów, żadnych barw. Nic. Nie miałem pojęcia, co z nim zrobić. Ale powoli zacząłem rozmawiać. Z nim. Z moim synem. Znowu go objąłem i przycisnąłem do piersi. I zaczęła się podróż. Dzisiaj zawsze jest ze mną, we wszystkim, co robię. Ale nie myślę o nim z uczuciem winy i żalu. Teraz potrafię cieszyć się faktem, że miałem syna. Że mam syna. I nie ubolewam już nad tym, że mi go odebrano, bo nie odebrano. I nikt mi go nigdy nie zdoła odebrać. I teraz mogę się już pogodzić z samym sobą.

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech odsłaniający szparę pomiędzy przednimi zębami.

- Wiedziałeś? - spytałem, a on przytaknął. Potrząsnąłem głową. - Kiedyś się tego bałem. Spojrzenia ludzkich oczu.

Współczucia. Ich nieudolnych prób pocieszenia mnie. Albo ich udawania, że wszystko jest normalnie. Ale najbardziej bałem się ich słów. I nigdy nie słuchałem. I nigdy nie rozmawiałem.

- Powiedz mnie - rzekł Ben. - Ja wysłucham.

I po raz pierwszy spróbowałem porozmawiać o śmierci mojej córki. Mojej Mimi.

31

- Patrzę na ten miniony rok i widzę pustkę. A że już widzę, przepelnia mnie dziwaczna tęsknota, by tam powrócić. By odpocząć w tej pustce. Ponieważ czasami realny świat mnie przygniata.

Ale nie sposób cofnąć się w czasie. W życiu. Czas jest już poza zasięgiem. Muszę

spróbować poradzić sobie inaczej. Gdy trwał, nie robiłem nic. O niczym nie myślałem, ponieważ myślenie oznaczałoby wspomnianie, a to było po prostu nie do zniesienia. Jednak to, co wydawało mi się stałe, tak naprawdę było procesem. Ponownie dryfowałem w stronę życia, coraz bardziej. Ale byłem bezradny: ten proces miał własną synchronizację, a ja nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, aż pewnego dnia uświadomiłem sobie, że się skończył. Żyłem.

Jak tylko zacząłem wspominać, ponownie usłyszałem dźwięk muzyki. Gdy po raz pierwszy wszedłem do jej pokoju, nastąpiła wstrząsająca cisza. Ale dzień po dniu, tydzień po tygodniu, łagodniała i zaczęły się pojawiać delikatne dźwięki.

Wciąż nie mogę przypomnieć sobie okresu między rozmową telefoniczną a dniem, gdy potrafiłem już usiąść na jej łóżku i wdychać zapach jej pokoju. Są dni, których chyba nigdy sobie nie przypomnę. Nawet w snach ten czas nie powraca.

Ale kiedyś śniła mi się moja rowerowa wycieczka na prom. Pedaly ciężkie jak z ołowiu, z najwyższym trudem na nie naciskałem. Dziwne światło, przypominające złocistą poświatę tuż przed burzą. Niesamowite i nieruchome. Stawałem na pedałach, naciskając całym swoim ciężarem, ogromny wysiłek. Światło przyprawiało mnie o mdłości. Panowała kompletna cisza. Wtedy usłyszałem jej głos. Nie taki jak wtedy, gdy tego dnia się żegnała, ale jej głos, gdy była mała. Wołała mnie.

„Pomóż mi. Pomóż mi, tatusiu”.

Głos mi się załamał. Ben wstał i podszedł do odtwarzacza na półce przy stole. Przekładał płyty CD na niewielkim stojaku i włożył jedną z nich. Przez chwilę jeszcze stał, plecami do mnie, wsłuchując się w początek utworu. Bach, *Toccata i fuga d-moll*, odnotowałem nieprzytomnie.

Potem usiadł, a ja dalej opowiadałem przy kojącej muzyce w tle.

- Mimi miała się spotkać ze swoją przyjaciółką Charlotte na promie. Gdy nie przyjechała, jak się umawiały, Charlotte poczekała jeszcze na dwa kolejne promy, dzwoniąc raz po raz do nas do domu, strasznie zmartwiona. Moja komórka, która została na biurku w pustym domu, cały czas odbierała wiadomości od niej, a ja spacerowałem po War Memorial Museum, nie zdając sobie sprawy, że nadciąga burza, która zmiecie moje życie.

Mimi znaleźli dwaj niemieccy turyści z plecakami, ale autopsja wykazała, że po uderzeniu przez samochód mogła jeszcze przez jakiś czas żyć. Tam, gdzie ją znaleziono, nie wylądowała przypadkiem - ktoś ściągnął ją z drogi i ukrył rower.

W snach wciąż do mnie wołała. Nigdy się nie dowiem, czy w rzeczywistości też tak było. Czy żyła jeszcze, gdy mijałem ją na rowerze, zapatrzony w niebo, pogwizdując. Czy

moja córka mnie wołała? Nie mogę wymazać tego obrazu, nigdy nie będę mógł. Mimi w zupełnej samotności, nie zaznając ulgi, wydawała swoje ostatnie tchnienie. A ja przejeżdżałem obok, pogwizdując, i nic nie wiedziałem.

- Osoby, która ją potrafiła, nigdy nie złapano. Pusty i odrętwiały wciąż przemierzałem wyspę, szukając podejrzanych samochodów. Rozpytujac ludzi. Rozsyłając listy. Jakby to cokolwiek mogło zmienić.

Dopiero gdy zakończyłem moje gorączkowe działania, po raz pierwszy usłyszałem te ciche dźwięki. Przez jakiś czas nie zwracałem na nie uwagi, ale one trwały. I w końcu powiązały się, połączyły, aż zabrzmiały jak muzyka. I jest to - powiedziałem, spoglądając na Bena - jedyny utwór, jaki skomponowałem przez ten rok. Zapisałem tę muzykę. To *Sonata dla Miriam*.

W tle słyhać było teraz muzykę Eugène'a Ysaie'a. Przez chwilę słuchaliśmy w milczeniu.

- Córka... - powiedziałem, szukając słów. - Moja córka nie miała matki. Widzisz, za to, że miałem córkę, zapłaciłem ogromną cenę. Jej matka kazała mi wybrać między nią a dzieckiem. Nie jestem pewien, czy dokonałem właściwego wyboru. Nie było właściwego wyboru. Wiem tylko, że nigdy nie mógłbym wyrzec się chwili, w której usłyszałem, że spłodziłem dziecko. Mimi stała się ośrodkiem mojego świata. Oznaczała wszystko, co dobre w moim życiu. Kochałem ją bardziej, niż można to wyrazić w jakiegokolwiek formie. Ale przez te wszystkie lata rozpaczałem nad utratą jej matki, Cecylii. Nad niemożliwym do zaakceptowania faktem, że tracąc ukochaną kobietę, zyskałem dziecko, które sprawiło, że warto było żyć.

Ben spojrział na mnie.

- Cecylia Hägg - powiedział.

Wbiłem w niego wzrok.

- Słyszałeś? - spytałem.

Potrząsnął głową.

- Wtedy słyzałem o tobie. Mówiło się. Miała, ile... dwadzieścia? Była dwa razy młodsza od ciebie. Bardzo piękna. Bardzo utalentowana. Dobrze zapowiadająca się artystka. A ty byłeś bardzo znany. Jeden z najlepszych skrzypków w kraju. Dzisiaj o was obojgu pisaliby w tych plotkarskich czasopismach - powiedział z uśmiechem.

Potrząsnąłem głową, odwzajemniając uśmiech.

- Byłem tak całkowicie nią pochłonięty, że nawet do głowy by mi nie przyszło wyobrazić sobie, jak mogliby na to patrzeć inni. I tak krótko to trwało. Niespełna rok i po

wszystkim. Kazała mi przyrzec, że już nigdy się z nią nie skontaktuję.

Ben napełnił kieliszki i pociągnął łyk.

- I nie kontaktowałem się - powiedziałem. - Myślałem o niej. Marzyłem. Ale dla mnie warunki, jakie postawiła, były nieodwołalne. A że przeprowadziłem się aż na Nową Zelandię, było mi łatwiej. Stopniowo Cecylia stała się zaprawionym goryczą marzeniem. Ulotnym obrazem spowijającym mnie i córkę, nieodłącznym, ale niewidzialnym. Dopiero tuż przed śmiercią Mimi wspomniała o matce. Zaczęła pytać. Zaproponowałem, żeby odłożyć sprawę na później, myśląc, że będzie czas. Czas, żebym się przygotował, czas, żeby Mimi dorosła do tego, żeby to zrozumieć. Ale nigdy nie miała się dowiedzieć. Nigdy nie powiedziałem jej ani słowa o matce.

Czułem, że łzy napływają mi do oczu, i podniosłem kieliszek.

- Córce zrobiłem to samo, co spotkało mnie. Przeze mnie nie miała matki. To nie przez Cecylię, to przeze mnie. Mogłem dać mojej córce matkę. Mogłem sprawić, by zrozumiała. Mogłem opowiedzieć o swojej miłości do Cecylii. I jej miłości do mnie. Ale nie zdecydowałem się. Muszę to sobie uświadomić, wziąć odpowiedzialność. Muszę także uświadomić sobie zasadniczą przyczynę. Zastanowić się nad moim rzeczywistym motywem.

W końcu nie jestem lepszy od Wandy, kobiety, którą nazywałem matką, a która w rzeczywistości była siostrą mojej matki. Teraz wiem, że nie mam prawa jej osądzać. Czy powody są ważne? Chodzi o skutki naszych czynów, to jest ważne. O ile wiem, powody zachowania mojej „matki” były tak samo uzasadnione, jak te, za których pomocą ja chcę uzasadnić swoje postępowanie.

- W przeciwieństwie do filmu realne życie rzadko daje szansę na dubel - powiedział Ben. - Może dlatego właśnie tak bardzo lubię film. Ale innym chyba nie dajemy takiego pola manewru, jakie rezerwujemy dla siebie. Sobie wybaczymy. Litujemy się nad sobą. I może nawet trochę siebie kochamy.

Było późno. Zaproponowałem, że pomogę sprzątnąć ze stołu, ale Ben potrząsnął głową.

- Odprowadzę cię do hotelu - powiedział. - Po drodze zatrzymamy się i popatrzymy na miasto od strony Mosebacke.

Otworzyliśmy drzwi i z miejsca dopadło nas zimne nocne powietrze, przeszywające, takie, jakie zapamiętałem z pierwszych kwietniowych tygodni w moim dzieciństwie, gdy światło zapowiadało wiosnę, ale wydawało się, że jest chłodniej niż zimą. Pomimo chłodu zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy od strony Mosebacke. Stare miasto unosiło się na ciemnej

wodzie niczym olbrzymi połyskujący statek.

- Brałeś pod uwagę powrót tutaj? - spytał Ben, patrząc na rozpościerające się w dole miasto.

Podążyłem za jego spojrzeniem, wdychając zimne, suche powietrze.

- Właśnie kupiłem mieszkanie - powiedziałem. I słowa te, gdy je wypowiadałem, stały się rzeczywistością. Podjąłem decyzję o kupnie mieszkania w Krakowie.

- Tutaj? - spytał, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

- Nie, w Polsce - odparłem. - W Krakowie. Mam... mam tam przyjaciół.

Kiwnął głową i ogarnął spojrzeniem krajobraz.

- Przyjaciele w otoczeniu, to się liczy. Przyjaciele i rodzina - powiedział.

- Tak - odrzekłem. - To się liczy. I tylko to się liczy.

Ruszyliśmy w stronę Slussen i rozstając się przed hotelem, umówiliśmy się na następny dzień na lunch, żeby pogadać o interesach.

Ustaliłem z Cecylią, że na wyspę pojadę w środę; zaplanowałem, że wynajmę samochód i nazajutrz po spotkaniu z Benem porobię zakupy.

Na niebie były same znajome gwiazdy.

IV

- Cecylia? - powiedziałaś, a ja słuchałam.

Słuchałam, jak wymawiasz moje imię, i czas się zatrzymał. Albo przestał się liczyć. Katapultowałam się poprzez czas i straciłam orientację. Potem wsłuchiwałam się w panujące między nami milczenie. Po tym pierwszym słowie nieomal czułam odległość, widziałam ją. Wieczność. Nie odezwałam się.

Tego dnia rano, gdy telefon zadzwonił po raz pierwszy, byłam pod prysznicem. Przytłumiony dźwięk zaskoczył mnie. Było wcześnie, tuż po siódmej. Rano nikt do mnie nie dzwoni. Choć ledwie słyszalny poprzez szum wody, wtargnął w niezmacony spokój mojego domu. Wiedząc, że nie uda mi się dotrzeć na dół, zanim włączy się automatyczna sekretarka, spokojnie stałam pod prysznicem, aż sygnał się wyłączy, pozostawiając po sobie głęboką ciszę. Gdy zesłam na dół, zobaczyłam błyskające czerwone światło kontrolki i podniosłam słuchawkę, żeby odsłuchać wiadomość. Ale nie było żadnej, tylko niewyraźne brzęczenie. Pomyłka, pomyślałam i skasowałam pustą wiadomość.

Drugi telefon miałam tydzień później. Tym razem nie aż tak wczesny, ale na tyle, by złapać mnie w kuchni, gdzie kończyłam śniadanie. Niespodziewany dźwięk przestraszył mnie i postawiłam kubek z kawą na stole. Od czasu do czasu dzwoni matka, ale zawsze między piątą a szóstą po południu, między pierwszym a drugim drinkiem. Wciąż jeszcze dzwoni Anders, zawsze późno, czasem po północy. Inne od tych telefonów, zawsze mających jakby schemat, są nieczęste telefony zawodowe, ale te są przewidywalne, związane z konkretną wystawą czy projektem, i zawsze zdarzają się w godzinach pracy. Z tym telefonem było inaczej.

Później miałam wrażenie, iż wiem, że to możesz być ty, jeszcze zanim usłyszałam brzmienie twojego głosu. Jakbym wiedziała już od tego pierwszego nieodebranego telefonu.

Podniosłam słuchawkę i usłyszałam, jak wymawiasz moje imię, i w jednej chwili wymazane zostało dziewiętnastoletnie milczenie.

- Cecylia? - powtórzyłeś. Nie odzywałeś się, mnie pozostawiając inicjatywę. A ja, póki znów się nie odezwałeś, wsłuchiwałam się w dzielące nas naładowane powietrze.

- Tu Adam - powiedziałeś w końcu. Czy myślałeś, że mogłam zapomnieć twój głos? Mocno przyciskałam słuchawkę do ucha. Czekałam. I wtedy wymówiłam twoje imię.

- Adam. - I zdałam sobie sprawę, jak trudno mi było trzymać je w sobie przez te

wszystkie lata.

- Spotkałabyś się ze mną, gdybym przyjechał do Szwecji?

Ni z tego, ni z owego starannie pielęgnowane, ochronne warstwy czasu zostały zerwane i znów byłam przy oknie, patrząc, jak daleko w dole przechodzisz przez parking, a twoje stopy zostawiają biegnącą ode mnie prostą linię drobnych ciemnych kropek na mokrym śniegu. Idziesz, niosąc nasze dziecko. I wiedziałam, że już nigdy cię nie odnajdę. Śnieg stopnieje i nie pozostanie żaden ślad.

- W kwietniu będę w Sztokholmie w sprawach zawodowych. Moglibyśmy się zobaczyć?

Słuchałam, ale nie wierzyłam, że potrafię wydobyć z siebie głos.

- Cecylia?

Spojrzałam w stronę okna, gdzie przyćmione słońce przesuwawało się nad horyzontem, rzucając przez szybę słabe ukośne promienie.

Mówiłeś, ale oboje wiedzieliśmy, że słowa są zbędne. Pozwoliłam sobie na luksus i słuchałam brzmienia twojego głosu, ale same słowa nie miały znaczenia.

Nie miałam pewności, dlaczego zadzwoniłeś. Ale wiedziałam, że zadzwoniłbyś tylko wtedy, gdyby twoja obietnica, że nie będziesz się ze mną kontaktował, nie miała już żadnego znaczenia. Na dźwięk twojego głosu rozbliżyła iskra nadziei, ale teraz świadomość sparaliżowała całe moje ciało. Ręka na słuchawce zrobiła się zimna, palce zeszytywniały.

- Przyjedź tu - powiedziałam w końcu. - Na wyspę. Jeśli chcesz.

Gdy odłożyłam słuchawkę na widełki, moje usta ponownie ułożyły się w twoje imię.

- Adam - szepnęłam w stronę milczącej kuchni. - Adam.

Wiedziałam, że nie chodzi o to, czy zechcesz przyjść, czy nie. Wiedziałam, że zadzwoniłeś, bo było to niezbędne. Że musiałeś przyjechać. Bo nie miałeś dokąd pójść. A ja żałowałam, że moje słowa w ten sposób zabrzmiały.

Potem włożyłam kurtkę i robioną na drutach czapkę i poszłam, żeby się rozejrzeć. Wspinałam się zboczem góry, której każdą szczelinę znałam jak linie papilarne własnej ręki. Z czasem dzikie fiołki wypełnią wszystkie szczeliny, ale teraz widać było nagi szary granit. Kiedy stawiałam nogę na szczycie, ciężko dyszałam. Nie było wiatru i w uszach słyszałam bicie własnego serca. Lustrowałam niebo, na którym słońce przebijało teraz purpurową mgiełkę utrzymującą się na wschodnim horyzoncie. Dzień był bezchmurny, ale w powietrzu nie wyczuwało się ciepła. Patrzyłam w dół, gdzie w nieprzeniknionej ciszy już od półtora stulecia stał dom. Latem, gdy tonie w bujnej zieleni, z góry ledwie go widać. Teraz był całkowicie odsłonięty, nagie konary drzew nie dawały żadnej ochrony. Nagle uświadomiłam

sobie, że nigdy nie widziałeś mojej wyspy zimą. Zapomniałam, jak krótko razem byliśmy. Dla mnie to była wieczność.

Zwróciłam spojrzenie na morze. Wokół unosił się zapach zimnej wody, która tej zimy w ogóle porządnie nie zamarzła. Przy otwartym morzu było zimniej, tego dowiedziałam się dopiero po spędzeniu tu swojego pierwszego roku. Naciągnęłam czapkę mocno na uszy. Oddychałam w rękawiczki. Nie było fal; morze łagodnie się kołysało, jakby wzbierając z szelestem od spodu, a ciemna powierzchnia ledwie odbijała niebo, które stopniowo bladło, w miarę jak słońce wznosiło się wyżej.

Zamiast wrócić po swoich śladach zboczem góry, przeszłam przez szczyt i zesłam po drugiej stronie, gdzie łagodnie opada on w stronę osady. Minęłam rozsiane w dole skulone w milczeniu stare domostwa, opuszczone na zimę. Między domami i morzem przysnęło pod brezentem parę motorówek, a woda leniwie chlupotała o puste nabrzeża. Dalej szłam ścieżką porośniętą suchą teraz trawą. Najbliższe miesiące to dla niej okres niepohamowanego wzrostu - po śniegu, a przed inwazją stóp letników.

Czy pamiętasz, jak mała jest moja wyspa, i że nie możesz patrzeć na morze, schodząc w stronę pomostu, przy którym stoi moja łódź?

Minęłam swój dom, stojący po lewej stronie i szczerze pole po prawej. Tutaj także trawa ma ograniczony czas na nieskrępowaną regenerację, zanim z lądu przybędzie barką stado młodych jałówek. Skręciłam w prawo obok starego dębu, tego, który tak pięknie obfotografowałeś, i teraz rozpostarła się przede mną zatoka. Przez te pierwsze lata często sobie ciebie tutaj wyobrażałam, nagiego, z rozpostartymi ramionami, z twarzą zwróconą w stronę słońca, gdy mówisz, że to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałeś.

Ja myślałam, że ty jesteś najpiękniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek widziałam.

Szłam dalej w dół, do wody, do tego, co pozostało z drewnianego pomostu. Podczas zimowych sztormów odłamał się cały przeciwległy koniec i dryfował po zatoce, a teraz dziwnie osiadł na drugim brzegu. Patrzyłam na ciemną wodę, która jeszcze nie miała żadnego koloru. Wydawała się tak martwa, jak roślinność wzdłuż brzegu, gdzie zeszłoroczne wysuszone wodorosty utworzyły czarną barierę między ziemią i wodą. Weszłam na pokład mojej małej łódki i odchyliłam sztywne niebieskie płótno zakrywające kabinę. Zamek błyskawiczny z oporem poddawał się moim niezdarnym palcom w rękawicze. W środku zimne powietrze przesycał zapach benzyny. Poodkręcałam wszystkie nakrętki i odciągnęłam całą plandekę. Minęły dobre dwa tygodnie, odkąd uruchomiłam silnik, ale zastartował za pierwszym razem. Odwiązałam cumy i stojąc przy sterze, powoli manewrowałam łodzią po płytkiej wodzie, lustrując wzrokiem płaską powierzchnię przed sobą. Potrzebowałam

otwartego morza.

Bo morze pochłania wszystko.

33

Gdy mijały tygodnie, a ja nie miałam od ciebie nowych wieści, zaczęłam powątpiewać w swoją pamięć. Może uroiłam sobie to wszystko, myślałam. Czyżbym wymyśliła rozmowę telefoniczną, bo jakoś podświadomie chciałam cię ponownie zobaczyć? Tyle lat, a ja ani razu nie próbowałam cię znaleźć. Chyba jestem uczciwa, twierdząc, że nigdy, ani razu nawet się nie zastanawiałam. Pozwoliłam ci przejść przez ten parking i wiedziałam, że już nigdy nie poproszę cię o ponowne spotkanie.

Ale wtedy dostałam twój list. Prawdziwy. Znalazłeś mnie tutaj na wyspie. A ja pozwoliłam ci przyjechać. Nie byłam całkiem pewna swoich uczuć. Kombinacja oczekiwania i obawy. Powiedziałeś, że możesz się spóźnić. Podczas twojego pobytu w Polsce nieoczekiwanie wynikło coś, co mogło cię zatrzymać. Miałeś dać znać. Powiedziałeś, że zadzwonisz ze Sztokholmu. Zastanawiałam się, dlaczego napisałeś. Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś? Dziwna sprawa, list wydawał się bardziej wiarygodnym poleceniem twojego przyjazdu. Trzymałam go na nocnej szafce.

Jeszcze tego samego dnia po powrocie do domu wysłałam do studia i zaczęłam zawijać niedokończone obrazy na moją następną wystawę. Spojrzałam na nie krytycznie i pomyślałam, że mogłyby ci się chyba spodobać - zawsze najbardziej ci się podobały moje prace abstrakcyjne. Wystawa nosi tytuł *Aspekty Próżni*. Nie mój tytuł: wystąpił z nim agent. Brzmi chyba pretensjonalnie. Może w ogóle nie powinno być tytułu. Bardziej by pasowało, bo usiłowałam namalować nicość. Kojącą pustkę. Ale to bez znaczenia - i tak ich nie zobaczysz. W każdym razie nie tutaj. Tego dnia musiałam jeszcze wyjść na spotkanie łodzi pocztowej i upewnić się, że bezpiecznie je załadowano na pokład. I jakoś to pasowało, zupełnie jakbym sprzątała, wiązała luźne końce mojej egzystencji, żebyś zobaczył tylko to, co chcę ci pokazać, gdy przyjedziesz. I żebyś mogła na ciebie patrzeć, nie rozpraszać się. Słuchać cię.

Nie uświadamiałam sobie, bym w jakikolwiek sposób zamierzała zmienić swoje życie, ale gdy rozglądałam się po studiu, ogarnęło mnie uczucie niepokoju, jakbym po raz pierwszy ujrzała je obiektywnie. Ujrzała je tak, jak widzieliby je inni. Ty. Przez czas, gdy tu mieszkałam, już prawie piętnaście lat, moje studio stało się częścią mojej fizycznej

tożsamości. I podobnie jak moje ciało, zakurzona przestrzeń, w której na podłodze stoją płótna, a na ścianach wiszą szkice i nuty, stało się po prostu narzędziem mojej pracy.

Wyniosłam na zewnątrz po kolei, jak stały, trzy zawinięte płótna i ustawiłam je przy drzwiach. Przez lata nabrałam biegłości w robieniu skrzynek i teraz stały gotowe, by umieścić w nich płótna. Na szczęście była pogoda. Mogę zabrać tylko jedną skrzynię na raz, bo trzeba ją przenieść przez urwisko i dostarczyć na główny pomost wyładunkowy. A to kłopot, gdy pada. Ale poza tym nie narzekam. Zajmuje chwilę, a ja kocham tę robotę. Skrzynie nie są ciężkie, tylko nieporęczne. Tego dnia miałam mnóstwo czasu. Było wcześniej, a łódź pocztowa miała przyplłynąć dopiero w południe.

Praca skończona. Czekając, usiadłam na gładkiej, płaskiej skale przy pomoście. Wciąż było chłodno, pomimo słońca, ale wystarczy tylko pierwszy przyływ ciepłej pogody, a trawa i dzikie storczyki zareagują. Nauczyłam się, że nie sposób określić, kiedy to nastąpi. Mogą to być jeszcze tygodnie, ale może też zacząć się już jutro. Czułam zimną skałę, na której siedziałam, i przypomniało mi się, że tu w dole na tych skałach kochaliśmy się, nie zdejmując czapek. Pomyślałam o tym po raz pierwszy od wielu lat, gdy siedziałam tam, patrząc na bezkresne puste morze przede mną. Przesunęłam rękami po gładkiej skale, w dotyku była zimna. Ciemny granit wchłania żar słońca, który jednak wczesną wiosną nigdy głęboko nie przenika. Słońce każdego rana musi rozgrzewać go na nowo. Tego marcowego dnia słońce wcale nie grzało.

Były takie lata, gdy w czerwcu padał śnieg, i takie, gdy w połowie maja drzewa rozkwitały w pełni, ale marzec na archipelagu to wciąż zima. Dostrzeżenie subtelnych znaków nadchodzącej wiosny wymaga spostrzegawczości. Obserwuj niebo. Zwróć uwagę na coraz jaśniejsze poranki. Obserwuj powroty ptaków, najpierw kaczek. Co roku tak samo mnie to porusza, gdy widzę, jak pierwsze małe stado ląduje na wysepce naprzeciw mojego pomostu. Dostrzeżenie ich, gdy nie są już na niebie, wymaga wprawnego oka. Szare ptaki zostają wchłonięte przez szare skały i szare morze. Skały i morze zapewniają im bezpieczeństwo, gdy ptaki przygotowują się do wiosny. Wygląda to tak, jakby właśnie ptaki sprowadzały wiosnę, a nie na odwrót. I gdy już wiem, że wróciły, pogoda mnie nie obchodzi. Zimna pogoda opóźnia inwazję letników. Długi weekend pod koniec maja nieuchronnie sprowadza pierwszy rzut, ale dopiero w środku lata lądują tu wszyscy. I spokój mojego umysłu zostaje zakłócony na dwa miesiące.

Jak zawsze, łódź słyszałam na długo, nim wyłoniła się zza szczytu. Wstałam i pomachałam.

Później, już przy domu, zatrzymałam się i spojrzałam w niebo. W końcu poznałam

tutejsze niebo. Zżyłam się z nim, jak nigdy przedtem, zwłaszcza w nocy. Miękkie czarne sierpniowe niebo, skrzące się gwiazdami, które płoną jakby warstwami, swą głębię ujawnia tylko bardzo cierpliwemu obserwatorowi. Mgliste niebo listopadowe, dotykające przydymionego morza i zlewające się z nim. Ostre niebo styczniowe, kruche jak czarne szkło. I wczesnoletnie niebo, po prostu bledsza wersja dnia, noc, która nigdy nie zapada. Ale tego dnia marcowe niebo było nieokreślone, bezbarwne i puste.

Otworzyłam frontowe drzwi i weszłam na górę do sypialni. Stałam w progu, zerkając krytycznie do środka. Uświadomiłam sobie, że sypialnia wciąż wygląda jak dziewczęcy pokój, którym kiedyś była. Wąskie, nieposłane łóżko, pościel nie do kompletu. Obok niewielki kuferek, przy którym zostały już tylko dwa uchwyty. Stary żeliwny piecyk na drewno wciąż tu stał, choć nigdy go nie używałam, a znajdujący się za nim składzik zasłaniała bawełniana kotara w wypłowiałe na słońcu kwiaty. Byłam pewna, że tamtego lata także wisiała tam przezornie na swoim sznurku. Ta sama tapeta, którą pozwolono mi wybrać, gdy ojciec kupił dom. Małe parostatki na jasnyniebieskich falach, radosny kiedyś wzorek wyblakł i przypominał flotę statków-widm wiecznie dryfujących w białej nicości. Ojciec nie był człowiekiem praktycznym, ale uparł się, że sam wykona robotę. Z fają w zębach, z podwiniętymi rękawami kilka pasów przyciął za krótko, a ostatni, na wpół ukryty za kotarą, był mozaiką z pozostałych ścinków.

Chyba nigdy nie opowiadałam ci wiele o moim ojcu.

Między nami zawsze było zbyt dużo milczenia, Adamie. Tyle rzeczy niepowiedzianych.

Przeciągając ręką po wyschniętym papierze, który odkleił się od ściany, pozwalając myszom buszować po nocy, przypominałam sobie, jak przesuwalam palcem po falach, opowiadając o podróżach, które będę odbywać z ojcem po morzach. Daleko, daleko po morzach. Zawsze razem.

Właśnie wtedy zderzyłam się wzrokiem z własnym spojrzeniem w lustrze wiszącym nad małym kufrem z szufladami w nogach łóżka. Uniosłam rękę, odgarnęłam włosy z twarzy i podeszłam krok bliżej. Natychmiast dostrzegłam wszystkie szczegóły i oceniłam je obiektywnie z technicznego punktu widzenia. Gdybym była malarką, przechowałabym je, pomyślałam. Położyłabym je tam, gdzie trzymam pozostałe, te, którymi nie chcę się dzielić ze światem, których nie muszę widzieć. Te, które w milczeniu stoją twarzą do ściany. Grożą, że znowu zaatakują moje życie, a ja nie mogę pozwolić, żeby na mnie patrzyły. Gdy stoją odwrócone tyłem, mogę je ignorować.

Ale tutaj chodziło o moją własną twarz, która robiła dokładnie to, na co nie pozwalałam

swoim obrazom. Wpatrywała się we mnie, zakłócała mi spokój. Wpatrywały się we mnie moje ciemne oczy o lekko opadających powiekach i krytycznym wejrzeniu, które osadziło na moich brwiach stałe bruzdy. Ogarnęłam spojrzeniem swoją bladą cerę, szerokie usta o lekko opuszczonych kącikach. Jasne włosy, zeszłego lata wypłowieale na końcach i ciemniejsze u nasady. Rozluźniłam spinającą je klamrę i potrząsnęłam głową. Jak długie były, gdy je ścięłam? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Spojrzałam na ręce. Kiedyś podobały mi się. Pamiętasz, że była to pierwsza część mojego ciała, którą ci pokazałam? Jak trzymałam je przed tobą i powiedziałam coś w tym stylu: „To moje narzędzia”. Mówiłam takie głupstwa, ale z trudem wydobywałam z siebie słowa. Żeby powiedzieć coś, co by cię jeszcze trochę zatrzymało. Patrzyłam na ciebie, gdy grałeś. Coś było w tym, jak trzymałeś skrzypce. W *twoich* rękach. Pamiętasz, co wtedy grałeś? Ja pamiętam. Tę partitę Bacha, którą ponownie zagrałeś tutaj na wyspie, tylko dla mnie. A gdy skończyłeś grać, patrzyłam, jak przechodzisz przez salę. Nie mogłam sprawić, żebyś wpadł na mnie, ale siłą woli do tego doprowadziłam. A gdy to nastąpiło, oniemiałam. Zaniemówiłam. Stąd te niezdarne słowa.

Ale wciąż podobają mi się moje ręce, są dla mnie tak samo ważne, jak moje oczy. Wyciągam je przed siebie i wyłania się inne wspomnienie, niczym scena na jednym z tych dysków, jakie nadeszły z małą kamerą-zabawką, którą miałam jak dziecko, moim ViewMaster. Tylko jeden zwodniczo realistyczny obrazek, jaskrawy i trójwymiarowy. Widziałam siebie na granitowej płycie przed drzwiami tego domu. Matka siedziała w jednym z ogrodowych foteli z czasopismem w rękach. Nie patrzyłam na nią, ale wiedziałam, że tam jest. Słońce zachodziło po upalnym dniu i rzucało na trawę dziwnie wydłużone cienie. W powietrzu wciąż utrzymywało się ciepło dnia, ale pod stopami już czułam chłodną i nieco wilgotną trawę.

- Porównywanie rąk przynosi pecha - powiedziała matka. Trzymałam ręce na kolanach, wnętrzem dłońmi do góry. Nie porównywałyśmy, tylko zachwycaliśmy się symetrią, widowym znakiem przynależności. Mojej i mojej drugiej mnie. Mojej Angeli. Dwie miękkie drobne dziewczęce dłonie były prawie identyczne, jedna odzwierciedlała drugą. Na słowa matki uniosłam jedną, a za nią powoli powędrowała druga, aż dłonie miękko zetknęły się w powietrzu. Nie trzeba było nic mówić. Tylko uśmiechałam się, siedząc tam w cieniu. Uśmiechałyśmy się. A słońce zniknęło za drzewami.

Przed lustrem w moim pokoju uniosłam najpierw jedną rękę, potem drugą i przeciągnęłam nimi po policzkach. Dłonie były szorstkie i pachniały terpentyną. Opuściłam je i obróciłam. Normalnie nie zastanawiam się nad nimi. Są po prostu narzędziami w mojej

pracy, w nie większym stopniu cząstkami mnie samej niż moje pędzle i noże. Tak samo ważne i traktowane jak oczywistość. Ale tutaj były wyeksponowane i widziałam, że są to dobre, mocne ręce, o długich i prostych palcach, krótkich i niezbyt czystych paznokciach.

Podeszłam do łóżka i zaczęłam ściągać pościel.

A więc zaczęłam przygotowywać siebie i swój dom na twój przyjazd. Czego oczekiwałam? Sama nie wiem. Ale po raz pierwszy od wielu lat zesłam na dół i włączyłam stary magnetofon szpulowy w kuchni. Puściłam Mendelssohna. Tego, o którym powiedziałaś, że był pierwszy. Początek naszej podróży. Ale stał się ostatnim. Jedynym. Przez te wszystkie lata trzymałam tę taśmę, ale już nigdy jej nie puszczałam.

Usiadłam przy stole. I gdy rozpoczęła się druga część, zamknęłam oczy i rozplakałam się.

34

Telefon od ciebie wybił mnie z ustalonego rytmu pracy.

Przysłapywałam się na tym, że zatrzymuję się z pędzlem w ręku i patrzę przez okno, bez wyraźnej myśli, ale dziwnie zaabsorbowana. W takich chwilach musiałam ustąpić i dopuścić świadomość. Zupełnie jakbym powtórnie się rodziła, uświadamiając sobie świat. Siebie samą. Dopuszczając uczucia.

Codziennie wychodziłam na punkt obserwacyjny i siedziałam tam, patrząc na morze, póki nie usłyszałam łodzi pocztowej. Weekendy ciągnęły się jak wieczność.

Wydawało się niemożliwe, że kiedykolwiek jeszcze będzie lato. Nigdzie żadnych oznak życia. Był środek marca i miejscami na stałym lądzie zdarzały się ciepłe słoneczne dni. Ale tutaj lodowata woda chciwie połykała słoneczne ciepło. Pejzaż tworzyły odcienie szarości. Granitowa skała, nagie drzewa, morze. Nawet niebo wydawało się bladoszare. Wiatr był lekki, ale skóra od niego drętwiała.

Częściej zaczęłam zamawiać artykuły spożywcze w sklepie na stałym lądzie, żeby usprawiedliwić swoje wędrówki do pomostu na nabrzeżu. Ale to nie nadejście paczki ze sklepu wzmagало oczekiwanie, do którego z wahaniem się przyznawałam. Normalnie zostawiłabym odbiór na dogodną porę i nie zawracałabym sobie głowy czekaniem na łódź. Teraz jednak czuwałam samotnie na grani urwiska, gdzie słyszałam łódź na długo, zanim mogłam ją dostrzec. Wtedy miałam czas na to, by zejść, gdy podpływała i przybijała. Nie miałam powodu, by myśleć, że ponownie napiszesz, a rozczarowanie, jakie odczuwałam za

każdym razem, gdy nie było poczty, nie miało uzasadnienia.

W tych dniach, gdy nie oczekiwałam paczki ze sklepu, po sprawdzeniu skrzynki na listy wracałam na punkt obserwacyjny.

W dzieciństwie oczywiste dla mnie było to, że wyspa zawsze była taka jak wtedy, gdy przybyliśmy w czerwcu. I że pozostanie taka jak wtedy, gdy w sierpniu obserwowałam z rufy łodzi, jak się oddala. Należała do mnie; będzie trwać w zawieszeniu, póki nie wrócę za rok.

Teraz znam niezwykłą metamorfozę, przez którą przechodzi. I wiem, jak niezdolnie krótkie jest lato. Po prostu interludium. W dzieciństwie wyspę znałam tylko w jej letnim odświeżonym stroju, i zawsze odpływałam przed końcem święta. I tak właśnie ty ją widziałeś, Adamie. Znałeś moją wyspę wyłącznie latem. I mnie też znałeś tylko od tej strony. Letniej strony. I może jeszcze trochę wiosennej. Ale nigdy od strony długiej, mrocznej, milczącej zimy. Nigdy cię tam nie zaprosiłam. Czy wiesz, że w ogóle taka była? Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że istnieje jeszcze jakaś inna ja? Albo czy chciałeś wiedzieć? Zdarzały się chwile, gdy bliska już byłam opowiedzenia ci o tym. Ale pora chyba nigdy nie była właściwa. I nigdy nie czułam, że mam odpowiednie słowa. Dopiero znacznie później, długo po tym, jak cię straciłam. Po tym dniu na łodzi. Kiedy w końcu byłam u siebie. Naprawdę sobą.

Za późno.

Któregoś dnia, gdy nasłuchując łodzi, siedziałam, patrząc na morze, uświadomiłam sobie, że mam więcej czasu niż zwykle, i poczułam, że mi trochę chłodno. Przypuszczałam, że łódź nie przybędzie przed południem - miałam jeszcze pół godziny. Postanowiłam iść się rozgrzać. Rzadko kiedy spacerowałam po tej stronie wyspy, chyba żeby odebrać pocztę. Ale w dzieciństwie to było moje terytorium. Wspinałam się w górę po stromym granitowym urwisku, a potem na dół do małego występu w skale, płytkiego wgłębienia w gładkiej ścianie. Skala była w tym miejscu bardzo ciemna i zawsze ciepła, i było tam akurat tyle miejsca, by usiąść obok siebie z nogami zwisającymi nad wodą w dole. Nikt mnie nie widział, a przynajmniej tak myślałam. I to właśnie tam nauczyłam się nurkować. I to właśnie tam moje drugie ja po raz pierwszy dało nurka. Czasami brałam wędkę, ale ryby, które łowiłam, były malutkie i zawsze je wypuszczałam. Patrzyłam z góry, jak srebrzyste ciała wpadają z pluskiem do wody, potem dochodzą do siebie i z szybkim smagnięciem ogonem znikają w głębinach.

Zawsze docierałam tam tą samą drogą. Z czasem moje bose stopy wydeptały wąską ścieżkę przez wygon, na którym pasły się krowy. Zazwyczaj przechodziłam przez ogrodzenie, nie zwracając sobie głowy otwieraniem furtki, potem pędziłam przez łąkę, starannie unikając krowich placków. Gdy krowy były w pobliżu, to zawsze moje drugie ja, moja Angela

wspinała się pierwsza i kiwała na mnie, żebym szła za nią. Przekonując, że zwierzęta są przyjazne. Potem nie było już letniego wypasu krów na wyspie i nikt nie pilnował ogrodzenia. Dopiero ostatnio trzymanie tu krów ponownie zaczęło się opłacać, a to dzięki skomplikowanym funduszom, jakie zapewniło członkostwo w Unii Europejskiej. Ale młode jałówki trzymane są po drugiej stronie wyspy.

Tutaj już nikt nie przychodzi.

Nikt też nie korzysta ze ścieżki.

Przystanęłam i spojrzałam na teren, na którym kiedyś był wygon. Osiki się rozpleniły, zawsze pierwsze wykorzystują pozostawioną sobie ziemię, ich nagie, proste pnie sterczą w gęstych zagajnikach, przeplatane jałowcami i kłębami dzikiej róży. Nie sposób było dostrzec, którędy biegła kiedyś ścieżka. Przekroczyłam resztki na wpół zardzewiałych słupków ogrodzenia i ruszyłam w stronę wysokiego urwiska. Kluczyłam między drzewami i krzakami, a potem weszłam na granitową ścianę. Wtedy wydawała się ogromna - stroma, ostra i trochę niebezpieczna. Teraz była to szybka wspinaczka na szczyt i zejście po drugiej stronie, gdzie wsunęłam się do niewielkiego wgłębienia i usiadłam na występie, opierając nogi o skałę. Patrzyłam na ciemną powierzchnię w dole i zauważyłam gładki, zaokrąglony wierzchołek skały wystający z wody niedaleko od brzegu. To była moja bezpieczna przystań, mój cel, gdy wynurzałam się bez tchu po każdym skoku do zimnej wody. Nie, niezupełnie tak. Tylko ja jej potrzebowałam, nigdy Angela. Rozpaczliwie wyciągałam przed siebie zeszywniałe ręce, póki nie dotknęłam palcami kamienia i nie zdołałam się podciągnąć. Natomiast Angela uwielbiała wodę. W morzu była nieustraszona. Pełna wdzięku.

Kiedyś Angela zostawiła mnie w wodzie. I naraz jakbym zobaczyła siebie samą, zupełnie samą w zimnym morzu. Przyśpieszony oddech i nagle nie płynęło mi się już szybko i łatwo. „Angela, wracaj!” - krzyknęłam, próbując utrzymać się na powierzchni. „Proszę, wróć do mnie!” - krzyknęłam ponownie, szczękając zębami, zagarniając wodę w miejscu, kręcąc się w kółko i rozpaczliwie rozpryskując rękami wodę. Ale nie było żadnego odzewu, bezruch. Byłam sama. „Angela, *proooszę!* - Moje słone łzy już zaczęły się mieszać ze słonawą wodą. - Proszę, wróć!”.

Wtedy woda się rozstała i ukazała się głowa Angeli, ciemne, poprzylepiane do głowy włosy. Przez chwilę wyglądała obco: jak zwierzę, jak morskie stworzenie. Błądą ręką odgarnęła włosy z twarzy i popłynęła w drugą stronę, w kierunku brzegu, a gdy zrobiła nagły zwrot, jej drobne białe stopy przecięły powierzchnię wody, a wodna pajęczyna przylgnęła do jej skóry. I byliśmy bezpieczni.

Patrzyłam na ciemne morze w dole i obserwowałam, jak chlupocze o granit. Tuż pod

powierzchnią falowały wodorosty, jakby pragnęły porzucić skałę, do której były przywiązane, i czułam smak słonej wody na języku. Palce miałam zimne. Wcisnęłam rękę do kieszeni i ponownie spojrzałam na morze.

Nawet gdy już usłyszałam silnik łodzi pocztowej, zostałam tam, gdzie byłam. Gdy w końcu wygramoliłam się z występu i z powrotem wspięłam na szczyt skały, w dole ujrzałam łódź przecinającą małą zatokę, zabawkę z zabawkową figurką poruszającą się wzdłuż pomostu. Zanim tam się dostałam, łódź dobiła i odpłynęła, a moje kartonowe pudło z zakupami stało pod sterczącym dachem starej wiaty.

W mojej skrzynce pocztowej była tylko gazeta.

35

Zaczął się moje oczekiwanie.

Chociaż dni mijały w swoim zwykłym spokojnym tempie, nieomal słyszałam odległy dźwięk, pełen wahania szept, utrzymujący się, gdy wchodziłam do łóżka i zanurzałam się w sny. Pragnęłam spokoju, by móc się wsłuchiwać w ten szept.

Niepokojów było niewiele, a te, które wystąpiły, nabrały nowej ostrości. Zaczęły mnie drażnić wieczorne telefony od matki. Tradycyjną irytację na dźwięk telefonu zastąpiło przerażenie - i dzwonił długo, podczas gdy ja próbowałam zapanować nad sobą. Słyszałam głos matki i usiłowałam pohamować zniecierpliwienie.

Ona mówiła, a ja słuchałam w milczeniu.

- Naprawdę mi zależy - powiedziałam, gdy na krótko przerwała, usiłując nie podnosić głosu. - Przecież wiesz. - Gdy ponownie się odezwała, słuchawkę nieco odsunęłam od ucha.

- To normalne, że dzieci dzwonią do rodziców. Tak właśnie robią *normalne* dzieci. Zależy im przynajmniej na tyle, że od czasu do czasu zadzwonią. *Od czasu do czasu* - powtórzyła, zmagając się z wymową. Przygotowywałam się na nieuchronny nierozstrzygnięty koniec.

Potem otworzyłam drzwi wejściowe i stanęłam na pierwszym stopniu. Pod stopami zimny granit. Powietrze świeże i chłodne, zbliżał się wieczór, ale wciąż było jasno. Wiosna, martwa wyspiarska wiosna. Żadnego widzialnego znaku rozwoju, tylko stopniowe wydłużanie się dnia. Poprzedniej nocy zastawiłam sieć i złapałam siedem ryb. Sprawiliam je i włożyłam do zamrażarki, zostawiając dwie na kolację. Teraz weszłam z powrotem do środka i wyjęłam z lodówki talerz z dwiema małymi rybami. Wsunęłam je do plastikowej torby i także

wsadziłam do zamrażarki. Straciłam apetyt.

Nie miałam od ciebie nowej wiadomości, a twoje milczenie dotykało mnie bardziej niż uporczywa obecność mojej matki. Nosiłam je ze sobą całymi dniami. Wsłuchiwałam się w nie i zaczęłam bardziej oczekiwać nocy niż dni. W snach stawałeś się realny: mogłam cię widzieć, słyszeć. Przyłapałam się na tym, że pracując w studiu, nasłuchuję, i że drzwi do głównego budynku zostawiam otwarte, żeby słyszeć telefon. Za dnia podświadomie kontrolowałam czas. Za późno, żebyś zadzwonił. Albo za wcześnie. Ale sama nawet nie próbowałam do ciebie zadzwonić. Nie, przynajmniej to.

Wysłałam obrazy na wystawę i nie czekała mnie żadna pilna praca, więc ponownie wyjęłam portret. Umieściłam go na sztaludze i godzinami mu się przyglądałam.

- Nie, zatrzymam cię - szeptałam.

I pamiętam, jak siedziałam na przedprożu ze złączonymi stopami. Było lato, ale wieczór był wilgotny i chłodny. W rękach zwijałam niewielką szmatkę, którą zawsze miałam przy sobie, a wzrok zatrzymałam na stopach. Włosy opadały mi na twarz, a zęby szczękały. „Chodź, przysuń się trochę, obejmę cię” - szepnęłam. Szepnęła Angela. I czułam, jak się powolutku przysuwa, a jej ciepłe ciało dotyka mojego przez flanelową piżamę. I kołysząc się łagodnie, zaczęła kolejną opowieść.

Teraz w studiu miałam ją przed sobą tak, jak jeszcze nigdy. Szeroko otwarte ciemne oczy, pewne siebie i zarazem ufne. Godzinami starałam się idealnie ustawić kolor, ale ekspresja była jej i tylko jej. Uniosłam rękę i wskazującym palcem przesunęłam na płótnie po linii jej górnej wargi. Namalowałam usta ledwie otwarte, tylko zapowiadające możliwość uśmiechu. Cofnęłam się lekko i przyłożyłam palec do własnych warg. Chciałam ją namalować, jak się uśmiecha. Pewną siebie. Śmiałą. I szczęśliwą. Oprócz samej twarzy nie było nic, tylko stopniowo pogłębiająca się ciemność, narastająca od linii włosów, uszu i dolnej części gardła. Ale sama twarz promieniała światłem.

Po chwili wyjęłam czysty blejtram. Umieściłam go na pustej sztaludze obok portretu, chwyciłam kawałek węgla i zaczęłam szkicować.

W wyobraźni, w rękach miałam wyraźny obraz i linie szybko spływały na płótno, bez wahania. Tak długo czekałam, żeby namalować ten portret. Całe życie.

Gdybym znalazła słowa, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale teraz, gdy nieoczekiwanie i tak niezasłużenie dostałam taką szansę, spróbuję wyjaśnić. Nie, to nie jest właściwe słowo. Nie ma wyjaśnień. Ale spróbuję powiedzieć. Spróbuję przerwać milczenie.

Gdy wejdiesz, spróbuję znaleźć słowa.

Byłeś pierwszą osobą, jaką tutaj na wyspę kiedykolwiek sprowadziłam. Czy wiedziałeś o tym? Nie, skąd miałeś wiedzieć? Jak miałeś zrozumieć znaczenie tego zaproszenia?

Widzisz, wyspa zawsze należała do mojego ojca. Oczywiście nie cała, ale dla mnie tak. Odziedziczyłam ją po nim i właśnie z nim wiążą się wszystkie moje pierwsze wspomnienia. Nawet teraz czasami, gdy stoję na pomoście wyładunkowym, rozplątując sieci, wyobrażam sobie zapach tytoniu zmieszany z odorem zgnilizny schnących łusek i wodorostów. W kąciку ust zawsze miał fajkę, zapaloną lub nie. I zawsze nucił. Grał w salonie na starych organach albo słuchał radia. Wtedy zawsze coś grało. Teraz Kocham tę wyspę za jej ciszę.

Taki krótki był ten czas, i tak dawno temu. Ale te pierwsze lata rozbłyskują w wiecznym świetle. Pomimo ciemności, która potem zapadła.

Dla mnie była to wyspa mojego ojca i nie mogłam zaakceptować późniejszych wtargnięć. Uważałam, że wstęp na nią powinien być dozwolony tylko na zaproszenia, a takowych nie było. Że powinno się ją zamknąć i porzucić, gdy ojciec umarł. Pozwolić, żeby został dozorcą pięknych wspomnień w niezmaconej ciszy. Chciałam, żeby była wyłącznie jego wyspą. W mojej wyobraźni wspomnienia o ojcu i samo to miejsce zlewały się i stawały jednym.

Pierwsze lato bez niego. Pamiętam, że nie chciałam wyjść z łodzi, gdy dobiliśmy do brzegu. Słyszałam, jak matka woła mnie niecierpliwie, a ja siedzę i ponad relingiem wpatruję się w ciemną wodę, w której powoli kołyszą się wodorosty. Wtedy po raz pierwszy Angela przejęła inicjatywę. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie jej istnienie. Czułam to tak, jakbym obserwowała, jak jakaś część odrywa się ode mnie i działa niezależnie. Tak, jakby jakaś druga ja wyskoczyła na brzeg, odwróciła się i patrzyła na mnie, rozpościerając ramiona i zachęcając, żebym to załapała i ruszyła za nią.

To ona przywróciła mi wszystkim niezwykłym miejscom, sprawiła, że ponownie je odwiedziłam. Umożliwiła to. I moja wyspa powoli nabierała innego życia. Życia w cieniu, w którym musiałam stąpać ostrożnie, ażeby nie zakłócić jej kruchej egzystencji. Już nigdy nie miała być taka jak wtedy, gdy był tam mój ojciec. Już nigdy nasza, moja i ojca. Teraz była moja własna. Moja i Angeli.

I wyspa ponownie żyła, lato za latem, jakimś ostrożnym innym życiem, pośród przygaszonych barw i niebezpieczeństw majaczących w cieniach.

Aż do tego lata. Miałam prawie dziesięć lat. Gdy pierwszego dnia poszłam popływać, urwisko wydało mi się mniejsze, a występ tak wąski, że ledwie mogłam w nim wygodnie usiąść. Tego lata woda była zimna, ale pływałam codziennie. Skakałam do wody, robiłam kilka szybkich ruchów, a potem dysząc, piełam się z powrotem do góry. Wtedy Angela znów wślizgiwała się w wodę. Płynęła coraz dalej i dalej. Umiała nurkować, jej smukłe białe ciało ledwie marszczyło powierzchnię wody, a potem ciągnąć miarowymi ruchami, by zniknąć koło wierzchołka. Serce waliło mi, gdy siadałam na występie, wciąż nie mogąc złapać tchu po wstrząsie spowodowanym przez zimną wodę. Przepętniona dziwną mieszaniną podniecenia i strachu, rozcapierałam palce na nagrzanej przez słońce powierzchni skały. Było to jeszcze, zanim mogłam spokojnie złapać dech. Oblizywałam wargi, były słone. I czułam obok siebie Angełę, jej skórę już ciepłą od słońca. A potem i ja się rozgrzewałam. Siedziałyśmy obok siebie w milczeniu, a moja skóra powoli wysychała. I byłyśmy jednością.

Wieczorem po kolacji siadałam w ogrodzie w wiklinowym fotelu. Mama wołała z kuchni, żebym zamknęła frontowe drzwi przed komarami. Mnie nie przeszkadzały, choć słyszałam je wokół głowy i widziałam, jak siadają mi na rękach. Nie ruszałam się z fotela, podciągałam tylko nogi, gdy stopniowo się ochładzało. Potem Angela wstawała powoli, a ja szłam w jej ślady. Na górze w swoim pokoju przebierałam się w piżamę, odwracając oczy od lustra, gdy ściągałam ubranie, i szybko wślizgiwałam się pod przykrycie. Leżałam nieruchomo, moje ciało rozgrzewało się w końcu pod ciężarem koca. Skręcałam w palcach miękką szmatkę i podnosiłam ją do twarzy. I myślałam o szczupłym dziewczęcym ciele Angeli. Mocno zaciskałam oczy, ale łzy kapały z kącików na szmatkę.

W świetle letniej nocy i przy komarach brzęczących tuż za siatką zakrywającą okno wsłuchiwałam się w swój głos, gdy Angela zaczynała nową opowieść.

Dla mnie. Dla nas.

Tak, żeby dzień zniknął i pozostała tylko noc.

37

- Chodź, idziemy na ryby - powiedział.

Mocno zacisnęłam oczy i zobaczyłam, jak słowa odbijają się w kuchni od ściany - jasne, białe błyski, uwięzione w niewielkiej przestrzeni. Światło i dźwięk były nieznośne i

czekałam, aż matka zareaguje. Aż zrozumie słowa i sprawi, że znikną.

Ale kiedy otworzyłam oczy i spojrzałam na matkę, jak z założonymi nogami na wpół siedziała, na wpół leżała na drewnianej kuchennej sofie z czasopismem na kolanach, wiedziałam, że nie usłyszała. Dźwięk, który wypełniał pokój, i oślepiające światło jakoś wcale do niej nie docierały. Między palcami, które bezwiednie przerzucały błyszczące kartki, tkwił papieros, z którego lada chwila miał spaść słupek popiołu.

Podszedł do sofy, stanął za matką i delikatnie potargał jej włosy.

- Nie idziesz, prawda? - powiedział, bardziej stwierdzając niż pytając. Wiedziałam, że szuka mojego spojrzenia, ale ja wbiłam wzrok w kuchenny stół i śledziłam rysy na niebieskiej ceracie, muchę siedzącą na kropli dżemu pomarańczowego, liczyłam okruchy chleba pozostałe po śniadaniu. Potem podniosłam wzrok i patrzyłam, jak matka, odsłaniając szyję, odchyła głowę do tyłu i przymyka oczy. Wstrzymałam oddech, czekając, aż się odezwie. Mając na to nadzieję.

- Nie, kochanie. Nie w środku dnia. Zostanę tutaj. Ty idź. Jesteś taki kochany. Zmobilizuj się.

Roześmiała się gardłowo i na chwilę przytrzymała jego nadgarstek.

- Jesteś taki kochany. Zupełnie jak prawdziwy ojciec. Lepszy niż kiedykolwiek był jej ojciec.

Opuściła z powrotem rękę i wzięła czasopismo.

Wędki znajdowały się w szopie na łodzie. Bambus był wyschnięty i szary, z połamanymi końcówkami. Żyłki matowe, splątane, szorstkie w dotyku, haczyki zardzewiałe. Przynęty nie było. Niezdarnie wspiał się na pokład i skinął na mnie, żebym odwiązała cumę rufową, potem wyciągnął rękę, żeby mi pomóc wskoczyć na pokład. Ale uchyliłam się i wślizgnęłam na dziób łodzi, gdzie usiadłam z pochyloną głową, obejmując ramionami nogi. Odwiązał cumę rufową, a potem zwiększył obroty silnika. Łódź wpadła na krawędź pomostu, zrobiła zwrot. Zmienił bieg i silnik zawył. Szarpnęło i wystartowaliśmy. Zostałam tam, gdzie byłam, trzymając się relingu.

Dzień był pogodny, koniec lata, został jeszcze tylko tydzień wakacji. Zwiesiłam się za burtę i przymknęłam oczy. Łódź przechyliła się, ale silnik był wystarczająco mocny, żeby się dźwignęła i popuła przez fale, więc płynęła jak po wybojach, ni to w wodzie, ni to nad wodą. Za szybko, ale i nie dość szybko. Spojrzałam na puste niebo. Było nieskazitelnie czyste, najmniejszego cienia chmury, żadnych ptaków. Niebawem zostawiliśmy za sobą porozrzucane wysepki, wypływając dalej, tam gdzie widniały tylko gładkie szare skały, ledwie przebijające się przez powierzchnię wody. Wyglądały jak grzbiety olbrzymich

płynących pod wodą stworzeń. Nie widziałam innych łodzi. Przed nami, aż po horyzont, rozpościerało się puste morze.

Podrapałam się w rękę, gdzie wcześniej ukąsił mnie komar, i patrzyłam, jak krople krwi sączą się po mojej opalonej skórze. Pochyliłam się i zlizalam ją, a smak metalu wypełnił mi usta. Zacisnęłam oczy.

Usłyszałam, jak silnik zwalnia, i dokładnie wiedziałam, gdzie jestem. To samo miejsce, co zwykle: ostatnia mała wysepka chroniona od wiatru z otwartego morza. Wiedziałam, że nadeszła pora, by wstać i iść na rufę, ale kończyny miałam jak sparaliżowane. Angela podciągnęła mnie i poszliśmy, podniosłyśmy tylne siedzenie i wyciągnęłyśmy kotwicę. Stałam, mocno zapierając się stopami o pokład, i rzuciłam ją za burtę, obserwując, jak rozplątuje się zwój liny. Przywiązałam linę kotwicy, starając się utrzymać równowagę, wróciłam na dziób i gdy stałam w pogotowiu z liną, łódź sunęła w stronę lądu. I gdy miała wpaść na brzeg, wyskoczyłam, bezgłośnie lądując bosymi stopami na ziemi. Szarpnęłam linę i łódź podплыnęła bliżej. Wtedy on wyskoczył, ciężko lądując i niemal tracąc równowagę. Rozejrzał się wokół za czymś, do czego mógłby przywiązać linę, i jego wzrok w końcu spoczął na wielkim kawałku granitu. Patrzyłam ponad wodą, jak podchodzi i podnosi kawałek wielkiej skały. Ciężko dysząc, przeniósł go z brzegu i wcisnął w skalną szczelinę, a potem uwiązał wokół niego linę. Chciałam, żeby ta chwila trwała wiecznie. Ale wtedy podniósł się i spojrzał na mnie.

- Dobra. Z powrotem na pokład.

Schylił się i pociągnął linę. Widziałam, jak obcisłe marynarskie kąpielówki wpijają mu się w ciało w talii i na udach.

Kiedy łódź była wystarczająco blisko, wskoczyłam z powrotem na pokład. Ale wtedy Angela powiedziała mi, że nie musiałam. „Biegnij! - szepnęła. - Pobiegnij nad urwiskami na drugą stronę wyspy. Można tam posiedzieć i popatrzeć na bezkresne morze. Naprawdę można!”.

Więc pobiegłam. W wyobraźni to nie ja przebywałam w gorącej kajucie: to Angela. Ja siedziałam na skraju wody, nad sobą miałam ogromne niebo, a nie biały nieciekawy plastikowy dach. Błądziłam wzrokiem po wodzie u swoich stóp. To było wszystko, co widziałam, a słyszałam jedynie łagodne chlupotanie wody. Nigdy nie słyszałam, jak mówi. Tylko chlupotanie wody.

- Znowu żadnej ryby dzisiaj - powiedział z uśmiechem, potrząsając głową. Wstał, utrzymując na pokładzie równowagę, nogi rozstawione, ręce na biodrach, a łódź zakołysała się pod jego ciężarem. Krople potu zalsniły na jego plecach, spływając silnym wgłębieniem

wzdłuż kręgosłupa. Stał, patrząc przez chwilę na puste morze. Potem odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Nie wędkujemy, nie? - spytał. - Mamy lepsze rzeczy do roboty, prawda? - Wszedł do kajuty i gdy usiadł obok mnie, przez chwilę czułam zapach jego skóry.

Potem wzięłam głęboki wdech i poczułam woń morza. Niczego więcej, tylko morza.

Próbowałam usilnie zostać tam, gdzie kazała mi Angela, nad morzem, po drugiej stronie. Naprawdę próbowałam, ale w końcu znalazłam się z powrotem na pokładzie. Potem. Gdy on był już na zewnątrz.

Ssałam ślad po ukąszeniu komara na ramieniu. Przesycone benzyną powietrze pod płóciennym daszkiem było gorące. Siedziałam cichutko i próbowałam wstrzymać oddech, gdy usta wypełniał mi smak mojej krwi. Oddychałam przez usta szybkimi płytkimi wdechami i próbowałam powstrzymać podchodzące wymioty.

- Uruchom silnik - powiedział i skoczył na brzeg, lądując niezdarnie w swoich niebieskich japonkach. Podeszłam do miejsca pilota i usiadłam na gorącej plastikowej pokrywie. Otworzyłam przełącznik paliwa, biegi wrzuciłam na luz, lekko włączyłam ssanie i nacisnęłam guzik zapłonu. Silnik odpalił od pierwszego razu. On odwiązał linę i trzymał na niej nogę, podnosząc wielki kamień, który posłużył mu do cumowania. Uśmiechnął się szeroko, trzymając go nad głową i głośno stękawszy, rzucił go szerokim łukiem do wody.

I w tym właśnie momencie obrazy zatrzymały się na zawsze. Ułamek sekundy, gdy nie miał już kamienia w rękach, ale stopę trzymał wciąż na zwojach liny. Nigdy więcej nie zobaczyłam, jak traci równowagę, jedna stopa uniesiona, druga ześlizguje się po gładkiej skale. Nigdy więcej nie zobaczyłam, jak lina sunie niby wąż i wślizguje się do wody. Nigdy więcej nie usłyszałam tego głuchego odgłosu, jak kiedy upadł plecami na skałę. I nigdy więcej nie usłyszałam takiego ostrego trzasku, jak kiedy jego głowa uderzyła o kamień.

Potem słyszałam tylko plusk kamienia, który uderza o powierzchnię wody, opryskując mnie zimną mgiełką. I to wszystko. Tylko woda.

Łódź powoli dryfowała od lądu, ciągnąc za sobą na wodzie smugę. Jego ciało ześlizgnęło się do wody ze stromej skały poprzez kłębiące się jaskrawozielone morskie wodorosty. Na chwilę się zanurzyło, po czym z powrotem wypłynęło na powierzchnię, a po nim najpierw jedna, a potem druga japonka. Wokół jego głowy rozwijał się cienki jaskrawoczerwony welon szybko rozwiewający się w wodzie. Widziałam tył jego głowy, barki i rozpostarte ramiona, jakby próbował objąć głębiny w dole. Reszta ciała znajdowała się pod wodą.

Siedziałam kompletnie bez ruchu, ssąc ślad po ukąszeniu komara, drugą rękę

zacinawszy na relingu. Nagle łódź zaczęła się kołysać - odpłynęła od lądu i sterczące skały nie osłaniały jej już przed wiatrem. Wpatrywałam się w ciało i wydawało mi się, że to nie łódź się porusza, lecz on powoli ode mnie odpływa.

Wtedy właśnie Angela wstała i poszła na rufę, przechyliła się przez reling i zaczęła wyciągać linę z wody. Moja Angela.

Gdy skończyła, bez słowa skinęła głową.

Ponownie usiadłam na gorącym plastikowym siedzeniu i wrzuciłam bieg. Chwyciłam koło sterowe i zawróciłam łódź. Gdy odwróciła się od wyspy, na chwilę wstałam, żeby się obejrzeć. Zmrużyłam oczy i wpatrywałam się w ciało, nieznaczną wypukłość na powierzchni.

Ale nie widziałam ręki przebijającej się przez fale, ramion rozpryskujących wodę. I słyszałam tylko odgłos silnika i wiatru. Dodałam gazu.

Angela przyszła, siadła przy mnie i mówiła, co robić.

Po powrocie zacumowałam, zebrałam sprzęt wędkarski, zabezpieczyłam płócienną osłonę i weszłam na pomost.

- To nie była moja wina, prawda? To nie była moja wina - szeptałam bez końca, szczękając zębami.

- Nie, to nie była twoja wina - powiedziała. - To był wypadek, Cecylio. - Wciąż powtarzałam słowa, splatając ramiona na piersi, obejmując się. Zamknęłam oczy i obrazy wyblakły, aż nic nie było widać.

Trzymała mnie. Ja trzymałam ją. Byłyśmy jedną osobą.

38

Leżałam w łóżku, wsłuchując się w dźwięki dobiegające z dołu.

- Ciiii - szepnęłam i otuliłam się ramionami. - Ciii, opowiem ci historię. - Potrząsnęłam głową, z ust wymknął mi się krótki zawodzący dźwięk. Angela wyciągnęła drobną zimną rękę i zamknęła mi usta. - Ciiii - powiedziała. I przez długi czas mocno mnie trzymała, a nocny wiaterek lekko marszczył zasłony.

- Ona nie mówi - powiedziała moja matka.

Angela była ze mną, gdy wróciłam do szkoły. Czułam ciepło jej ciała. Czułam się tak, jakby szła trochę przede mną. Zawsze.

- Ona po prostu nie będzie mówić. Od wypadku nie odezwała się ani słowem.

I matka zaprowadziła mnie do pielęgniarki, która wysłała nas do terapeuty, który wysłał nas do kolejnego terapeuty, który wysłał nas do lekarza, który wysłał nas do jeszcze innych lekarzy w szpitalu. Gdziekolwiek szłam, Angela szła ze mną, matka także szła, ale jej obecność zawsze była ulotna i nieokreślona, często patrzyła na mnie i robiła zdziwioną minę, jakby nagle uświadamiała sobie moje istnienie. Potem znowu zmieniała wyraz twarzy, a zanim odwróciła oczy, jej twarz wyrażała, co...? Zakłopotanie? Konsternację? Albo coś bardziej przerażającego, poczucie winy?

Nie miałam nic do powiedzenia żadnemu z terapeutów czy lekarzy, gdy matka siadała, ściskając swoją torebkę z lakierowanej skóry, gdzie miała papierosy, których tak bardzo potrzebowała. Nie odzywałam się.

W końcu pozwolono mi pozostać w moim milczeniu. I gdziekolwiek szłam, szła także Angela, moja stała towarzyszką w nieznośnym świetle. Nie było już opowieści, tylko milczenie. A może opowieści opowiadały się w inny sposób. Siadałam przy stole w moim pokoju do rysowania i Angela była ze mną. Opowieści snuły się od jednej kartki papieru do następnej, od mojej do Angeli i z powrotem. I ilekroć spojrzałam, wiedziałam, że ona potrafi czytać w moich myślach, tak jak ja w jej. Otóż opowieści należały tyleż do mnie, co do niej. Stawały się nierozróżnialne. Nie było podziału, nie miały początku i końca.

39

Na wyspie mieszkałam od trzech lat i nigdy nie widziałam, żeby tak wcześnie spadł śnieg.

Pokrył wyspę w ostatnim tygodniu listopada cienką warstwą ziarnistych kryształków i przez okres kilku tygodni gromadził się, osiągając grubość dziesięciu centymetrów. Potem już niewiele nowego śniegu spadło, a grubość jego pokrywy w zasadzie się nie zmieniła. Utrzymał się przez całą zimę, starzejąc się niczym skóra. Na jego powierzchni swoje ślady pozostawiała zwierzyna - ptaki, myszy, samotny lis, który przybył ze stałego lądu. Słońce i wiatr nadkruszały twardą skorupę, tonując jaskrawą biel w łagodną bladą szarość. Od frontowych drzwi do głównego pomostu prowadziła gładka wąska ścieżka, druga - do mniejszego pomostu we wschodniej stronie wyspy. A zygzakowata ścieżka pod górę do punktu obserwacyjnego.

Tym razem szłam z przodu, ale wiedziałam, że jest za mną, krok w krok. Wyczuwałam jej ciało ukryte pod wybrzuszonym kożuszkim. Czerwony szalik łopotał na

porywistym wschodnim wietrze. Podeszwy moich butów ślizgały się na ścieżce. Spojrzałam w białe niebo i pustka sprawiła, że zapragnęłam krzyknąć: „Dość! Zostawmy to na inny dzień. Wracajmy. Proszę, wracajmy do domu. Razem”.

Ale szłam dalej.

Dotarłam do krawędzi pokrytego śniegiem pomostu. Przed nami świat tworzył nieprzerwaną całość - ziemia, morze i niebo zlewały się w monotonną białą nieskończoność. Nie sposób było dostrzec horyzontu. Zeskoczyłam na lód. Tutaj, blisko pomostu, był całkowicie pokryty śniegiem, ale dalej odsłonięty. Bywają lata, że lód w ogóle się nie tworzy; kiedy indziej woda zamarza, potem lód pęka, tylko po to, żeby jeszcze raz znowu zamarznąć. Ale w tym roku utworzył się szybko i wcześnie. Tę odrobinę śniegu, który spadł, pozmiatał wiatr i poukładał pasami przecinającymi teraz czarny lód. Powierzchnia była nierówna, jakby fale kostniały w mgnieniu oka. Krucha wierzchnia warstwa lodu pękała pod moimi butami.

Gdy tylko zostawiłam za sobą wewnętrzną zatokę i przeszłam przez szeroką połąć lodu, usłyszałam, jak mówi. Ciemny, daleki głos dochodził do mnie z dołu, tyleż ruch, co dźwięk. Nagłe głuchoe walnięcie, przypominające grom rozbrzmiewający z nieskończonej odległych głębin, po którym następowały powolne pomruki. Utkwiłam oczy w białej dali. Ręce zaciskałam kurczowo na szpikulcach lodu, które trzymałam w kieszeniach.

Szłam długo. Od wiatru zdrętwiała mi prawa strona twarzy, więc jeszcze bardziej naciągnęłam na czoło wełnianą czapkę. Stapałam po nierównej powierzchni w powolnym, stałym rytmie i w ogóle się nie zatrzymywałam, żeby odpocząć czy obejrzeć się za siebie.

Kiedy zostawiłam za sobą ostatnią małą wysepkę, zamazane wyniosłe kształty w ustawicznej bieli i dotarłam do otwartego morza, wiatr się wzmógł. Wzbijał śnieg i tworzył powietrzne wiry. Wyciągnęłam ręce z kieszeni i przyłożyłam je do twarzy, na próżno próbując ogrzać policzki i nos.

Bariery nie widziałam, dopóki omal na nią nie wpadłam. U moich stóp znajdowała się szeroka szczelina otwartej wody rozdzielająca lód i tworząca tor dla statków. Wysoka do kolan przyzma pokruszonego lodu okalała brzeg czarnej wody, upstrzonej matowymi łatami, w których tworzył się nowy lód. Wciąż stałam, a z nozdrzy buchały mi obłoczki białej pary. W nosie czułam zimne powietrze, które łapałam z każdym oddechem.

Znowu wsadziłam ręce do kieszeni i ścisnęłam lodowate pręty, oceniając wzrokiem szerokość kanału. Jest dość szeroki, by mógł przepłynąć wielki lodołamacz, pomyślałam. Dziesięć metrów? Dwadzieścia? Trzydzieści? Może nie był tak szeroki. Ale drugi brzeg wydawał się odległy. A pomiędzy była czarna lodowata woda.

Była tuż obok mnie. Wciąż ze mną.

Wtedy szybko wskoczyłam na lodową barierę. Przez trwającą wieczność sekundę niebezpiecznie obie balansowałyśmy. Zapatrzyłam się w czarną wodę w dole. Lód się przetaczał, jakby uaktywniony przez naszą obecność. Może nas ostrzegał.

Spojrzałam poza szeroką przestrzeń, ponad otwartą wodą u naszych stóp. Nie było żadnych punktów orientacyjnych, nic, co pozwoliłoby oddzielić niebo od lodu, a jedynymi dźwiękami było dudnienie zdławionego grzmotu z dołu i suchy szept wiatru. Słuchałam i miałam wizję niewidzialnych olbrzymich stworów nawołujących się w czarnych głębinach, których poruszające się powoli ciała od czasu do czasu unosiły się, ocierając o sklepienie, sprawiając, że lód odpowiadał przytłumionymi trzaskami i huknięciami.

Nigdy nie ufaj lodowi. W każdej chwili może pęknąć, jakkolwiek bezpiecznie by wyglądał.

Kiedyś odwiedziliśmy wyspę wczesną wiosną, akurat gdy lód pękał. Stałam z ojcem na pomoście, gdzie wysadził nas wynajęty helikopter, i patrzyliśmy na morze.

Ludzie każdego roku umierają na lodzie.

Byłam mała, tak mała, że musiałam sięgnąć do góry, żeby trzymać ojca za rękę. I pamiętam poczucie absolutnego bezpieczeństwa, jakie dawał mi uścisk jego ciepłej ręki. Patrzyłam na gładką białość przed nami. Wydawała się bezkresna. Nieruchoma i zimna. I mogąca zabić. Tuż przed naszymi stopami odsłaniała się dalej zwodniczo łagodna powierzchnia. Postrzępione grudy lodu, twarde, skryształizowany śnieg i głębokie, przytłumione odgłosy czegoś rozpadającego się pod spodem. Ścisnęłam ojca za rękę, a on spojrzał na mnie z uśmiechem.

Może byśmy poszli na górę i zrobili sobie gorącej czekolady?

Odwróciliśmy się tyłem do lodu i wąską ścieżką w śniegu poszliśmy w stronę domu, ojciec przodem, a ja po jego śladach.

Wiele lat później, gdy już się tu przeprowadziłam, często spacerowałam po lodzie, ale nigdy tak daleko. Nigdy nie stanęłam przy otwartym kanale przecinającym zwarty lód. Nigdy nie byłam tak blisko tej przepaści między lądem i wiecznością. I wiedziałam, że nigdy już nie będę.

Zwiesiłam w milczeniu głowę i poczułam pieczenie w oczach.

I wtedy pozwoliłam jej iść.

Przymknęłam oczy. Słyszeć było tylko wiatr i lód, ale ja wiedziałam. Zimne powietrze wypełniało mi płuca, paliło.

I gdy zrobiłam wydech, było po wszystkim.

Instynktowna świadomość czyjejs obecności w pobliżu, innego ciała u mego boku,

zniknęła. Kiedy w końcu otworzyłam oczy i ponownie spojrzałam w kanał, gdzie znowu była nienaruszona cienka skórka nowego lodu, byłam sama.

Odwrociłam się i cofnęłam od bariery, ślizgając się na lodzie i potykając, zanim złapałam równowagę. Podniosłam oczy i spojrzałam na wąły ślad kroków ciągnących się przede mną po lodzie, w stronę wyspy. Wiatr zmiatał je, częściowo były już zatarte. Ale były. Obwiązałam usta i nos czerwonym szalikiem i ruszyłam z powrotem po swoich śladach.

Byłam sama. Żyłam.

40

W domu panowała kompletna cisza.

Ale to była innego rodzaju cisza, Adamie. Nie taka jak przedtem. Nie bardzo wiem, jak wyjaśnić różnicę. Była jakby milczeniem czegoś nowego. Nie ciszą zawierającą to, co niewypowiadalne, lecz świeżą ciszą, czekającą na wypełnienie.

Zacząłam mówić. Wsłuchiwałam się we własne słowa. Na początku było trudno, ale z czasem słowa zaczęły płynąć coraz łatwiej. Gdy zima z wolna przemieniała się w wiosnę, a potem w lato, powiedziałam wszystko, co powinnam była powiedzieć przez te wszystkie lata i w czym powinnam była uzyskać pomoc.

W końcu zrozumiałam różnicę między słowami, które pozostają w głowie, a tymi, które zostają uwolnione, wypowiedziane. Nie łączy je żadne podobieństwo. Dopiero gdy otworzyłam usta i naprawdę wypowiedziałam słowa, ich znaczenie stało się dla mnie jasne. Uświadomiłam sobie, że myśli wcale nie są tym samym co słowa. Słowo z chwilą jego wypowiedzenia stawało się widzialne, a efekt był zdumiewający. Wtedy, gdy żyłam wyłącznie w swoim umyśle, wydawało się większe, ciemniejsze. Pozbawiona kształtu i formy i przerażająca w swej nieuchwytności masa.

Możesz sobie wmówić, że ktoś może zajrzeć w głąb ciebie przez oczy i czytać w twoich myślach. Możesz tego pragnąć albo tego się bać. Nie ma powodu. Dopóki swoje słowa nosisz w sobie, są bezpieczne. Jesteś jedynym ich właścicielem. Ale czasami jest to przekleństwo, Adamie. Te nieuformowane słowa nabierają ogromnej wagi. Czasami są ciężarem ponad miarę. U mnie tak się stało. Po prostu musiałam się nim podzielić. I przyszła do mnie Angela.

Nigdy nie rozumiałam, że ciężar, który niosłyśmy, uniemożliwił wszystko inne. Tak, jakbyśmy obie bez reszty musiały się oddać temu jednemu zadaniu. Gdyby któraś z nas odjęła

rękę albo odwróciła oczy, choćby na chwilę, wówczas ciężar by runął. Nasz ciężar, przegniatający jak ołów i kruchy jak szkło pochłaniał nas całkowicie.

Myślę, że artystką zostałam dlatego, że w sztuce mogłam wyrazić to, czego nigdy nie potrafiłam wypowiedzieć. To nie uchyliło mojego milczenia.

Wtedy spotkałam ciebie. I wszystko się zmieniło.

Przez lata rozmyślałam o tym dniu, gdy odeszłam od ciebie. Ty chyba też. Ale u ciebie wyglądało to zapewne inaczej. Ja niczego ci nie dałam. Żadnych wyjaśnień. Żadnych słów. Żadnych rzeczywistych słów - takich, które mogłyby ci pomóc. Albo mnie. To było okropne milczenie, zniszczyło nas, Adamie, to wszystko, czego nie powiedziałam. Patrząc ci w twarz, poprosiłam, żebyś wybrał, i wiedziałam, że nigdy nie miałeś wyboru. I co to znaczy, podjąć niemożliwą decyzję.

Chociaż kiedyś myślałam, że wygrałeś życie. W każdym znaczeniu tego słowa.

Tutaj na wyspie miałam potem tylko historię. Mogłam odgrywać tę scenę, wszystkie sceny, bez końca, a one nigdy się nie zmieniały. Były statyczne. Zawsze myślałam, że dla ciebie były scenami żywymi. Że żyjesz w przyszłości. Z naszym dzieckiem. Wyobrażałam sobie każdy etap. Ale to nigdy nie było rzeczywiste. Widziałam naszą córkę, gdy trzymałam ją w ramionach, zanim ją oddałam. Jej idealne małe ciało, pachnące jak moje. Jej delikatne czarne włosy. I nade wszystko jej oczy. Także czarne. Mówią, że noworodki nie widzą. Nie wierzyłam w to ani przez chwilę. Moje małeństwo patrzyło mi prosto w oczy i chyba rozumiało. I wybaczyło mi.

Szaleństwo, oczywiście. Widziałam to, co chciałam widzieć. Ale trzymałam ją w ramionach i naprawdę czułam, że ona się zgadza - że wybieramy najlepsze wyjście.

Czy pamiętasz, kiedy włożyłam ci ją w ramiona? Jak wygodnie się ułożyła. Wystarczyła chwila i nie należała już do mnie. I gdy spojrzełeś, ty także nie należałeś już do mnie. Zajęła miejsce, które kiedyś ja zamieszkiwałam.

Dałam ci wybór z miłości, Adamie. Między nami nie mogło być żadnych tajemnic. Było dziecko i nie mogłam ci go zabrać. Wiedziałam, co wybierzesz. Nie mogłeś podjąć innej decyzji. Wiedziałam, że wybierzesz życie dla naszego dziecka. I coś w rodzaju śmierci dla mnie. I pozwoliłam na to. Ponieważ tak cię kochałam, pozwoliłam.

Myślę, że możesz żyć ze wszystkim, co wybrałeś w swoim życiu. To chyba rozumie się samo przez się. Bez względu na to, jak jest to trudne, żyjesz z tym. Trudno nam pogodzić się z tym wszystkim, co jest nam narzucone.

Czy ty w ogóle wiedziałeś, czego chciałam tej pierwszej nocy? Jak pragnęłam, żebyś wziął mnie w ramiona? Nigdy ci tego nie mówiłam. I ty też nigdy.

I tamtego dnia w hangarze na łodzi.

Tamten dzień mnie prześladował. Podejrzewam, że ciebie też. A może się mylę. Może tylko mnie. Słusznie, skoro to wszystko była moja sprawka. Akceptuję to.

Ale nawet teraz, gdy zaakceptowałam o wiele więcej, ten dzień nie daje mi spokoju. Świadomość tego, co znaczył. Przyjmuję odpowiedzialność za smutek, jaki spowodowałam. Ale chciałabym, żebyś wiedział, że smutek, ból odczuwałam tak samo, jak ty.

Kiedy przyjedziesz, powiem ci.

I wysłucham.

V

*Mig tyckes natten bära
ditt namn i svag music...*

Tak jakby noc niosła mi

Twoje imię w cichej muzyce...

VILHELM EKELUND
MOT ALLA STJÄRNOR SPANAR

Widziałam cię przez chwilę, gdy łódź skręciła do wąskiego kanału prowadzącego do przystani. Stałeś tam, samotna ciemna postać na pustej kei, i wydawało mi się, że utkwieś spojrzenie dokładnie w tym miejscu, w którym się pojawiłam. Tak jakby twoje oczy uchwyciły chwilę, gdy było to fizycznie możliwe. Wokół nie było nikogo innego; na wodzie nieliczne zacumowane łodzie, lekko kołyszący się na bryzie i uderzający o maszty takielunek. Nie pomachałeś, nie wykonałeś żadnego gestu, ręce trzymałeś w kieszeniach długiego płaszcza. Gdy powoli podprowadziłam łódź bliżej, w końcu dostrzegłam twoją twarz. Wiedziałam, że się zmieniłeś - dziewiętnaście lat musiało pozostawić swoje ślady. Ale nie to dostrzegłam, tylko istotę twarzy, którą, jak teraz sobie uświadamiałam, cały ten czas w sobie nosiłam. Tak jakbym z nią żyła, pozwalala jej się starzeć i rozwijać w mojej wyobraźni. I w miarę jak ogarniałam jej rysy, stawały się one znajome. Twoja twarz wydawała się w jakiś sposób bardziej znajoma niż moja własna.

Gdy sunęłam wzdłuż pomostu, a ty wyciągałeś rękę po linę i wiązałeś ją szybkimi ruchami, zauważyłam, że masz opalone dłonie, i to mnie zaskoczyło. Nawet tamtego gorącego lata wydawałeś się taki blady, jakby nie tknięty przez słońce. Twoje białe ręce na mojej opalonej skórze.

Zajrzałam ci w twarz - szerokie brwi, wysokie kości policzkowe, długi nos. Wydatne usta z utrzymującym się, pełnym wahania, skąpym uśmiechem. Podbródek. Mogłabym ją rzeźbić z zamkniętymi oczami. Z wyjątkiem lekkiej opalenizny, była taka, jaką ją zapamiętałam. Miałeś króciutko obcięte włosy, teraz siwe. Uszy jakby bezbronne na chłodnym powietrzu.

- Witaj na starych śmieciach - powiedziałam, nie wykonując żadnego gestu. Słowa zabrzmiały niewłaściwie już w chwili, gdy opuszczały moje usta. Stałam mocno, oparłszy stopy na deskach, trzymając się pod boki, kołysząc się zgodnie z ruchem łodzi. Słyszałam wodę chlupoczącą o burtę i parę rybitw krzyczących nad głową. Nie odpowiadałeś, a uśmiech zniknął z twoich ust, gdy się odwróciłeś, żeby przynieść swój bagaż. Patrzyłam na twoje plecy i chciałam, żebyś się odezwał.

Zrobiłeś zakupy: obok twojej niewielkiej walizki i nadszarpniętego futerału ze skrzypcami stały cztery torby z supermarketu. Wzięłam je po kolei i umieściłam pod częściowo zwiniętą płócienną plandeką. Gdy w końcu odwiązałeś linę i zszedłeś do łodzi,

nawet nie próbowałaś mnie objąć, tylko delikatnie na chwilę uścisnąłeś moje ramię. Schyliłam się, wyjęłam kapok i podałam ci go, po czym powoli odbiliśmy od pomostu.

Staliśmy, patrząc na morze ponad niebieskim płótnem, ja z prawą ręką na kole sterowym. Woda rozpościerała się przed nami, jej ołowiana powierzchnia marszczyła się na lekkiej bryzie. Przez fale przebijały się nieodróżnialne od samego morza szare granitowe skały, a większe skrawki lądu ciągnęły się nieruchomą czernią.

- Dziękuję - powiedziałeś.

Zaskoczona, odwróciłam głowę, na chwilę zatrzymałam na tobie spojrzenie i z powrotem skoncentrowałam się na tym, co miałam przed sobą. Przycisnąłeś dłonie do uszu.

- Proszę, weź to - powiedziałam, pochylając się i wyciągając z półki przed siedzeniem sternika wełnianą czapkę. - Będzie ci potrzebna, gdy wypłyniemy na otwarte morze.

Naciągnąłeś ją na uszy i znów zająłeś miejsce obok mnie. W miarę jak łódź nabierała prędkości, odgłos silnika coraz bardziej zagłuszał słowa.

Jeśli się nie odezwę i będę tak stać, nieruchomo i cicho, to pozwolę sobie w tej chwili na wytchnienie, myślałam. Jeśli będę patrzeć przed siebie na morze i raczej moje ciało niż umysł odczuje to, że stoisz obok, tak blisko, że przez płaszcz wyczuwam ciepło twojego ciała, to przedłużę tę chwilę. Jeśli pozwolę, by moja ręka, nie dotykając, spoczywała tu na niebieskim brezencie obok twoich rąk, jeśli odpowiednio się postaram, ta chwila nie będzie mieć początku i końca.

Ale przepłynęliśmy przez otwarte morze i dotarliśmy na wyspę, sunąc wzdłuż wschodniego wybrzeża, obok znanych skalnych formacji, a potem w końcu skręciliśmy i zwolniłam. Skończyło się. Dopłynęliśmy.

- Tutaj czas nie płynie - powiedziałeś, stając na gładkiej skale, czekając, aż nałożę motylkową nakrętkę na płócienny pokrowiec. - Wszystko jest takie samo. Czas stanął w miejscu.

Wyskoczyłam z łodzi i wylądowałam miękko obok ciebie.

- Tak właśnie to widzisz? - zapytałam. - Ja nie wiem. Jak się z czymś żyje dzień w dzień, to może się wydawać takie samo. Ale gdy się odwrócisz, przypominają ci się rzeczy i ludzie, którzy przepadli, zauważasz, co nowego przybyło, fundamentalne zmiany.

Wyciągnęłam mały wózek, którego używam do przewożenia towarów do domu z ich miejsca obok starego hangaru na łódź.

- Nic nigdy nie zostaje takie samo - powiedziałam, patrząc, jak pakujesz swój bagaż do wózka. Wskazałam głową pękate torby z supermarketu i spytałam: - Co przywiozłeś?

- Tylko parę rzeczy, pomyślałem, że tutaj są nieosiągalne - odpowiedziałeś z

uśmiechem. - Pomyślałem, że mógłbym ci coś ugotować. - Chwyciłeś drążek wózka i zaczęliśmy się piąć ścieżką do domu.

Wtedy też mi gotowałeś. Nie wyglądałeś na faceta, który się objada. Wtedy, podobnie jak teraz, byłeś szczupły. Nie chorobliwie - wyglądałeś po prostu jak człowiek, który przez całe życie trzymał stałą wagę. Ale gotowałeś z zamiłowaniem i jadłeś z takim skupieniem i uwagą, jakbyś pieczołowicie pielęgnował to doświadczenie. Jedzenie z tobą było radością, odkrywaniem czegoś nowego.

Lato było takie gorące i suche, i musieliśmy pamiętać o zapasie słodkiej wody. Rankiem schodziliśmy nad morze, żeby zamiast wziąć prysznic, popływać. Ty zawsze szedłeś z przodu, za tobą łopotał pożyczony płaszcz kąpielowy. Uwielbiałam patrzeć na ciebie z tyłu.

- Jest tutaj, bo mnie kocha - powtarzałam sobie, - To dlatego, że mnie kocha, przygotował śniadanie, które niesie teraz w koszyku. - Potem leżałam na ciepłej, gładkiej skale, która, wydawało się, z dnia na dzień gromadzi żar, i patrzyłam, jak zdejmujesz płaszcz kąpielowy i idziesz na skraj wody. Wciąż obserwowałam cię spod przymkniętych powiek. Kształt twoich szerokich ramion, linia kręgosłupa dzieląca twoje plecy, kragłość twoich silnych pośladków. Twoje nogi pokryte ciemnymi włosami i niewielki trójkąt włosów u podstawy kręgosłupa. Czułam, że dotykam dłońmi twojej skóry. Poruszałeś się z takim wdziękiem, ale wszystko, co robiłeś, jakby wypływało z jakiejś głębokiej, pilnej potrzeby. Przejęcia, do którego się nie przyznawałeś. Nie wiedziałam, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy też jest to nieświadomy aspekt twojej osobowości. Wydawało się, że twoje najbanalniejsze czynności mają swój cel. Zrobiłeś parę kroków w wodzie, potem zanurkowałeś. Wynurzyłeś się, obróciłeś na plecy, ostrożnie płynąc grzbietem. Leżałam z wyciągniętymi nogami, oparta na łokciach, od spodu grzała mnie skała, od góry słońce. Ale właśnie wtedy, w świeżym bezruchu poranka, czułam, jak to wszystko wygasa. Ciepło, miłość. Nie potrafiłam już w tym trwać. I z trudem powstrzymałam się od płaczu.

Teraz znów tu jesteś, idziesz naprzód wąską ścieżką, ciągnąc za sobą wózek. Tak jak przedtem, najdrobniejszy twój ruch, każdy krok emanuje precyzją i wdziękiem. Ale niecierpliwości już nie ma. Ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że przejęcie, które tak cię kiedyś określało, ustąpiło miejsca wrażeniu spokojnego uporów. Jedną ręką ciągnąłeś wózek, drugą poruszałeś miarowo, w rytm kroków. Zauważyłam, że przez gmatwaninę ubiegłorocznej trawy przezierają zielone pędy. Wydawało mi się, że doleciał do mnie zapach twojej wody po goleniu. Dziwne, zasmuca mnie, że jej nie rozpoznaję. Patrzę na twoją szyję, owładnięta pragnieniem, by wyciągnąć rękę i dotknąć.

Zastanawiałam się, czego ode mnie oczekujesz. I pomyślałam, że wiedziałabym,

gdybyś tylko pozwolił mi się dotknąć. Wzniosłam oczy ku niebu, gdzie białe chmury snuły się jak rzadkie płótno na bladoniebieskim tle. Nie muszę cię widzieć, myślałam. Wystarczy, że wiem. Że słyszę cichy odgłos, gdy twoje stopy dotykają trawy, a moje trafiają w te same miejsca. Jeśli się nie odwrócisz, to zawsze tu będę, kilka kroków z tyłu, stawiając stopy tam, gdzie przed chwilą były twoje.

Zwolniłeś kroku i chwyciłeś wózek drugą ręką. Gdy dotarliśmy tam, gdzie wążutka ścieżka łączy się z trochę szerszą, ponownie przyśpieszyłeś, a ja zostałam z tyłu.

Rozejrzałam się. Chociaż była wczesna wiosna, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak tamtego lata. Wydawało się, że nic się nie zmieniło. Zauważyłam dom otoczony zaniedbanymi starymi bzami, tworzącymi jeszcze zmierzwione kępy nagich gałęzi. Omszałe drzewa owocowe w niewielkim sadzie wzdłuż drogi wydawały się wyższe, a ogrodzenie wciąż miało zrezygnowany wygląd obiektu, który nie oczekuje troski, uwagi. Wszystko to widziałam twoimi oczyma, jakbym mieszkała tu przez te wszystkie lata, niczego nie dostrzegając. I nagle zrozumiałam, że masz rację. Czas znieruchomiał.

Podeszliśmy do frontowych drzwi i w końcu się odwróciłeś. Ponad wózkiem wymieniliśmy spojrzenia i po raz pierwszy wydało mi się, że otwarcie przyglądasz się mojej twarzy. Zupełnie jakbyś ją z czymś porównywał. Podobnie jak ja, być może porównywałeś osobę, którą masz przed oczami, z nagromadzonymi wspomnieniami. Wspomnieniami mnie? Czy naszej córki?

Wpatrywaliśmy się w siebie w bezlitosnym ostrym świetle. Twoja fizyczna obecność ożywiła moją wyobraźnię. Czułam, jak uśpione nerwy reagują, krew przepływa przez moje ciało, a koniuszki palców mrowią. To nie było doznanie seksualne. Czy może *nie tylko* seksualne. Tak jakby całe moje jestestwo zostało po długiej przerwie ponownie podłączone do źródła energii.

Masz sześćdziesiąt lat, a ja znałam cię tylko przez jeden rok. Ale żyjesz w każdej mojej komórce, myślałam. Widzę spojrzenie twoich spokojnych brązowych oczu, oczu zawsze trzymających coś w ukryciu. Nawet w najbardziej intymnych chwilach było zawsze coś, czym nie chciałeś się dzielić. Ale gdy zajrzałam w twoje oczy teraz, nie było już w nich żadnej rezerwy. Ich spojrzenie sprzęgło się z moim, niczego nie ukrywały.

W kącikach oczu miałeś delikatne linie i dwie kreski biegnące pionowo od nasady nosa. Kreski pogłębiły się i uśmiechnąłeś się nieznacznie. Nie umknąłeś spojrzeniem, nadal było sprzężone z moim. Czułam się tak, jakbyś czekał, aż przerwę milczenie, i szukałam w myślach właściwych słów. W końcu to ja odwróciłam wzrok. Podeszłam do kuchennego okna i wyciągnęłam klucz, który tkwił w tym samym co zwykle miejscu pod parapetem.

Otworzyłam drzwi i przytrzymałam je, gdy wchodziłeś obładowany torbami.

- Nie rozmawiajmy. Jeszcze nie - powiedziałam. Skinąłeś głową i może poczułeś to, co ja. Że jeśli nad tym zapanujemy, to zdołamy wydobyć tę chwilę, która utkwiała między przeszłością a teraźniejszością, niebezpiecznie balansując między pamięcią a nadzieją.

Rozpakowaliśmy jedzenie na kuchennym stole i odłożyliśmy na miejsce. Kupiłeś rzeczy, których nie jadłam od tamtego lata. Zastanawiałam się, jak zapamiętałeś, ale gdy trzymałam w rękach paczki i słoiki, też sobie przypominałam. Mój ulubiony dżem jagodowy, czarny fiński chleb żytni. Najlepsza kawa. Wino z dobrego rocznika. Sery. Nawet paczuszka delikatnych świeżych fig. I torebka ręcznie robionych czekoladek z małego sklepiku w Österman. Ważyłam paczki w rękach i powoli wyjmowałam je z toreb. I wiedziałam, że są to podarunki miłosne.

- Zejdźmy nad morze - powiedziałeś, gdy skończyliśmy.

Tym razem ja szłam przodem i skrzepowana czułam na plecach twoje spojrzenie. Mój stary sweter był znoszony i trochę poplamiony farbami, włosy wysunęły się na wietrze z klamry i słyszałam, jak moje gumki z każdym krokiem wydają cmokający odgłos. Jakimś dziwnym sposobem i pomimo długiego oczekiwania czułam się tak, jakbym przebudziła się gwałtownie z głębokiego snu i zupełnie nie miała czasu, żeby się odpowiednio przygotować. Szłam rażno, ale znajoma ścieżka, którą zawsze traktowałam jako coś oczywistego, także nagle ożyła. Zauważałam jej skręty i zwroty. Płatanię nagich krzaków róży, uschniętą trawę.

- Możemy najpierw wspiąć się do punktu obserwacyjnego? - usłyszałam, jak mówisz do mnie z tyłu.

Zatrzymałam się, skinęłam głową, wciąż odwrócona plecami, i zaczęłam się wspinać na stromą skałę po lewej stronie.

Tutaj w szczelinach widać było pierwsze oznaki życia. Nawet minimalne ilości gleby wystarczały, żeby przyciągnąć nasiona dzikich fiołków. W ciągu kilku tygodni otworzą się pąki, po czym przyjdzie okres wybujalego kwitnienia. Ciekawa byłam, czy pamiętasz.

Dotarliśmy na szczyt bez tchu i stanęliśmy, patrząc na morze. Nie było żadnych oznak życia, ani na lądzie, ani na morzu, tylko długa smuga migrujących kaczek falowała na białym niebie. Trudno było uwierzyć, że w ciągu miesiąca ten uśpiony krajobraz ożywią wszelkiego rodzaju łódzie mknące po mieniącej się w słońcu wodzie, ludzie opalający się i skaczący do wody z urwisk. Dzieciaki z wędkami. Drzewa pokryją się liśćmi, a granit zyska oprawę w postaci świeżej trawy i dzikich kwiatów. Ptaki będą wysiadywać jaja na najmniejszej nawet wysepce. Powróci życie.

Przesunęłam ręką po twoim rękawie. Nie zareagowałeś; nie wiedziałam, czy

świadomie. Po chwili odwróciłam się i zaczęłam schodzić w stronę morza. Gładkie skały, tak kuszące latem, sprawiały wrażenie zimnych. Podeszłam na skraj wody i schyliłam się, żeby zanurzyć w niej rękę. Potem wstałam i przyłożyłam ci dłoń do policzka.

- Zobacz, jaka zimna. Tym razem sobie nie popływasz, Adamie - powiedziałam z lekkim uśmiechem. Uniosłam ramiona i ze zdumieniem stwierdziłam, że pragnę cię objąć. Zamiast z powrotem je opuścić i usiąść na skale, opierając ręce na kolanach, patrzyłam i uśmiechałam się, ale ty nie reagowałeś.

- Usiądźmy tu na chwilę - powiedziałam. Usiadłeś obok mnie i czułam twoje spojrzenie na mojej twarzy, gdy studiowałeś mój profil. Pomyślałam, że może liczysz na to, że zacznę mówić pierwsza. Ale wtedy odwróciłeś wzrok i znów popatrzyłeś na morze.

- Ja także mieszkam na wyspie - powiedziałeś. - Tak jak ty stworzyłem sobie dom w miejscu, gdzie zimy są samotne. Ale nie jest taka jak ta. Nie taka cicha. Nie tak samotna. Tam gdzie mieszkam, życie nigdy do końca nie daje za wygraną. Pory roku splatają się i nawet w zimie pojawia się pasemko lata. Natura nigdy nie wypoczywa. Często wieje gwałtowny wiatr, a morze jest nieprzewidywalne. Niebezpieczne.

Podążyłam za twoim spojrzeniem na spokojną, ciemną wodę.

- Tam gdzie mieszkam, jest kolorowo. Jaskrawo. Ale to nie są moje kolory. Myślę, że wybrałem otaczające mnie tam życie, same kolory, aby nie musieć ich tworzyć. Były namiastkami prawdziwego koloru. Prawdziwego życia. W nowym świecie jest wielu mnie podobnych. Uciekinierów ze starego świata. Który jednak zabieramy ze sobą. Nie ma ucieczki. A czasami staje się ona przeciwieństwem tego, na co się miało nadzieję. Dystans podkreśla pamięć o tym, co chciało się zostawić za sobą.

Na chwilę oparłam dłoń na twoim ramieniu.

- Niezmiennie ucziwy Adam - powiedziałam. - Nie musisz uzasadniać każdej swojej decyzji. Nie ma potrzeby. Wobec mnie, wobec nikogo.

Z powrotem położyłam rękę na zimnej skale.

- Ależ jest, Cecylio, jest taka potrzeba. Absolutnie zasadnicza. Może nie potrafimy wyjaśnić, ale musimy próbować. Możemy nie rozumieć, ale musimy próbować. Może nie potrafimy wybaczyć, ale musimy próbować.

Zerwałeś się, a gdy już stałeś, spojrzawszy na mnie z góry. Miałeś nieznośnie nagą twarz.

Skinęłam powoli głową i przyjąłm twoją rękę, którą wyciągnąłeś, żeby mi pomóc wstać. Gdy stałam przed tobą, ująłeś obie moje dłonie.

- Myślę, że ty także to wiesz - powiedziałeś powoli. - Że musimy próbować nawzajem

się zrozumieć. I musimy zadawać sobie pytania, które pomogą nam zrozumieć innych. To może ranić, ale naprawdę musimy. Matka nauczyła mnie, żeby nie czekać na wyjaśnienia i ich nie udzielać. Żeby bez pytania akceptować to, co nieakceptowalne. „Nie ma ulgi. Prawda może być także bolesna. Niepraktyczna”, mawiała. Teraz wiem, że się myliła. Że ja się myliłem.

Szliśmy powoli, w milczeniu. Gdy mijaliśmy szczyt i schodziliśmy z powrotem do domu, zauważyłam, że słońce przebija się przez czystą białą gazę.

42

- Usiądź tu przy stole, a ja coś ugotuję.

Wróciliśmy późnym popołudniem, niebo nie tyle pociemniało, ile niepostrzeżenie przybrało na noc inny odcień bieli. Chłód z zimnego morza powoli ściągał na ląd, w miarę jak słońce zachodziło, i zanim zdjęłam sweter, dołożyłam do ognia w starym piecu w kuchni.

- Niczego nie musisz robić, po prostu posiedź sobie - powiedziałeś i wysunąłeś krzesło. - Otworzę butelkę wina i będziesz sobie popijać, a ja będę gotować.

Zdjąłeś płaszcz, powiesiłeś go na oparciu krzesła i podszedłeś do zlewu, żeby umyć ręce.

- Miałem nadzieję, że zabierzesz mnie, żeby zastawić na noc sieci na okonie. Po kolacji - powiedziałeś, obracając się. Patrzyłam na twoje plecy i zastanawiałam się, co myślisz. Jak dotąd dzięki ostrożności jakoś nam idzie.

- Nigdy nie zapomniałem smaku pieczonych okoni. - Wytarłeś ręce i przeszedłeś do spizarni. - Ale dziś wieczorem będzie mięso.

Siedziałam, opierając stopy na rozpórce starego drewnianego krzesła, splecione ręce trzymałam na stole przed sobą.

- Szedłem uliczkami Östermalmshallen i zastanawiałem się, co kupić, co przynieść. Dzikizna, ryba, pieczywo, owoce i warzywa - wszystko tak pięknie ułożone. Tam gdzie mieszkam, właściwie nie ma takich miejsc - powiedziałeś. - Można kupić najświeższe produkty - warzywa, ryby, mięso. Ale to co innego. To jest... - Wydawało się, że poszukujesz właściwych słów. - To jest naiwne. Nie ma historii. I żeby zrobić z tego smaczne jedzenie, trzeba więcej dać z siebie. Tutaj odnosi się wrażenie, że wszystko jest już przeznaczone do konkretnych potraw. Towarzyszy temu gotowa koncepcja. - Na twoich ustach pojawił się ten sam zakłopotany uśmiech. Trochę zawstydzony, pomyślałam.

- Może właśnie dlatego tak bardzo lubię targ. To, że każde stoisko, każdy produkt jakby zapowiada mi swoją historię, swój cel. Żywe zapachy i faktury. Wyczarowują całe dziedzictwo kulturowe. I jakoś czuję się tak, jakbym miał swoje miejsce.

Rozmawiałeś, nie przerywając pracy, obierałeś, ciąłeś, ubijałeś.

- Targ wygląda dokładnie tak samo, może jest trochę elegantszy. Tak, jakby przeszedł delikatny lifting, bardzo profesjonalnie zrobiony, pozostawiający osobowość w stanie nienaruszonym.

Otworzyłeś jedną z toreb i wyciągnąłeś paczkę, która wyglądała tak, jakby zawierała mięso.

- Kupiłem dziką kaczkę. - Spojrzałeś na mnie, uśmiechając się lekko, jakbyś się zastanawiał, czy może za bardzo się starasz. Odwzajemniłam uśmiech. I uświadomiłam sobie, że był autentyczny, że rozgrzał mnie tak jak nic od bardzo długiego czasu.

- Kupiłem seler korzeniowy, sałatę delikatesową, mrożone czerwone porzeczki na sos. I suszone grzyby.

Patrzyłam na ciebie i przez chwilę pomyślałam, że widzę na twojej twarzy grymas poczucia winy. Tak, jakby zawstydziła cię ta oczywista rozkosz sprawiania mi tej przyjemności. Szybko zniknął i uznałam, że może źle cię rozumiem.

- O tej porze roku nie było świeżych - ciągnąłeś po krótkiej pauzie. A potem, jakbyś właśnie sobie przypomniawszy: - Ooo, a tu jest puszkawica kawioru. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść, gdy będę gotował. Masz toster? - Wstałam i zza desek do krojenia wyjęłam z półki toster.

- To będzie pasowało do kawioru - powiedziałeś i postawiłeś na stole schłodzoną butelkę.

Usiadłam z powrotem i patrzyłam, jak zaczynasz przygotowywać kaczkę, obierać seler. I przypominałam sobie wieczór, gdy po raz ostatni zastawiliśmy stół na oknie. Wieczór, gdy byłeś jeszcze szczęśliwy. Ostatni wieczór szczęścia, jaki ci dałam.

- Ja będę wiosłować. Ty usiądź sobie tam, naprzeciwko mnie - powiedziałam. Byłeś wyraźnie zagubiony, ale pełen zapału, tak chciałeś pokazać, że możesz funkcjonować w moim świecie. Było późno, dochodziła północ, ale wciąż ciepło, jakby intensywny upał dnia utrzymywał się w ciemnej wodzie. Był sierpień i pełny księżyc siedział wysoko na czarnym niebie. Patrzyłeś na mnie, a ja ustawiałam wiosła, jakby wszystko, co robię, było godne podziwu.

- Jesteś tu tak cudownie swobodna, Cecylia - powiedziałeś. - Tak zadomowiona. - Siedziałeś z rozsuniętymi stopami, pochylony do przodu, ręce oparte na kolanach, wzrok

utkwiony we mnie. I chyba byłeś całkiem szczęśliwy. Odwróciłam spojrzenie i patrzyłam na swoje stopy.

- Jesteś piękna, Cecyljo - powiedziałeś powoli. Podniosłam wzrok i spojrzałam na ciebie. W przyćmionym świetle twoja blada twarz świeciła jaśniej niż księżyc. Trzymałam wiosła nad powierzchnią wody i jak tylko mogłam, przeciągałam tę chwilę. Potem zanurzyłam wiosła w ciemnej, lekko zmarszczonej wodzie. Gdy dotarliśmy na wyspę, przerwałam na chwilę, zanurzając wiosła, a ty niepewnie stałeś i podnosiłeś sieć. Powiedziałam ci, żebyś przeszedł na dziób i wszedł na przednią ławkę, i przestępując przez wiosło, przytrzymałeś się mojego ramienia. Łódź kołysała się łagodnie. W końcu usiadłeś, zostawiając sieć częściowo w wodzie. Skinąłeś głową przez ramię, pewniej niż się spodziewałam, a ja powoli zaczęłam wiosłować.

- Zanim zarzucisz, musisz splunąć trzy razy na wodę - powiedziałam, gdy chwyciłeś koniec sieci. - Na szczęście. - Odwróciłeś głowę i uśmiechnąłeś się.

- Szczęścia mi nie brakuje - powiedziałeś, potem splunąłeś trzy razy na pływak. Stałeś tam, niepewnie i niezgrabnie, spoglądając na mnie, i wyglądałeś na szalenie szczęśliwego. Marzyłam, żeby odwzajemnić twój uśmiech, żebyś usiadł obok, objął mnie. Żebyś powiedział, że możemy sprawić, by ta chwila trwała wiecznie. Zamiast tego powiedziałam, żebyś usiadł i powiosłowałam z powrotem do pomostu.

Kiedy dobiliśmy, trochę niezgrabnie wyskoczyłeś na brzeg, bardzo niezdarnie zawiązałeś linę i wyciągnąłeś rękę, by pomóc mi zejść z łodzi. Chwyciłam ją, chociaż oboje wiedzieliśmy, że nie muszę. Chwyciłam ją mocno i wyskoczyłam na brzeg, a gdy stanęłam obok ciebie, przyciągnąłeś mnie i objąłeś ramieniem.

- Kocham cię, Cecyljo - szepnąłeś mi we włosy. Przytuliłam twarz do twojej piersi i przymknęłam oczy. Na twojej skórze czułam wszystko, co zdarzyło się tego dnia. Poranne pływanie, śniadanie na nagrzanym skale, kochanie się w słońcu, leniwe czytanie, spacer, żeby odebrać pocztę, popołudniowe pływanie, nurkowanie ze skały, kolację w łagodnie chylącym się ku zachodowi słońcu, późnowieczorny spacer do łodzi przez trawy, na których już osiadła rosa. Cofnęłam się lekko i spojrzałam na ciebie. Trzymałeś mnie w ramionach i też patrzyłeś.

- Cecyljo - powiedziałeś. - Jestem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Jeszcze nigdy tak się nie czułem. Nie miałem pojęcia, co to znaczy czuć pełnię życia. - I znów mnie przytuliłeś. Zamknęłam piekące oczy i przelknęłam ślinę.

Rano przed śniadaniem zeszliśmy, żeby wybrać sieć, i znaleźliśmy w niej jedenaście sporych okoni. I wystawiając plecy na słońce, ramię w ramię przy hangarze rozplątywaliśmy sieć. Pokazałam ci, jak czyścić rybę, a ty uśmiechnąłeś się, widząc wynik swojej pierwszej

próby. Ale szybko załapałeś, a gdy kończyliśmy, miałeś na koncie pięć ryb, przy moich sześciu.

Uparłeś się, że przygotujesz posiłek, i siedziałam, patrząc, gdy smażył panierowane ryby i gotujesz młode ziemniaki. Robiąc to, stale na mnie spoglądałeś. Zauważyłam, że chociaż się nie opaliłeś, twoja skóra ma złoty odcień. Dzień po dniu odcień powoli, niepostrzeżenie się zmieniał. Teraz opalenizna wspaniale harmonizowała z twoimi ciemnymi włosami. Twoje paznokcie przy każdym ruchu błyskały bielą. Gdy stawiałeś półmisek na stole, twoje ramię otarło się o moje, i uniosłam rękę, żeby go dotknąć, przesunąć dłonią aż do twoich palców. Uśmiechnęliśmy się.

Ale to w bladej poświacie nocy różnica była najbardziej zauważalna. Myśląc, że zasnąłeś, oparłam się na łokciu i pieściłam spojrzeniem twoje ciało spoczywające obok mnie na wąskim łóżku. A potem obrysowałam dłonią, nie dotykając skóry. Spałeś na brzuchu, odsłaniając bezbronne plecy. Przysunęłam się bliżej i patrzyłam, jak moja opalona skóra kontrastuje z twoją, która jakby emanowała światłem. I powstrzymywałam się z trudem, by nie przyłgnąć do ciebie i ponownie cię nie obudzić. Zamiast tego malowałam palcami twój obraz w nieruchomym powietrzu sypialni.

- Tak - odpowiedziałam. - Pamiętam okonia. - Podniosłam kieliszek i zakręciłam słomkowego koloru winem, patrząc niewidzącym wzrokiem. - Tak, postawmy dzisiaj sieć. - Pociągnęłam łyk wina. - Po kolacji. Jeśli chcesz.

43

Zjedliśmy kaczkę i siedzieliśmy nad pustymi talerzami, sącząc lekkie czerwone wino. Poczułam na twarzy twoje spojrzenie i oblałam się rumieńcem. Postawiłam kieliszek na stole. O czym myślałeś? Niewiele się odzywałeś w czasie kolacji. Cały czas przyglądałam się twojej twarzy, tak jak ty mojej, gdy tylko odwracałam wzrok. Czego szukałeś? Na twojej twarzy dostrzegłam subtelne oznaki starzenia się i zaczęłam się krepować z powodu swojej. Za kilka miesięcy miałam obchodzić czterdzieste urodziny. Nie miałam pojęcia, jak mnie widzisz, i nie mogłam zrozumieć twojego wyrazu twarzy. Siedziałeś odchyłony do tyłu, w jednej ręce obracając kieliszek, a drugą trzymając płasko obok talerza. Potem poczułam twoją dłoń na swojej i pozwoliłam jej tam pozostać.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjechać - powiedziałeś.

Miałam ochotę się uśmiechnąć, ale impuls nie dotarł do moich warg. Zamiast tego

wzniosłam kieliszek.

- Dziękuję za kolację - powiedziałam. - Dawno czegoś takiego nie jadłam. - Stuknęliśmy się kieliszkami. - Jeżeli w ogóle - dodałam, odstawiając kieliszek.

Zaczęliśmy sprzątać ze stołu.

- Wciąż masz ochotę zastawić się? - spytałam, kiedy uporaliśmy się z talerzami.

- Tak, owszem - powiedziałeś, odwracając się do mnie. - Oczywiście.

- Dobra, chodźmy.

Gdy wyszliśmy z przytulnej kuchni, powietrze wydało się zimne i przenikliwe. Szliśmy rażno i szybko dostosowaliśmy się do temperatury. Nie było wiatru, ale gdy weszliśmy do małej łodzi wiosłowej, wydawało się, że chłód ciągnie od wody. Siedziałeś na rufie, wpatrując się we mnie intensywnie, gdy powoli wiosłowałam przez zatokę w stronę wysepki. Sieć leżała na podłodze między nami. Na niebie świeciły gwiazdy i księżyc w nowiu, ale słońce nie było jeszcze dość ciemne, by tworzyć kontrast, i mżyły słabym, bladym światłem.

Dotarliśmy do wysepki i zanurzyłam wiosła w wodzie, żeby zatrzymać łódź, podczas gdy ty zebrałeś sieć i ostrożnie przeszedłeś obok mnie na dziób. Pomyślałam, że tym razem wyglądasz o wiele pewniej, i zastanawiałam się, czy życie na twojej wysepce stwarza ci okazję do łowienia. Nagle zapragnęłam wiedzieć. Rzuciłeś sieć przez reling, a ja zaczęłam wiosłować lekkimi pociągnięciami wiosel w czarnej wodzie. Stałeś, patrząc, jak sieć tonie i znika z pola widzenia. Gdy cała sieć znalazła się w wodzie, zatrzymałam dryfującą łódź, a ty przywiązałeś pływak. Spojrzałeś na mnie przelotnie, a potem, zanim wrzuciłeś go do wody, trzy razy splunąłeś. Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Gdy szliśmy w stronę domu, ciepłe światło z kuchni jarzyło się w ciemnym uśpionym świecie. Zastanawiałam się, czy jesteś tak samo ciekaw mojego życia, jak ja twojego po drugiej stronie ziemi. Przez te wszystkie lata żyłeś we mnie, ale nosiłam cię w sobie, nie mając wyobrażenia o twojej realnej egzystencji. Otaczało cię światło. Przestrzeń, w której żyłeś, była jedynym światłem.

Czy zastanawiałeś się, jak mi się tutaj mieszkało w te długie, ciemne zimy? W tym świecie, gdzie możesz liczyć tylko na własne światło?

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w środku, przyniosłam do salonu drwa i rozpałam stary żeliwny piecyk. Ty przyniosłeś butelkę whiskey i dwie szklanki, i usiedliśmy w fotelach przed ogniem.

- O nic mnie nie pytasz - powiedziałeś.

Drgnęłam i odwróciłam się, by na ciebie spojrzeć. Policzki miałeś zarumienione po

przejściu z zimna do ciepła. Nie odezwałam się i patrzyłam w ogień. I w końcu musiałam napotkać twój wzrok.

Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, byłeś ode mnie dwa razy starszy. Ale wiek chyba nigdy nie miał znaczenia. Chyba nigdy o tym nie myślałam. W blasku ognia twoja twarz jakby się zmieniała, ale była taka, jak przedtem. Znam jej dotyk pod palcami. Mogłabym prześledzić każdą linię, każde zagięcie, i okazałyby się znajome. Tylko włosy miałeś białe. Wiedziałam, że tych dziewiętnaście lat życia oddzieliło obraz, który nosiłam w pamięci, od realnego człowieka, którego miałam przed sobą, ale jakoś wydały mi się one nieważne. Marzyłam, żeby cię dotknąć. Moje ręce by poznały. Poczulałabym, i nie musiałbyś mi niczego opowiadać.

Spojrzałam na ciebie i poczułam się młodsza niż dziewiętnaście lat temu. Zupełnie jakby te lata dały mi czas, którego potrzebowałam, żeby odwrócić pewien rodzaj przedwczesnego starzenia się. Ale równocześnie doskonale uświadamiałam sobie realność starzenia się fizycznego i zastanawiałam się, na ile dorównuję twoim wspomnieniom.

Siedzieliśmy w milczeniu, trzymając swoje szklaneczki, patrząc w ogień.

- Żadnych pytań - powiedziałam. - To była obietnica. Żadnych pytań, nigdy. - Patrzyłam, jak przelykasz, i też pociągnęłam łyk, czując, jak alkohol wypala gorący szlak w moim gardle. Słuchałam swoich własnych słów, i one też paliły.

- Dotrzymuję obietnicy - odparłeś. - Ale chciałbym zwolnić cię z twojej.

Odstawiłam szklanekę i zajęłam się rozgrzebywaniem paleniska i rozdmuchiowaniem niepewnych płomieni.

- Na jedno wychodzi, Adamie - powiedziałam. - Nie możesz tego zrobić. Moja obietnica to tylko druga strona twojej.

- W takim razie opowiedz mi coś - rzuciłeś. - Opowiedz mi coś o swoim życiu.

Milczałam. Pochyliłeś się, oparłeś łokcie na kolanach i wpatrywałeś się w ogień.

- Czy jesteś szczęśliwa, Cecylia? - zapytałeś, nie patrząc na mnie.

- Oto jest pytanie, Adamie - odpowiedziałam. - Zasadnicze pytanie.

Pociągnęłam kolejny łyk whiskey i po chwili wstałam.

- Chyba pójdę się położyć. To był długi dzień. A przecież mamy czas. Mamy czas, żeby sobie wspólnie pomilczeć. I mamy czas, żeby sobie pogadać. - Poszłam w stronę kuchni, ale w progu przystanąłam i odwróciłam się. Spojrzałam na mężczyznę przy ogniu. Ale zobaczyłam kogoś innego, kogoś, kto był z nami przez cały dzień. W każdym oddechu, każdym spojrzeniu, choć ani razu nie został wspomniany. Nasze dziecko. I wiedziałam, że muszę cię zostawić i pójść na górę. Wiedziałam, że potrzebuję więcej czasu.

- Zrobiłam ci łóżko w głównej sypialni na górze. Sprawdzę ogień w piecyku. - A potem, gdy się odwróciłam, żeby wyjść z pokoju, dorzuciłam cicho: - Cieszę się, że tu jesteś. Dobranoc.

Ale gdy już byłam w łóżku, sen nie nadchodził. Leżałam, patrząc przez okno, za którym było widać księżyc. Teraz niewielki i wysoko na niebie, ale lśniący białym jasnym światłem. Nie słyszałam żadnych dźwięków. Ale świadomość, że tam jesteś, wszystko zmieniała. Tak jakby cały dom przechodził metamorfozę. Był żywy. Tylko dlatego, że w łóżku w drugim pokoju spoczywało twoje ciało. Leżałam nieruchomo, wsłuchując się w noc.

Kiedy się obudziłam, panowała cisza, ale wiedziałam, że sen przerwały mi dźwięki. Usiadłam i nasłuchiwałam, potem wstałam, owinęłam się kocem. Otworzyłam drzwi i wyszłam na podest. Księżyc przemierzył niebo i świecił przez okno. Muzyka ponownie rozbrzmiała i gdy powoli otworzyłam drzwi, ruszyła falą w moją stronę, delikatna, ale do głębi przejmująca. Zobaczyłam cię. Stałeś odwrócony, twoja sylwetka rysowała się na tle okna i bladego światła księżyca. Widziałam napięte mięśnie pod skórą na twoich plecach, gdy poruszałeś ramionami w takt muzyki. Nie musiałam widzieć twojej twarzy, by poczuć twoje łzy.

Przestąpiłam próg i utonęłam w dywaniku przed piecykiem. Płytki wciąż wydzielały ciepło, choć z ognia pozostały tylko żarzące się węgle. Okryłam się kocem.

Gdy przestałeś grać, wydawało się, że cisza podtrzymuje dźwięki. Pozostałeś przy oknie, wciąż tyłem do mnie.

- Mówiłem do niej Mimi - powiedziałaś. - Ale na imię miała Miriam. Ona... - Słyszałam, jak głos ci się załamał, gdy skrzypce i smyczek kładłeś na stole.

- Ciii - powiedziałam. - Chodź tu. Chodź i usiądź obok mnie.

Podszedłeś, a ja otworzyłam ramiona. Usiadłeś, a ja otuliłam nas oboje kocem i trzymałam cię w ramionach, gdy leżeliśmy.

Znacznie później, gdy księżyc było już widać przez okno sypialni, a twoje ciało leżało spokojnie przy moim, zacząłeś mi opowiadać.

Mieliśmy całą noc i wszystkie następne.

Mieliśmy mnóstwo czasu.

VI

Byłem nieprzygotowany na to, jak staruszka się zmieniła.

Tego jednego razu, gdy się spotkaliśmy, niespełna rok temu, zaskoczyła mnie żywotnością, dumną postawą i silnym głosem. Teraz byłem równie zaskoczony tym, jak marnie wyglądała. Leżała w anonimowym szpitalnym łóżku, lekka jak piórko. Głowa na poduszce sprawiała wrażenie umieszczonego tam eksponatu. Stałem przy jej łóżku, niepewny, czy jest świadoma mojej obecności. Ale wtedy, nie otwierając oczu, odezwała się.

- Czy to ty, Adasiu? - spytała po polsku.

Zaledwie szeptała i nie byłem pewien, co miała na myśli i jak mam odpowiedzieć.

- Czy to ty, Adasiu? - powtórzyła po angielsku po chwili milczenia.

Przysunąłem sobie szpitalny taboret i usiadłem.

- Tak, to ja, Adam - powiedziałem powoli.

Uśmiech rozjaśnił jej bladą twarz.

- Tak długo czekałam - szepnęła. Usta miała spierzchnięte. Przerwała, jakby tych kilka słów ją wyczerpało. - Ale teraz wydaje się, jakby czas w ogóle nie upłynął. W ogóle.

Zastanawiałem się, co powiedzieć, ale zanim otworzyłem usta, ona odezwała się pierwsza.

- Nie musisz niczego mówić. Pewnie jesteś zmęczony. Taka długa podróż - powiedziała. - Po prostu weź mnie za rękę. - Uniosła rękę z pozwijanego na piersi prześcieradła. Ująłem ją w swoje dłonie. Miałem wrażenie, że trzymam pomarszczony liść, lekki i suchy.

- To nie ma znaczenia, że tak długo to trwało. Dziwne... teraz to w ogóle nie ma żadnego znaczenia - powiedziała, gdy nasze splecione dłonie spoczęły na prześcieradle. Czuję, jak jej pierś się unosi i opada z każdym ciężkim oddechem.

- Zagrasz dla mnie teraz, Adamie?

Skinąłem głową.

- *Partitę* Bacha... to zagrasz, prawda? A ja będę słuchać. Będzie tak jak przedtem?

Czuję, jak ściska mi dłoń, po czym rozluźnia uścisk i przebiega palcami po moich palcach, jak wtedy, gdy spotkałem ją po raz pierwszy. I podobnie jak wtedy, zatrzymała się, gdy dotarła do małego palca.

- I będę przychodzić na twoje koncerty, jak przedtem. Będę siadać w pierwszym rzędzie, żeby móc widzieć twoje ręce. - Przerwała na chwilę, i poczułem, jak gładzi moje

palce. - Myślę, że Mendelssohn. On najpierw. - Uśmiechnęła się blado. - Dokładnie tak, jak miało być.

- Tak - powiedziałem. - Najpierw Mendelssohn. To najpierw?

- Znalazłeś to, czego szukałeś, mój Adasiu? - szepnęła, bardziej twierdząco niż pytająco. - Oboje znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

- Od tak dawna szukaliśmy, ty i ja. Ale mamy to już za sobą. Już się odnaleźliśmy. Już po wszystkim. Jesteśmy razem. I znowu będziemy mieć muzykę. Nie będzie już milczenia.

Ścisnęła moją rękę z niespodziewaną siłą, ale nie odezwała się.

- Znalazłem dom - powiedziałem powoli.

Skinęła głową i uśmiechnęła się, wciąż z przymkniętymi oczami.

- A gdy wrócę, pojedziesz ze mną, Klaro - ciągnąłem. - Będziemy wszyscy razem. Co czwartek Szymon przychodzi na szachy. Rozmawiamy i słuchamy muzyki. Nie ma już milczenia.

Po twarzy staruszki przemknął przelotny uśmiech. Pochyliłem się i musnąłem ją ustami w policzek.

- I Marta tam jest - szepnąłem jej do ucha. - Jest bezpieczna, Klaro. Marta też jest ze mną. I Mosze. Wszyscy są. Wszyscy nasi bliscy.

Powieki staruszki trzepotały przez chwilę, drżały jej usta. Potem zelżał uścisk jej palców na mojej dłoni.

Pochyliłem się, znów ująłem jej rękę i uniosłem ją do swego policzka, po czym położyłem na drugiej dłoni spoczywającej na nakrochmalonej pościeli.

W pokoju było cicho i spokojnie.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na parking w dole. Był słoneczny dzień. Przez prawie pusty plac biegło małe dziecko.

Przekręciłem klamkę wąskiego okna. Gdy je otworzyłem, nadpłynął dźwięk. Warkot samochodów gdzieś w oddali. Ale z dołu wyraźnie słyszałem śmiech małego chłopca i zobaczyłem goniącą go w zabawie kobietę. Widziałem, że oboje się śmieją. Ale docierał do mnie tylko wzbijający się przez powietrze donośny śmiech chłopca.